

SANDRA

Paretti

SUSANNE SCHEIBLER

PŁOMIENNY PTAK

1

Noc przechodziła w świt. Kwadratowe kamienne bloki murów i okrągłe wieże klasztoru Marienberg rysowały się ciemną jeszcze sylwetką na tle nieba, które na wschodzie różowiła już perłowa poświata poranka.

W pobliskim lesie rozległo się krakanie wron, jak zawsze pierwszych z rana do pobudki i ostatnich wieczorem do spoczynku. Skrzecząc, poderwały się z gniazd i odfrunęły pospiesznie na wzgórze. Tu i ówdzie zabrzmiała spóźniona odpowiedź jakiegoś zaspanego śpiewaka, aż wreszcie o brzasku buchnął cały ich chór.

Potem weszło słońce. Pierwsze jego promienie objęły wieżę kościoła i zabłysły w iglicy. Za chwilę światło padło także na dachy Marienbergu i wyczarowało złote refleksy w szeregach okien, za którymi większość ludzi jeszcze spała.

Dopiero gdy zabrzmiało sześć dudniących uderzeń dzwonu na kościelnej wieży, klasztorny dziedziniec się ożywił. Nadeszła siostra furtianka, by otworzyć wielką okutą bramę wiodącą na ulicę.

Prawie równocześnie pojawił się starszy chudy ogrodnik, by jej pomóc przy mocowaniu odrzwi długimi żelaznymi hakami do pachółków. Na prawym skrzydle bramy znajdowała się tabliczka z napisem: „Marienberg. Gimnazjum i internat dla dziewcząt”.

Niecałe dwie godziny później tu i tam w części sypialnej dla uczennic uchyliły się okiennice i wyjrzało spoza nich kilka

dziewczęcych głów. Sara Maienstedt także otworzyła obie połówki okna w pokoju dzielnym z przyjaciółką, Christina Loew. Obie nie spały już od dobrej chwili, obie bowiem nie bardzo mogły zasnąć tej nocy — ich ostatniej w Marienbergu.

Świeżo wykapaną Sara w krótkiej, białej batystowej ha-leczce, która swobodnie układała się na zgrabnej i silnej figurze, spoglądała ku niebu. Gdy pierzchły zeń resztki nocnych cieni, było bezchmurne. Twarz dziesiętnastolatki rozjaśnił uśmiech satysfakcji. Niedziela będzie ciepła. Sara przeciągnęła się i wystawiła twarz na słońce i wiatr.

Tymczasem siostra furtianka otworzyła gołębnik i ptaki wyfrunęły na wolność, formując na niebie równy klin. Sara powiodła za nimi wzrokiem.

Są takie jak ja, dotąd zamknięte, teraz wypuszczają się na swobodę — pomyślała. — Dobry Boże, cóż to za uczucie!

Odeszła od okna i spojrzała na Christinę. Śliczna blondynka ustawiła na biurczku lusterko i ściągnęła usztywnione żelem włosy mocno do tyłu, co jej zdaniem miało dodać jej dojrzałości.

— No i co na to powiesz? — zapytała.

Sara przyjrzała się jej przekrzywiając głowę. Była świadoma, że Christinę oczekuje komplementu, ale nie potrafiła się do tego zmusić.

— Wyglądasz jak małaletnia wdowa — odrzekła swobodnie, cytując Brechta.

Christina ze zmarszczonym czołem studiowała swe odbicie.

— Małaletnia wdowa! Też masz pomysły!

Chwyciła szminkę, tymczasem Sara sięgnęła po leżącą na łóżku bluzkę od mundurka. Nosiły go wszystkie wychowanki Marienbergu. Składał się z białej bluzki i granatowej, w zimie wełnianej, a w lecie lnianej spódniczki oraz granatowego zakietu. Szybko nałożyła i zapięła bluzkę i wskoczyła w spódnicę.

— Psiakrew! Pomóż mi! — rzuciła, gdy zaciął się zamek błyskawiczny.

Christina odłożyła szminkę i przykucnęła obok Sary.

— Nie kręć się! — poleciła, starając się wyjąć podszewkę uwieczoną w ząbkach zamka.

— Nigdy więcej! — wyrwało się Sarze z głębi piersi.

— Nigdy więcej czego? — nic zrozumiała Christina.

— Granatu. To nie kolor, to piętno. — Sara spojrzała w dół.

Izabela, jedna z uczennic, otworzyła z impetem drzwi do pokoju.

— Saro, twoja matka...

— Niech wejdzie!

— Nie, nie ma jej tutaj. Dzwoni...

— Gotowe! — Christina podciągnęła zamek i wstała.

— Dzięki! — zawołała Sara już w drzwiach, bosa, upychając w biegu bluzkę za paskiem spódnicy.

W kruzganku o mało nie przewróciła dwóch nadchodzących z przeciwka sióstr.

— Przepraszam! — mruknęła, nie zatrzymując się.

Obie kobiety spojrzały za nią z wyrozumiałym uśmiechem.

Bez tchu dobiegła do dyżurki, gdzie jedna z zakonnice przekazała jej słuchawkę.

— Halo! Mama? Skąd dzwonisz?

— Z budki telefonicznej po drodze — poinformowała strapiionym tonem Inga Maienstedt, zaciągając się papierosem. — Samochód zastrajkował. Czekam na pomoc drogową. Wiesz, ile to może potrwać. Boję się, że nic zdążę na rozdanie świadectw. — Zamilkła na chwilę, odczekała, czy Sara coś powie, ale po drugiej stronie panowała cisza, toteż dodała pospiesznie: — Myślami będę z tobą, Saro. W każdym razie zadzwonię jeszcze. Trzymaj się, skarbie, tak żałuję!

Sara usłyszała, że matka odkłada słuchawkę, i przez kilka sekund wpatrywała się w swoją, z której dobiegał teraz długi sygnał wolnej linii. Potem powoli odłożyła ją na widełki.

Nic, nie będzie się czuła zawiedziona. Cokolwiek się zdarzy, nie zepsuje jej tego dnia. Nie ma prawa.

Inga Maienstedt zdusiła papierosa w popielniczce w budce telefonicznej. Była nadmiernie szczupłą czterdziestoletnią, bardzo zadbaną blondynką o starannie ułożonych miękkich, półdługich włosach. Jasne oczy miały z reguły czujny,

czasem zmienny wyraz, a lekko w dół wygięte usta zdradzały szczególną wrażliwość, w określonych zaś sytuacjach skłonność do agresywnych reakcji.

Teraz jednak jej spojrzenie emanowało stuprocentowym zadowoleniem. Podała Sarze strawne wyjaśnienie, czemu nie może przyjechać na rozdanie matur w Marienbergu. Dziewczyna nic będzie miała do niej pretensji ani nie nabierze podejrzeń.

Pospiesznie zebrała swoje rzeczy: torebkę, kluczyki, papierosy, zapalniczkę i notesik, po czym wyszła z budki do zaparkowanego na jezdni samochodu. Włożyła kluczyk do stacyjki, lecz nie przekręciła go jeszcze. Na kilka sekund zapatrzyła się ze zmarszczonym czołem w przestrzeń.

Miała na sobie dużo biżuterii — podwójny sznur pereł, pierścionki, klipsy z perełkami, bransoletkę — właściwie zbyt wiele, by pasowało do sportowego prochowca ze spadochronowego jedwabiu. Pod spodem jednak ubrana była w bardzo elegancki, ciemnoniebieski jedwabny komplet w beżowo-brązowe paski. Na tym tle perły i cała reszta prezentowały się znakomicie.

Zapaliła nowego papierosa i przekręciła kluczyk. Silnik zaskoczył natychmiast z równomiernym pomrukiem.

Do „La Villa” dojechała trochę wcześniej niż Eryk. Należący do niego hotel nad jeziorem od dawna był ich tajemnym miejscem spotkań. W barze rzuciła płaszcz na fotel stwierdziwszy z ulgą, że o tej przedpołudniowej godzinie nic ma tu gości. Kazała sobie podać drinka i zasiadła do fortepianu.

Grała dobrze i z uczuciem, a tony chopinowskiego walca docierały aż do foyer.

Eryk Wylander przybył nieco później. Szef zmiany przywitał go z wyszukaną grzecznością.

— Pani Maienstedt oczekuje w barze — zniżył głos do dyskretnego szeptu.

— Dziękuję, Gino — odparł krótko poinformowany.

Oczywiście zdawał sobie sprawę, że w „La Villa” wszyscy wiedzą o nim i Indze. Ostatecznie przyjeżdżała tu od siedmiu lat. Niemniej poczuł pewien dyskomfort. Nie spodobał mu się domyślny uśmiezek Gina, a jeszcze mniej świadomość,

że o jego związku z żoną profesora Maienstedta krąży plotki.

Gino towarzyszył mu bezszelestnie, gdy wkraczał do hotelowego baru. Jak wszystkie bary o tej porze dnia, tak i ten sprawiał trochę melancholijne wrażenie.

Powoli, uśmiechając się, Eryk podszedł do fortepianu. Inga podniosła głowę, lecz grała dalej, póki delikatnym ruchem nie opuścił pokrywy.

Chciała go pocałować, ale odwrócił głowę.

— Gino — odezwał się zdecydowanym tonem.

— Tak jest, panie Wylander — młody człowiek skłonił się lekko i pospiesznie wyszedł.

Jeszcze nie zdążył dobrze zamknąć drzwi za sobą, gdy Eryk i Inga, objęci, całowali się żarliwie. Inga ujęła twarz ukochanego w obie dłonie.

— Muszę jechać do Marienbergu — mruknęła i oparła czoło o jego usta. — Wszyscy rodzice poza mną tam są. — Obsypała go pocałunkami. — I tak przyjadę za późno.

— A jak cię nie puszczę? — spytał z tą ciemną nutką pożądania w głosie, która ją za każdym razem na nowo podniecała.

Potrzebowała tego mężczyzny. Kochała go i czuła się, jakby ją opętał. Oboje wiedzieli, że nie pojedzie do klasztoru.

Przez jakiś czas nie mogli się widywać. Eryk jako szef znanej sieci ekskluzywnych hoteli Wylandera często podróżował po kraju i za granicę. Zaledwie wczoraj wrócił ze Sztokholmu, toteż Inga gorączkowo oczekiwała tego spotkania. Za żadną cenę nie przesunęłaby go z powodu rozdania matur w szkole Sary.

— Jesteś gorszy niż koniec świata — rzekła ze zmysłowym śmieszkiem, kierując się ku drzwiom.

— Chwileczkę, mam coś dla ciebie — powstrzymał ją.

Wchodząc do baru, położył jasną sportową kurtkę na fortepianie, teraz sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyjął płaskie etui ze srebrzystoszarego zamszu. Po otwarciu Inga ujrzała w nim sznur doskonale dobranych wielkich, równych pereł. Rozpromieniła się.

— Kim ty jesteś, Eryku? Hotelarzem czy poławiaczem pereł? Przyznaj się!

Wyjęła perły z pudełka i przesunęła między palcami.

— Załóż mi je! — poprosiła.

Dotknięcie jego dłoni wywołało rozkoszny dreszczyk.

Inga Maienstedt uwielbiała perły, a jeszcze bardziej przesłanie, które ze sobą niosły: że jest kobietą piękną i godną pożądaną, którą mężczyzna rozpieszcza drogimi prezentami.

— Chodź! — powiedział Eryk, a w jego głosie wciąż brzmiała nutka wzmagająca jej podniecenie.

Ona także go przecież pragnęła, kochała jego bliskość i tę władzę, którą nad nim miała, potężną, mroczną i czułą moc, której zawsze ulegał.

Na górze w apartamencie Eryka opadli ciasno objęci na łóżko. Inga rozkoszowała się każdą sekundą, gdy ją gorączkowo, niecierpliwie rozbierał, a potem sam zrzucił ubranie i przygniatał nagim ciałem. Z jękiem wyszła mu naprzeciw. Boże, jakże go potrzebowała! Nigdy zeń nie zrezygnuje!

W takich chwilach całkowicie do niego należała. Zdawał sobie z tego sprawę i to czyniło go szczęśliwym. Jakże rzadko w owym mrocznym, pełnym cierpienia związku z tą kobietą.

Potrafiła być tak urocza — promienna, czuła, namiętna kochanka. W następnej zaś chwili umykała mu, stawała się obca, wewnętrznie niespójna i w jakiś zastraszający sposób nieodgadniona. Tak było i tym razem.

Zanim zaczęli się kochać, Inga zdjęła podwójny sznur pereł, w którym przyjechała i zostawiła na szyi tylko nowe, podarunek od Eryka.

Po przeżytych chwilach namiętności naciągnęła czarną koronkową bieliznę, położyła się na kanapie i zapaliła papierosa.

— Powinnam oddać całą biżuterię, którą od ciebie dostałam — rzuciła ze zmarszczonym czołem. — I więcej cię nie widywać.

Eryk owinał biodra ręcznikiem i otworzył lodówkę w poszukiwaniu wody mineralnej.

— Jesteś niezrównana w roli wyrzekającej się — odparł z lekką drwiną.

— Mówię poważnie. — Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

Zatrzasnął drzwi lodówki.

— Mam lepszy pomysł — rzekł. — Zatrzymaj biżuterię i wyjdź za mnie.

Gwałtownym ruchem zgasiła papierosa. Nie odezwała się.

Napełnił szklanek wodą i podniósł ją do światła.

— Wiesz, dlaczego się chcę z tobą ożenić? Bo zdaje mi się, że wtedy wreszcie zajrzę ci w duszę jak w tę wodę w szklance i zobaczę, jak na dnie powstają pęcherzyki powietrza, podrywają się w górę i pękają.

Podszedł bliżej i wbił wzrok w jej oczy. Jak dobrze znał ten widok: niezgłębione spojrzenie po przeżytej rozkoszy.

— Mogłabyś zostać aktorką — ciągnął z odrobiną goryczy. — Czasami myślę, że potrzebujesz mnie tylko po to, żeby odgrywać rolę wiarołomnej żony.

Inga wyprostowała się. Z leniwym uśmiechem objęła palcami sznur pereł, przyglądając się sobie w lustrze wiszącym nad kanapą.

— Następnym razem chcę dostać od ciebie czarne.

— Nie podobają ci się białe? — Chwycił naszyjnik wraz z ręką.

— To boli! — zaprotestowała.

Nie puścił. Przeciwnie, wzmocnił chwyt. Kiedy odchyliła się obronnym ruchem, cienka nitka pękła i perły posypały się na ziemię.

W Marienbergu Sara właśnie ładowała swoje rzeczy do walizy i torby. Wciąż boso, przebiegała wielokrotnie przez łóżko Christiny, wydając z szafy i pakując kolejne części garderoby.

Rozległo się lekkie pukanie i do pokoju weszła matka Peregrina, przełożona klasztoru, a zarazem starsza siostra Ingi Maienstedt. Była to wysoka, szczupła kobieta o twarzy prawie nie zdradzającej wieku i dużych błyszczących oczach.

Jednym spojrzeniem ogarnęła sytuację i uśmiechnęła się do dziewczyny.

— Jeszcze bez butów? Twoi rodzice zaraz tu będą.

— Nie przyjadą — odezwała się Sara wypychając do torby sweter. — Mamie wysiadł samochód, a tata w ogóle się nie wybierał.

— Tata się nie wybierał? — powtórzyła zdumiona Peregrina. — Dziwne.

W końcu dobrze wiedziała, jak bliskie więzy łączą Konrada Maiensledta z jedyną córką.

— Przecież go znasz — roześmiała się Sara. — Zawsze wymigiwał się od wszelkich szkolnych uroczystości. Po prostu ich nie znosi.

Peregrina skinęła głową. Przez ulotną chwilę zdawało się, że jej oczy pociemniały, ale zaraz uśmiechnęła się w ten sam sposób, w jaki reagowała na zazwyczaj wybaczalne wysoki szych podopiecznych.

Christina Loew znowu siedziała przed lustrem. Wzburzyła jednak włosy i próbowała teraz pozbyć się etykiетки małolletniej wdowy, robiąc sobie wyzywający makijaż.

— Podrzucimy cię do domu, Saro — obwieściła radośnie. — Brat po mnie przyjeżdża — dodała, zwracając się do Peregriny.

— Ach tak, Marek... — Zabrzmiało to tak, jakby matka przełożona nie w pełni pochwałała pomysł.

— Na pewno odstawimy ją bezpiecznie pod same drzwi — Christina zakończyła malowanie i tanecznym krokiem ruszyła do wyjścia. — A Marek się ucieszy, że może ją chwilę dłużej mieć dla siebie.

Przemknęła obok Peregriny na korytarz i przez moment zakonnica mogła się dokładniej przyjrzeć absolutnie nieklas-torncej prezencji dziewczyny. Oszczędziła sobie jednak komentarza. W zamian za to zwróciła się do Sary, kładąc jej rękę na ramionach.

— Obiecay mi jedno, dziecko! Kiedy się po raz pierwszy zakochasz, nie stawiaj od razu wszystkiego na jedną kartę!

— Na pewno nie narobię głupstw — zapewniła Sara, a Peregrina uśmiechnęła się szeroko i wesoło.

— Nie w tym rzecz. Głupstwa możesz sobie popełniać do woli.

— A czy ty w ogóle wiesz, co to jest głupstwo? — zachichotała Sara.

— Moja droga, zwracasz uwagę tylko na mój strój. Głupstwa zaś potrafią się kryć pod każdym.

Ich spojrzenia wyrażały całą głębię porozumienia i sympatii, które je łączyły.

— Dziękuję... Za wszystko. — Sara objęła ciotkę.

Peregrina ucałowała ją w oba policzki.

— Bądź grzeczna!

— Ty też! — Dziewczyna zaśmiała się przez łzy, które nagle napłynęły jej do oczu.

Wróciła Christina. Ze zmarszczką na czole obserwowała te serdeczne uściski, ale nic odezwała się ani słowem. Peregrina puściła Sarę i ruszyła do wyjścia. W drzwiach jeszcze przystanąła.

— Nic zapomnij o butach.

Christina traktowała wprawdzie przełożoną Marienbergu z należnym szacunkiem, ale — jak zresztą większość mieszkanki internatu — chętnie krytykowała i ją, i inne nauczycielki.

— Myślę, że wolałaby, żebyś z nami nie jechała. W jej oczach wszyscy mężczyźni to dzikie bestie — rzuciła teraz.

— Źle ją oceniasz — sprzeciwiła się Sara.

— Jasne, że jej bronisz. W końcu to twoja ciotka, a poza tym — Christina wzruszyła bezradnie ramionami — jakoś jesteście... nie miej mi tego za złe... po prostu jesteś do niej bardzo podobna.

Sara spojrzała na drzwi, za którymi zniknęła Peregrina.

— Bez niej bym tu długo nie pożyła...

— A ja bez ciebie! — Christina nieoczekiwanie objęła ją mocno.

Obie się trochę wzruszyły i pokryły to śmiechem.

— Twój warkocz się znowu rozpada — zauważyła Christina.

Sara odwróciła się do niej tyłem i pozwoliła sobie zapleść ciemne włosy.

— Istnieje takie zdjęcie Peregriny z czasów studenckich — odezwała się zamyślona. — Wygląda na nim jak moja bliźniaczka.

— Nie rozumiem, jak można zostać zakonnica — zachichotała Christina.

— Peregrina nie jest zakonnica, lecz kimś o wiele ważniejszym. To kapłanka — odparła Sara poważnie.

Christina zrezygnowała z komentarza. Nieraz się to już zdarzało: czasami Sara mówiła coś takiego, co nikomu innemu nie wpadłoby do głowy. Czysty obłęd!

Z dziedzińca dobiegł długi ciągły dźwięk klaksonu i dziewczyna podbiegła do okna.

— Marek! — zawołała na widok brata za kierownicą białego suzuki ze złożonym dachem. — Zaraz idziemy!

Porwała bagaż i pogalopowała na dół. Brał nastawił radio na cały regulator i przywiązał do samochodu ponad tuzin różnobarwnych balonów rozmaitych kształtów.

Kiedy Christina wypadła z budynku, wyszedł jej naprzeciw, by odebrać walizkę i ulokować ją na tylnym siedzeniu. Przy okazji rzucił okiem na jej wypacykowaną twarz.

— Masz zupełnie zakazany wygląd — stwierdził z braterską nonszalancją.

— Małoletniej wdowy, według Sary — roześmiała się, wcale nie urażona.

Marek także wybuchnął śmiechem. Był to przystojny młody człowiek o ciemnych, lekko falujących włosach i przyjaznym spojrzeniu. Miał na sobie jasną, rozpiętą pod szyją koszulę i kolorową kamizelkę.

— Nie masz nic przeciw temu, żeby zabrać Sarę? — zapytała Christina, na co twarz mu się natychmiast rozjaśniła.

— Jak to: zabrać? To matka po nią nie przyjedzie?

— Miała po drodze awarię.

Mina Marka wyrażała czysty zachwyt.

— Super!

Maienstedtowie mieszkali niedaleko pensjonatu dla miłośników konnej jazdy, który należał do jego rodziców. Sara, Christina i Marek znali się od najmłodszych lat i równie długo ten ostatni był zauroczony pełną wdzięką ciemnowłosa

dziewczyną z sąsiedztwa. Więcej, zdążył ją już pokochać i usłyszał z tęsknoty, by się z nią ożenić.

Zwinał dłonie przy ustach i zawołał w stronę jej okna:

— Saraa!

Wciąż jeszcze pakowała walizę. Dopiero gdy drugi raz usłyszała swoje imię, podeszła do otwartego okna i pomachała Markowi ręką.

Uwolnił z pęku jeden balon w kształcie płomiennie-czerwonego serca i posłał w stronę Sary. Wyciągnęła rękę po sznurek, ale nie dosięgła i balon pofrunął w niebo.

Marek natychmiast wypuścił kolejne balonowe serce i tym razem zdołała je pochwycić. Przez chwilę trzymała je, rozśmiana, za sznurek, po czym rozwarła palce i lekki poranny wiatr unióś kolebiący się na boki balon ponad dachy klasztoru ku błękitnym przestworzom.

Po wspólnym śniadaniu dla uczennic, ich rodziców i nauczycielek w klasztornej kaplicy odprawiono krótkie nabożeństwo.

Maturzystki siedziały w pierwszych rzędach barokowego wnętrza ozdobionego barwnymi wizerunkami świętych i przepięknym wiekowym ołtarzem. Za nimi ulokowały się młodsze uczennice, które czekał jeszcze rok lub dwa lata w Marienbergu, dalej przybyli po swe pociechy rodzice, a na końcu siostry zakonne.

Marek Loew wolał przyglądać się uroczystości z chóru przy organach. Przyniósł ze sobą torbę z kolorowymi serpenzynami, którą położył koło siebie na balustradzie.

Po nabożeństwie zabrała głos matka przełożona. Podczas krótkiego przemówienia błądziła wzrokiem po twarzach dziewcząt, które tego dnia miały otrzymać świadectwa dojrzałości i powrócić z klasztornej izolacji do swojego dawnego otoczenia.

Jakże gorąco życzyła im wszystkim przyszłości pozbawionej zasadzek, trosk i błędów! Najgorętsze życzenia dotyczyły jednak Sary.

Peregrina dawno już pojęła, że jej siostrzenica jest kimś wyjątkowym, że ma w sobie powagę i równocześnie zakorzenioną głęboko w duszy radość życia, że wypełniają ją

marzenia i nader łatwo obdarza ludzi miłością i zaufaniem, co czyni ją bardziej narażoną na zranienie niż inne dziewczęta.

Jakaż to wartościowa młoda duszyczka, pomyślała. Byłoby okrucieństwem, gdyby życie przyniosło jej ból.

— Każdej z was — rzekła na koniec z wyrozumiałym uśmiechem — Marienberg wydawał się czasami więzieniem, a jednak dla każdej nadejdzie taki dzień, gdy uznacie, że był to raj. Pamiętajcie wtedy, że bramy do tego rajy stoją dla was zawsze otworem. Także po maturze.

Nastąpiło rozdanie świadectw. Przełożona wyczytywała kolejne nazwiska i dziewczęta w mundurkach podchodziły, by odebrać z jej rąk dokument.

Kiedy przed Peregriną stanęła Sara, ich spojrzenia spotkały się w serdecznym porozumieniu. W oczach dziewczyny zabłyśły łzy, lecz tę krótką chwilę wzruszenia przerwał Marek, zamasyżuje ciskając w nawę serpentyny.

Sara odwróciła głowę, odkryła przyjaciela, roześmiała się i przyciskając do piersi świadectwo pobiegła do niego na chór.

Peregrina patrzyła, jak go ściska i całuje, a potem bierze kilka jeszcze nie rozwiniętych krążków i dmucha w nie z całych sił, by następne serpentyny dołączyły do swych poprzedniczek.

Nieco później na dziedzińcu zapanował wszechogarniający nastrój pożegnań. Sara zdążyła się jeszcze pozbyć znielowanego mundurka i przebrać w sięgającą kolan wzorzystą sukienkę na ramiączkach. Z niejakim rozczarowaniem obrzuciła wzrokiem samochód Marka.

— Myślałam, że przyjedziesz moim rollsem.

Rolls-royce to była oczywiście przesada. Niemniej Marek obiecał, że do matury zdąży dla Sary wykończyć volkswagena oldlimera, przy którym dłuubał od wielu miesięcy. Niestety, nie udało się, bo trzeba było sprowadzić zbyt wiele możliwie oryginalnych detali. Na wpół gotowe auto stało pod wiatą na podwórzu u rodziców. Po długich wysiłkach doprowadził je wszakże do takiego stanu, że stopniowo wyłaniał się obraz końca tej katorgi.

— Cierpliwości to cię w tym klasztorze chyba jednak nie nauczyli — roześmiał się i objął Sarę w talii. — W końcu rolls nie powstaje w jeden dzień.

Percgrina zeszła na podjazd i pomachała do Sary, gdy ta sadowiła się na miejscu obok kierowcy. Christina klapnęła z tyłu obok bagaży i wyłowiła jedną z licznych puszek coli, które brat schował w samochodzie. Marek włączył znowu radio. Zabrzmiały tony głośnej muzyki. Sara rozłamała tabliczkę czekolady i włożyła kawałek do ust. Z radością i hałasem opuścili Marienberg.

Sara poprosiła, by zatrzymali się po drodze na krótki postój. Wyjęła z żeglarskiego worka szkolne podręczniki i zeszyty, po czym wrzuciła je do płynącego obok autostrady strumienia. Ze śmiechem śledziła, jak tańczą na drobnych falach, unoszone coraz dalej, by w końcu zatonać.

— Zwariowałaś — zaprotestowała Christina.

Sara rzuciła zuchwale głową, posyłając w wodę ostatnią paczkę podręczników.

— Niech się teraz rybki nakarmią wiedzą.

Kilka kilometrów dalej zatrzymali się na brzegu Ammersee. W tym miejscu wrzynał się w jezioro dość pokaźny cypel, na którym stał hotel „La Villa” z własną zamkniętą plażą. Hotel, jak wiedziała Sara, należał do Wylanderów. Tym razem wsiadła także Christina.

Sara natychmiast pobiegła nad wodę, zabierając ze sobą kilka balonów, które zaraz wypuściła. Dzień był ciepły, toteż kiedy ostrożnie zanurzyła stopy w płytkich tu wodach jeziora, obmyły je nagrzane słońcem fale. Bezgranicznie szczęśliwa postąpiła parę kroków.

— Skoczyć po lody? — zawołał Marek.

— Fajnie by było! — odkrzyknęła radośnie.

Ruszył w stronę hotelu, a Sara pobrodziła w kierunku małej porośniętej trawą łachy. Dotarwszy do celu siadła na ziemi i przeciągnęła się. Wciąż jeszcze przepełniało ją euforyczne uczucie szczęścia. Jakże bosko tak siedzieć, obserwować jezioro i łagodny krajobraz przedgórza Alp ze świadomością, że jest wolna, że czeka ją całe życie,

które może kształtować wedle woli. Dobry Boże, cóż za widoki!

Zdjęła sukienkę, pod którą miała biały jednoczęściowy kostium kąpielowy, i rzuciła się w fale. Objęły ją pieszczotą drobnych rozedrganych kropelek, uniosły z dala od brzegu, nie naruszając wewnętrznego wrażenia szczęścia. Nareszcie wolna!

Nie wiedziała, że ma świadka.

Eryk Wylander, już ubrany, wyszedł na balkon hotelowego apartamentu, w czasie gdy Inga doprowadzała się do porządku w łazience. Przyglądał się dziewczynie na jeziorze, jej długim ciemnym włosom i młodemu ciału, wyprężonemu ku słonecznym promieniom. Z tej odległości nie mógł rozpoznać twarzy, mimo to odczuwał siłę przyciągania tego młodziutkiego stworzenia i nie potrafił oderwać odeń oczu.

Młodość, radość, niewinność... Nagle uświadomił sobie, jak wiele go od tego wszystkiego dzieli, odkąd nawiązał męczący, mroczny romans z Ingą Maienstedt.

Drgnął, gdy po wyjściu z łazienki pojawiła się na balkonie i pocałowała go w kark. Nie odwrócił się do niej. Zbyt pochłaniał go widok nieznajomej w białym kostiumie, która właśnie zanurkowała w wodzie i zaczęła płynąć.

— Zamieniłeś się w żonę Lota? — spytała Inga z lekką ironią.

Kąpiąca się była zbyt oddalona, by mogła w niej rozpoznać własną córkę. Pocałowała Eryka ponownie, tym razem w ramię.

— Spiesz mi się. No to cześć... Do wieczora.

— Czeka! Już idę! — zareagował dopiero, gdy już wychodziła z pokoju.

Musiał użyć niemal całej siły woli, by oderwać oczy od młodej pływaczki i odprowadzić Ingę do drzwi. Co za głupota, żeby do tego stopnia ulec oczarowaniu kąpiącą się dziewczyną! Z bliska przypuszczalnie okazałaby się kompletną pomysłką.

Tymczasem Marek zaopatrzył się w hotelu w trzy olbrzymie kubki lodów. Jeden podał siostrze, która drzemała leni-

wic w słońcu. Pozostałe dwa doniósł na brzeg, gdzie właśnie dopłynęła Sara. Na widok ogromnej porcji lodów zabłyśły jej oczy.

— Super! Dzięki! — Wykrzyknęła zachwycona i parsknęła perlistym śmiechem, gdy na skutek jej uścisku i nieoczekiwanego całusa Markowe lody szerokim łukiem poszybowały w fale.

— Biedaku! — Pożałowała go nie całkiem szczerze. — Masz, poczęstuj się! — Wyciągnęła swój kubek w jego stronę.

Po krótkim postoju Marek zajechał najpierw do domu, by dostarczyć rodzicom siostrę. Wyładował bagaże Christiny i poszedł z Sarą do stajni. Otaczały one brukowane czworokątne podwórko, gdzie pod wiatą stał garbus z lat pięćdziesiątych. Rzeczywiście poświęcił całe dnie i noce, by podarować dziewczynie ten muzealny okaz z okazji zdanej matury. Tyle że niestety nie zdążył na czas.

Sara udawała boleśnie zawiedziona, gdy chłopak przywłókł drewnianą atrapę kierownicy i prowizorycznie ją zamontował.

— Obiecałeś mi tego rollsa za maturę. Coś ty sobie myślał? Że będę ze cztery razy do niej podchodziła?

— Ach, ta twoja niecierpliwość! — westchnął. — Koleďowałem u wszystkich handlarzy złomem. — Wskazał ręką kierownicę. — Nie mieli nic odpowiedniego. Dadzą znać, kiedy coś dostaną. — Objął ją ramieniem. — Zdażyłbym, gdybyś miała choć jedną poprawkę.

Był taki kochany i nieszczęśliwy, że Sarze nie pozostało nic innego, jak tylko wycisnąć mu po głośnym całusie na każdym policzku.

Profesor Konrad Maienstedt siedział przy biurku w laboratorium. Pochylił posrebrzoną kasztanową głowę nad mikroskopem, a potem przysunął podkładkę z kartkami, żeby coś zanotować. Na koniec wstał i podszedł do komputera, by wyszukać parę danych.

Nie zareagował, gdy rozległo się pukanie do balkonowych drzwi, wiodących na brzeg jeziora. Powtórne pukanie także nie przyniosło rezultatu, toteż doktor Speidl, wieloletni przyjaciel i domowy lekarz Maienstedtów, sam sobie wreszcie otworzył i wszedł.

— Przeszkadzasz! — rzucił szorstko profesor, odwracając się do intruza.

— W złym humorze? — Speidl nie dał się wytrącić z równowagi i podszedł bliżej.

— Zgadłeś. Obudziłem się w złym i nawet tobie nie udało się go bardziej popsuć.

— Wielki profesor Maienstedt spędził pewnie znowu noc na kozetce w laboratorium! — roześmiał się doktor.

— Gdyby tak było — Maienstedt przeczesał palcami falujące włosy — nie przegapiłbym wyjazdu Ingi. Całą noc spędziłem na dworze. — Spojrzał na sztuczny staw wypełniony doświadczalną florą i fauną. — Sara świętuje dzisiaj uroczyste rozdanie matur, a mnie przy tym nie ma.

— Najpierw nauka, potem rodzina. Twoje panie są do tego przyzwyczajone. — Speidl objął go po przyjacielsku ramieniem.

Maienstedt sięgnął po cygaro.

— Ile już razy mówiłem, że cię to kiedyś zabije? — sarknęła lekarz.

Profesor zignorował ostrzeżenie i zapalił.

— Musisz się gruntownie przebadać — Speidl pokręcił głową z dezaprobatą. — W przyszłym tygodniu idziesz do Centrum Kardiologicznego w Monachium. Na kilka dni. Koronarografia określi dokładnie, jak przeprowadzić operację.

— Operację?! — powtórzył Maienstedt niemal z przerażeniem. — Nikt nie będzie tykał mojego serca.

— Poczujesz się jak nowo narodzony — upierał się przyjaciel.

— Znam wyłącznie ludzi, którzy byli zdrowi przed operacją serca. Po niej już tylko chorowali. — Profesor machnął ręką i uśmiechnął się przeproszająco. — Zapomnij o tym. Oboje z moim serduszkiem czujemy się znakomicie.

Lekarz znowu pokręcił głową. Zdawał sobie sprawę i tego, jak bardzo chory jest Konrad Maienstedt. Wiedział, że igra z życiem nie podejmując ostatecznej decyzji. Mówił mu to zawsze, kiedy się spotykali, toteż powtórzył i teraz.

— Hamburg wart jest tej ceny — uśmiechnął się na to profesor.

— A więc zgadzasz się?

Speidl był poinformowany o wspaniałej ofercie, którą przyjaciel otrzymał od znanej hamburskiej firmy farmaceutycznej. Jej szefowa, Ellen Vondrowski, zwróciła się do Maienstedta jako do najbardziej kompetentnego według niej naukowca w swej dziedzinie i zaproponowała mu poprowadzenie instytutu badawczego mającego powstać w ramach fundacji jej zmarłego męża.

Dla Konrada Maienstedta było to po prostu spełnienie marzeń. W Hamburgu mógłby prowadzić swoje dotychczasowe eksperymenty biologiczne w oparciu o prawie nieograniczone środki. Jakże mógł pozwolić, by mu umknęła taka okazja!

Profesor otworzył przesuwane szklane drzwi, wychodzące na brzeg jeziora, gdzie w licznych zbiornikach wodnych, terrariach i na grządkach z roślinami zainstalował przyrządy pomiarowe. Odetchnął głęboko.

— Twoim zdaniem jestem za stary. Twoim zdaniem nadaję się pod nóż. Rzecz w tym, że nie potrzebuję chirurga. Całe życie czekałem na taką szansę, jaką mi zaoferowano w Hamburgu. Nareszcie mam do dyspozycji środki na badania. Nareszcie dotarłem do celu. — Spojrzał na przyjaciela z uśmiechem. — Możesz mi wierzyć lub nie, lecz jedna wizyta w Hamburgu wystarczyła, by wyzwolić we mnie nieoczekiwane siły. — Położył rękę na sercu. — Nie tylko tu. Także w głowie. Niewykłuczone, że powoli wapniałem, ale to już przeszłość.

— Hodowca pajaków w koncernie Vondrowskiego — zauważył sceptycznie Speidl. — Kiedy oni tam mówią „nauka”, mają przecież na myśli interes.

Maienstedt nic odpowiedział. Podeszedł do zbiornika z sitowiem. Ruchem ręki przywołał lekarza i otworzył spust. Wypłynęła czysta woda.

— Przyjrzyj się dobrze. Wczoraj wpuściłem do wody w zbiorniku olej i odpady chemiczne. A dzisiaj jest znów czysta, przefiltrowana przez sitowie. Jeszcze nie osiągnęła jakości wody pitnej, choć już nie szkodzi faunie wodnej. Jak to się dzieje, pozostaje tajemnicą, ale jestem już na tropie... — Wyprostował się i spojrzał Speidlowi w oczy. — Wiesz, co to oznacza? Jestem ma tropie czegoś, co wszystko zmieni. Nauka dotarła ponownie do takiego punktu jak przed stoma laty, gdy Piotr i Maria Curie odkryli rad.

— Rozumiem. A twoja *madame* Curie nosi nazwisko Vondrowski.

— Dureń! — rzucił Maienstedt z serdeczną czułością.

— Chcesz znać moje zdanie? — Speidl poklepał go po ramieniu. — Jesteś cholernym szczęściarzem.

Wczesnym popołudniem — doktor Speidl już dawno wrócił do swojego gabinetu — przyjechała Inga. Pobieżnie zlustrowała fasadę pięknej secesyjnej willi w parkowym ogrodzie, zgasiła silnik i wysiadła z samochodu. Wiedząc, gdzie szukać męża, obeszała dom dookoła.

Konrad wyszedł jej naprzeciw brukowaną ścieżką. Usłyszał auto Ingi i przede wszystkim chciał przywitać się z Sarą. Za plecami chował starannie zapakowany prezent dla córki.

Wyczekujący uśmiech zamarł mu na ustach na widok samotnej żony.

— Gdzie Sara? — spytał zaniepokojony.

Inga westchnęła podchodząc do wiklinowych mebli ogrodowych w pobliżu laboratorium.

— Wszystko poszło na opak — poskarżyła się i rzuciła na fotel. Na okrągłym stoliku stał dzbanek z kawą i ciasto. — Przez głupią awarię wcale nie dojechałam do Marienbergu. Trzeba było ściągać samochód. Tylko mnie mogło się przytrafić coś takiego. — Rzuciła mu błagalne spojrzenie.

Siadł naprzeciwko i nalał jej kawy.

— Nie gniewaj się... Jeszcze w dodatku zniszczyłam kora-
le — Wyjęła z torby plastikowy woreczek z rozerwanym sznu-
rem pereł i położyła na stole.

Milczał. Obserwował jej rozbiegany wzrok i wiedział, że kłamie. Często kłamała. A najgorsze, że gdy wypowiadała te swoje kłamstwa, na ogół w nie wierzyła.

Zgarbiła się, jakby jej było zimno.

— Jesteś na mnie zły. Widzę to po tobie. Dawniej, kiedy mnie jeszcze kochałeś, ulitowałbyś się nade mną. Pocieszyłbyś Inge — odezwała się płaczącym głosem małej dziewczynki.

Nie spuszczał z niej oczu, aż przymknęła powieki.

— Ulitowałbym się? — Powtórzył wolno i pokręcił przecząco głową.

Zabrzmiało to jednak niemal czule. Przeżył za jej przyczyną niezliczone bolesne rozczarowania, mimo to wciąż czuł się za nią odpowiedzialny. Wiązało go to z żoną przypuszczalnie ściślej niż ewentualne szczęśliwe, wypełnione miłością małżeństwo.

— Szukasz poklasku, uwielbienia — ciągnął. — Słoń nie potrzebuje tyle słodyczy, ile ty uwielbienia. Powinnaś była iść na scenę.

— Już mi to kiedyś mówiono. — Wcisnęła się głębiej w fotel.

— Zadzwońię do Sary...

— Nie trzeba — wtrąciła szybko. — Prawdopodobnie Marek ją przywiezie.

— Myślisz, że jest w nim zakochana? — Spytał z lekkim niepokojem.

Inga roześmiała się zadowolona, że mąż zmienił temat, i sięgnęła po kawałek ciasta.

— Oczywiście, że tak. — Spojrzała nań iskrzącym wzrokiem. — Ale dopilnuję, żeby nic popełniła mojego błędu i nie wyszła zbyt młodo za mąż.

— Nie zawsze byłaś tego zdania... — rzekł przeciągając sylaby.

— Bo nie miałam pojęcia o życiu — odparła Inga z odrobiną napastliwości, która go zawsze, jeszcze dzisiaj, bolała.

Po twarzy profesora przemknął nagle tryumfalny uśmiešek. A czemuż by on także nie mógł jej zranić?

— Gdybyś nie wyszła za mąż jako osiemnastolatka, i tak miałabyś dzisiaj czterdziestkę.

Strzał chybił.

— Ale bym się za to nażyła — odparła.

— Mam jeszcze coś do zrobienia. — Konrad wstał.

Spoglądała spod w półprzymkniętych powiek, jak znika w laboratorium.

Mam jeszcze coś do zrobienia... Jakże nienawidziła tego zdania. Zbyt często je słyszała przez cały okres małżeństwa. Formułkę, którą mąż zawsze w końcu stopował ich dyskusje. Żył własnym życiem — sławny profesor Maienstedt, pogrążony w naukowych badaniach, otoczony wodnymi roślinami i takąż fauną, prowadzący nie kończące się cykle doświadczeń.

To, że obok jego żona usycha z rozpaczy, już go nie interesowało. Przynajmniej zdaniem Ingi Maienstedt.

Sara przyjechała do domu niedługo po matce. Gdy wyładowywała z samochodu bagaże, wyszli ją powitać portugalska pomoc domowa i Kapitan, pies rasy golden retriever. Zwierzak szczekał i piszczał z radości na widok swojej „pańci”, a Vincenta wprost promieniała.

Dziewczyna pogłaskała psa i objęła Portugalkę.

— Masz pojęcie? Jestem wolna! — zawołała okręcając się z nią wokoło.

— Serdeczne gratulacje! — wysapała Vincenta.

Wzięła od Marka walizki i zanosła do domu.

— Do zobaczenia wieczorem — zwróciła się Sara do chłopaka.

Razem z Maienstedtami był zaproszony do Wylanderów, do których należała sąsiednia wielka willa, na uroczystą kolację dla uczczenia matury Sary.

— Nie spóźnij się — napomniała dziewczyna, na co Marek potulnie potaknął. — O siódmej. Pod krawatem i w wypucowanych butach.

Pomachała mu na pożegnanie, gdy wsiadał do auta i odjeżdżał, a potem skierowała kroki do ogrodu.

Dostrzegła ojca brodzącego w kaloszach po płytkiej wodzie jeziora. Najwidoczniej sprawdzał jakieś pomiary.

— Tato! — zawołała przekrzykując radosne szczekanie Kapitana. Rzuciła psu patyk, za którym wystrzelił z godnym nagrody zapałem.

Maiensledt odwrócił się i w następnej chwili roześmiana Sara wisała mu na szyi, obsypując twarz drobnymi pocałunkami. Podniósł ją do góry, obrócił się dookoła i poślizgnął na grząskim gruncie. Śmiejąc się i parszkając wpadli oboje do wody.

Trochę trwało, nim się wygrzebali z błota i pospieszyli do domu. Konrad poszedł za córką do jej pokoju. Z przyległej łazienki przyniosła ręczniki, którymi się mogli wytrzeć do sucha, po czym z naturalną swobodą zdjęła ubranie i zaczęła się osuszać.

Tymczasem ojciec położył na ławie walizkę, którą właśnie przyniosła Vincenta.

— Lekka jak piórko — zauważył.

— Chcesz zobaczyć, co jest w środku? — spytała owinięta w ręcznik kąpielowy, otwierając wieko.

Wyjęła dwie oprawione fotografie — ojca i matki. Postawiła je na biurku, po prawej i lewej stronie swojej własnej.

— Granatowy mundurak zostawiłam w Marienbergu, a książki i zeszyty leżą na dnie strumienia — wyjaśniła z dumą.

Maiensledt przyglądał się jej wzrokiem pełnym miłości.

— Teraz mogę się przyznać, że czasami męczyła mnie myśl, czy pod tak przekonującym wpływem Peregriny nie zdecydujesz się odwrócić od świata i włożyć habit.

Córka z wyrozumiałym uśmiechem zarzuciła mu ręce na szyję.

— Tak dobrze mnie znasz, tato, a równocześnie nic o mnie nie wiesz.

Musnął przelotnie ustami jej czoło.

— Jeszcze nie jest za późno...

Poszedł po swój prezent i po paru minutach wrócił. Zaciekawiona Sara rozwinęła papier. Był to oprawny w skórę pamiętnik.

Uściskała ojca, a on objął jej twarz swymi dużymi, silnymi dłońmi.

— No i jak się czujesz, dziecinko? — spytał serdecznie.

— Trudno powiedzieć. — Przekrzywiła głowę.

Gdy zaś nalegał, odrzekła poważnie:

— Różnie. Czasami wydaje mi się, że czeka mnie coś wspa-
niałego. A potem jakiś chłodniejszy, bardziej trzeźwy głos we
mnie przestrzega, żebym nie liczyła na zbyt wielkie dary od
życia, bo spotka mnie rozczarowanie.

Maienstedt potrząsnął lekko głową.

— Brzmi jak szkolne wypracowanie. A ten czas masz już
za sobą. Powiedz, co czujesz, kiedy wyobrażasz sobie swoją
przyszłość? To nie ma nic wspólnego z rozumem. Przyszłość
przewiduje się sercem. No więc co ci teraz mówi serduszko?

— Serduszko? — rozłożyła szeroko ramiona. — Moje
serce jest jak płomienny ptak, co rozpościera skrzydła do
lotu.

Carmen Wylander sprawiała wrażenie kobiety jak na swój
wiek jeszcze bardzo atrakcyjnej i żywotnej. Ścinała właśnie
kwiaty w ogrodzie przy willi, gdy zza rogu wyłonił się Eryk.

— *God dag*, piękna ogrodniczko — powitał ją częściowo
po szwedzku, serdecznie całując w policzek.

Obróciła się ku niemu i objęła z całej siły.

— Eryk! Jak dobrze, że jesteś!

Z pełnym dumy uśmiechem przyglądała się synowi, jego
ciemnym włosom i wysportowanej sylwetce.

W oczach Carmen Eryk był najlepszą częścią tego, co jej
pozostało po małżeństwie z nieżyjącym już szwedzkim hote-
larzem. Nie należała przy tym do osób tak bujących w obło-
kach, by nie doceniać odziedziczonych hoteli i zysków, jakie
przynosiły. Po prostu Eryk był dla niej najważniejszy.

Po ojcu miał trzeźwy zmysł do interesów, od niej wziął
solidność i kreatywność, co w sumie dało cechy, dla których
Carmen już przed kilku laty praktycznie w całości przekazała
mu kierowanie siecią. Sama nie wycofała się jednak zupełnie

z działalności, pojawiała się od czasu do czasu w różnych obiektach, pilnowała porządku, dawała wskazówki, inicjowała gdzieś przeróbki bądź renowacje, aczkolwiek zawsze po uprzednim omówieniu ich z synem. Oboje znakomicie się rozumieli, zarówno na gruncie zawodowym, jak prywatnym.

Carmen nie należała do matek ciągle wtrącających się w życie dzieci. Przeciwnie, w sprawach Eryka zachowywała daleko idącą wstrzeźliwość i tolerancję. Szanowała jego postępowanie i decyzje oraz taktownie nie zabierała głosu, gdy coś nie budziło jej uznania.

Milczeniem więc pomijała długoletni związek syna z Inga Maienstedt, chociaż w głębi serca raczej nad nim bolała.

Nie było w tym ani cienia matczynej zazdrości. Carmen Wylander życzyła Erykowi z całej duszy kobiety, z którą mógłby się ożenić i mieć dzieci. Ale Inga Maienstedt nie należała do takich kobiet. Nic miała przy tym dla niej istotnego znaczenia owa niewielka różnica wieku na niekorzyść syna. Uważała po prostu, że Eryk marnuje najlepsze lata u boku osoby trudnej, egocentrycznej i zmiennej. I to ją właśnie najbardziej martwiło.

Jednak nie powiedziała na ten temat ani słowa.

Zebrała ścięte w ogrodzie kwiaty i ujęła syna pod ramię, gdy wracali do domu.

Wielki salon urządzono, podobnie jak resztę pokoi w willi, z wyszukaną elegancją. Wszędzie stały kompozycje kwiatowe w dobranych wazonach, ściany zdobiły prawdziwe stare gobeliny, a olbrzymie frontowe okno przysłaniały jedwabne draperie. Wśród rozlicznych luster, szklanych stolików i lamp z weneckiego szkła znajdowały się kosztowne antyki, a także pojedyncze dzieła współczesne, które, o dziwo, wspaniale harmonizowały z resztą wnętrza.

Eryk podszedł do barku i przygotował dwa dziny z tonikiem.

— Potrafisz milczeć? — spytał.

— Jak mnich z zakonu trapistów — odrzekła Carmen, kładąc dopiero co zdjęty ogrodowy fartuch na oparciu krzesła.

Podat jej szklanę i uśmiechając się wzniesli toast bez słów.

— Jestem z ciebie dumny. Myślałem w Sztokholmie, że mnie wzrok zawodzi. Ten gobelin w holu... Że też umiałaś się z nim rozstać.

— Te tkaniny wiszą tutaj bezproduktywnie, nikt ich nie podziwia — Carmen wskazała palcem na dwie makaty obok otwartych dwuskrzydłowych drzwi do jadalni i jedną nad kanapą. — Numer drugi i trzeci powiesimy w hotelu w Budapeszcie, a numer czwarty w Berlinie.

— Czy to oznacza, że wybierasz się znowu na *tourd'hotel*? — spytał rozradowany.

— Przepowiadałeś mi przecież, że nie wytrzymam lenistwa — potwierdziła.

— Nie wiem, jak to robisz — powiedział, patrząc na matkę z oddaniem — ale twoja obecność działa na personel niczym prawdziwy doping. Nagle wszyscy, czy to Szwedzi, czy Włosi, wyłazą ze skóry. Zdajesz sobie sprawę, że każdy hotel pierwszej kategorii potrzebuje kogoś właśnie takiego, nawet jeśli nic bardzo wiadomo, na czym polega twój sukces.

Carmen Wylander odgarnęła gęste rudawe włosy z czoła. Oczy błyszczały zadowoleniem.

— Na kiju i marchewce, najstarszym środkiem dopingującym na świecie. Uwielbiają mnie i czują obawę.

— Mówisz, że biorą przykład ze mnie? — zakpił i oboje się roześmieli.

Eryk odstawił szklaneczkę.

— Pójde jeszcze do Łodzi.

Trzymał nad jeziorem szybką, zwrotną żaglówkę, a teraz naszała go ochota na krótki wypad.

— Maienstedtowie przychodzą koło siódmej — uprzedziła go matka.

— Wiem — odparł trochę zniecierpliwionym tonem. — Mogłoby się wydawać, że sąsiedzi są dla ciebie ważniejsi niż własny syn. A tak się cieszyłem na spokojny wieczór we dwoje.

Pewnie, że mu nie na rękę siedzieć przy jednym stole z Ingą i Konradem Maienstedtami, pomyślała Carmen z lekką ironią, wiedząc jednocześnie, że syn ją doskonale zrozumiał.

— Tak trzeba — powiedziała zdecydowanym tonem.
— Koniecznie muszę uczyć matkę Sary.

— Ty jesteś jej matką? — spytał.

Rzuciła mu zamyślane spojrzenie.

— Każda dziewczyna potrzebuje matki — rzekła z naciskiem. — Także Sara.

Carmen zaplanowała wystawną kolację i sama wraz z gospodynią Matyldą zajęła się przygotowaniami. W menu znalazły się smakowite przystawki, comber barani jako danie główne, a na deser olbrzymi tort, upieczony przez Matyldę wyłącznie z myślą o Sarze.

— Wspaniały — orzekła Carmen lustrując arcydzieło.
— Jest tu wszystko, za czym przepada Sara. Czekolada, bezy, migdały, a nawet żelkowe miśki. Matyldo, jestem z nas dumna!

Goście pojawili się punktualnie. Pieszko pokonali krótką trasę przez park do willi Wylanderów. Na dzwonek Ingi drzwi otworzył ubrany w ciemny garnitur Eryk.

— Miło was widzieć — odezwał się uprzejmie.

Na pozór zdziwiona Inga podała mu rękę.

— Eryku, zawitałeś do kraju? Jak się miewają hotele?

— Nieźle, nieźle — odpowiedział bezwiednie i zwrócił się do Konrada. — Witam, profesorze...

Gdy panowie ściskali sobie dłonie, Sara uwolniła się spod ramienia Marka i podeszła bliżej. Miała na sobie białą sukienkę i płaskie baletki. Przyglądał się jej całkowicie zaskoczony.

— Na pewno byś jej nie rozpoznał, prawda? — odezwała się Inga, kładąc rękę na szczupłych plecach córki.

Sara posłała Erykowi uśmiech. Oczy jej błyszczały, usta były lekko rozchylone.

Oczywiście, że ją rozpoznał. Dziewczynę z jeziora, którą obserwował dziś przed południem z balkonu hotelowego apartamentu, nie podejrzewając nawet, że to Sara Maienstedt.

— Dziewczynka z warkoczykami — powiedział, nie spuszczać wzroku z młodziutkiej twarzy. — Gdzieś ty się dotąd podziewała?

— W internacie dla dziewczynek z warkoczykami. W klasztorze w Marienbergu. — Jej uśmiech stał się szerszy.

Podobała mu się ta cięta riposta.

— No i jak tam jest? — spytał wesoło, ciągle nic uwalniając jej dłoni.

— Już zapomniałam — Sara odrzuciła w tył głowę i roześmiała się pełną piersią.

Matylda podała powitalnego szampana. Jej kolacja, a zwłaszcza tort odniosły pełny sukces.

Sara rozkoszowała się tym pierwszym, jak go w cichości ducha nazywała, wieczorem na wolności, rozkoszowała się miłością Marka Loewa, którą jej na każdym kroku okazywał, oraz tym, że Eryk Wylander prawie nie spuszczał z niej wzroku.

Cóż, nie była już dziewczynką z warkoczykami, na którą niemal nic zwracał uwagi, lecz młodą kobietą, która mu się wyraźnie spodobała! Sara to czuła i dla niej było to właściwe *clou* wieczoru. Młody ptak rozpościerał skrzydła do lotu...

W ten sposób umknęła uwadze Sary dziwnie napięta atmosfera wokół okrągłego stołu w jadalni.

Jej sąsiadami byli ojciec i Marek. Inga siedziała między Markiem i Erykiem, a Carmen obok syna z jednej strony i Konrada z drugiej. Podczas posiłku prowadzono błahe rozmowy, lecz główne zajęcie Ingi sprowadzało się do obserwowania męża, który robił wrażenie spiętego i przybitego-

Profesor natomiast omiatał raz po raz nieprzyjemnym spojrzeniem żonę i Eryka.

Indze bardzo się ta sytuacja podobała. Rozprawiała szarmancko z Markiem i Erykiem, z satysfakcją stwierdzając, że małżonek wyraźnie cierpi.

Co on właściwie wie, stawiała sobie w myślach pytanie i zaraz sama na nie odpowiadała: Nic. Ale coś wyczuwa i to go boli. Wspaniale!

Usługująca do stołu Matylda chciała nałożyć Sarze kolejny kawałek tortu.

— Dzięki, ale zjadłam już trzy porcje. Jeszcze trochę, a pękne — broniła się dziewczyna.

— W takim razie chyba najlepszy będzie mały spacer po parku — Carmen Wylander w bardzo szykownej czarnej sukni odsunęła krzesło, wstała i pozwoliła Matyldzie otulić się lekkim wełnianym szalem, spoczywającym dotąd na oparciu. Pozostali także się podnieśli.

Odciągnęła Sarę na stronę.

— Cały wieczór się zastanawiam... Ten angielski haft na sukience, to twoja robota? Pewnie ci to zajęło z rok czasu...

— Sześć nocy — sprecyzowała z dumą dziewczyna.
— Ale lepiej nie oglądać tego pod lupą.

Tego wieczora Carmen miała na szyi przepiękny łańcuszek ze złotego filigranu z pojedynczą perłą w kształcie łezki.

Teraz zdjęła go i próbowała założyć Sarze, nie potrafiła jednak zapiąć skomplikowanego zameczka.

— Pomożesz mi? Masz lepsze oczy — zwróciła się do syna.

Natychmiast podszedł i zamocował łańcuszek. Jego palce dotknęły przy tym włosów, które Sara podtrzymywała w górze obiema rękami, i delikatnego, opalonego karku.

Móc teraz objąć tę porywającą istotę...

Ręce Eryka Wylandera drżały lekko, gdy wkładał je do kieszeni marynarki, odstępując od dziewczyny.

Sara oniemiała wprost na tak drogocenny podarunek i nie posiadała się z radości. Nie znała się za bardzo na biżuterii, ale wiedziała, że Carmen Wylander nosi tylko rzeczy najlepsze i najwytworniejsze. Oszołomiona dotknęła ręką perły. Carmen z uśmiechem zaciągnęła ją przed lustro.

— Przypatrz się sobie, dziewczyno. Na tobie wygląda dużo lepiej niż na mnie.

Rozpromieniona Inga Maienstedt chwyciła męża pod rękę zupełnie jak czuła, dumna matka. Jak wszystkie role w swoim życiu, tak i tę grała perfekcyjnie.

— Nasza Sara! Jaka śliczna!

Dziewczyna wciąż jeszcze nie znalazła odpowiednich słów, by podziękować sąsiadce, objęła ją więc tylko z całej siły. A potem zerknęła ponownie w lustro i lekko się obróciła.

Eryk nie odrywał od niej oczu. W zwierciadle rozpoznała ich wyraz i zabrakło jej tchu.

Inga Maienstedt przerwała tę magiczną chwilę, podchodząc do Sary i obejmując ją ramionami.

— Nie myśl, maleńka, że mama zapomniała o maturalnym prezencie dla ciebie.

Otworzyła płaską wieczorową torebkę. Tymczasem Konrad Maienstedt zniknął w przyległym salonie, siadł do otwartego fortepianu i zaczął grać. Nie potrafił dłużej znieść Ingi w roli kochającej i troskliwej mamusi.

Ona zaś wyciągnęła wreszcie z torebki kopertę.

— Polecimy na Bali. Zawsze się tam chciałaś wybrać.

Po raz drugi tego wieczoru Sara oniemiała z zaskoczenia. Potem rzuciła się matce na szyję.

— Bali?! Mamuśku. to super! Absolutnie cudowne! Kiedy?

— Myślę, że jeszcze w tym miesiącu.

Sara zrobiła kilka głębokich wdechów. Wciąż czuła oszołomienie. Potem podbiegła do Marka, opierającego się o futrynę balkonowych drzwi, chwyciła go za rękę i pociągnęła w głąb ogrodu, oświetlonego lampionami i pochodniami, których szafranowe światło rzucało błyski na dróżki i zarośla.

Inga popatrzyła za nią z zadowoleniem, a potem wzięła pod ramię Eryka.

— Ze też mój mąż zawsze musi grać to samo — rzekła z niesmakiem. — Tak mnie to nudzi.

Nic na to nie odpowiedział. Przyglądał się, jak młodzi ze splecionymi dłońmi zatrzymują się nieopodal w cieniu olbrzymiego rododendrona.

— Jadę na Bali! Słyszałeś? — Podniecona Sara objęła chłopaka rękami za szyję. Z salonu dobiegły dźwięki fortepianu. — Zatańczmy! Marku, chodź potańczyć!

Nagabnięty nie poruszył się. Oczywiście nie odmawiał jej radości z wyjazdu. Z drugiej jednak strony tak się cieszył, że będzie ją teraz codziennie widywał. Już planował, co będą razem robić... A ona, ledwie się pojawiła, z miejsca chce zniknąć.

— Mógłbym pojechać z tobą na Bali — odezwał się z ociąganiem. — To znaczy, o ile nie wolisz być z matką — dodał pośpiesznie, gdy nie odpowiedziała od razu.

— Oczywiście, że pojedziesz z nami — zawołała zachwycona i pocałowała go. — Co byśmy z mamą robiły same w dżungli bez mężczyzny!

— No właśnie — powiedział uszczęśliwiony. — Są sytuacje, w których nie obejdziesz się bez mężczyzny.

Eryk obserwował ich uściski. Marek przyciągnął do siebie wiotką postać, ale uwolniła się, gdy pocałunek stał się bardziej namiętny.

— Chodźmy potańczyć! — powtórzyła.

— Nie tu i nie teraz — odparł zachrypniętym głosem.

Tak bardzo ją kochał. Tęsknił do chwili, gdy znajdą się sam na sam. Nie uśmiechało mu się trzymanie jej tego wieczora w ramionach pod wyrozumiałymi spojrzeniami rodziców i pozostałych obecnych.

Sara odbiegła tanecznym krokiem w kierunku Eryka Wylandera, który właśnie z Ingą u boku wyszedł na taras.

— Czy mogę pana prosić? — dygnęła żartobliwie.

Eryk otoczył ramieniem jej talię. Tańczyła jeszcze trochę niezgrabnie, jak to młoda dziewczyna, która dotąd nie miała wielu okazji, by wypróbować swoje umiejętności. Ale cóż to znaczyło, skoro mógł obserwować z bliska jej uśmiechniętą, śliczną twarzyczkę.

Podczas kolejnego obrotu dostrzegł, że Inga nic spuszcza z nich wzroku. Sara jest córką Ingi, pomyślał. Co się z tobą, u Boga Ojca, dzieje? Bądźże rozsądny, nie dopuść do tego!

Równocześnie dotarło doń, że już został usidlony, że czar, który roztoczyła przed nim ta dziewczyna w białej sukience, działa.

Ellen Vondrowski, wysoka, szczupła, w eleganckim ciemnym sportowym kostiumie, wyszła z przeszklonej windy w holu siedziby swojego koncernu farmaceutycznego.

Recepcjonista na widok szefowej skinął trzymaną w ręku słuchawką telefonu.

— Profesor Maienstedt — poinformował.

Ellen uśmiechnęła się z ulgą. A więc udało się w ostatniej chwili. Oddała teczkę z dokumentami szoferowi, oczekującemu przy ladzie recepcji, i wzięła słuchawkę.

Jechała właśnie do Monachium i przy tej okazji chciała koniecznie raz jeszcze porozmawiać z profesorem. Bardzo liczyła na to, że Maienstedt przyjmie jej ofertę i w osobistej rozmowie miała nadzieję wymóc na nim zgodę. Sprawna *businesswoman* uparła się go zaangażować jako dyrektora instytutu badawczego. W jej oczach tylko on miał najwyższe kwalifikacje naukowe, by zapewnić fundacji zmarłego męża znaczący sukces.

Konrad Maienstedt czuł się zaskoczony i lekko zaniepokojony, gdy Ellen zapowiedziała swoją wizytę na wieczór tego samego dnia.

Jego żona sprzeciwiała się przeniesieniu do Hamburga. Miał nadzieję, że ją jeszcze przekona, a jednocześnie obawiał się, iż pani Vondrowski wobec nieprzejednanej postawy Ingi zrezygnuje z projektu.

Stąd też próbował ją zniechęcić do odwiedzin, jednakże właścicielka koncernu nie słuchała żadnych argumentów.

— Drogi profesorze — przekonywała grzecznie, acz stanowczo — dla mnie to żaden kłopot. Po prostu wpadnę do państwa na chwilę i możemy wszystko spokojnie przedyskutować.

Z jednej strony cieszyło Maienstedta jej wyraźne zainteresowanie, z drugiej zaś czuł się postawiony pod ścianą.

— Ależ łaskawa pani, to nic jest konieczne! To znaczy, oczywiście, czuję się zaszczycony, ale doprawdy potrzebuję jeszcze tylko kilku dni — próbował ją zniechęcić.

— Nic mamy zbyt wiele czasu — odparła Vondrowski. — Dlatego lepiej będzie, jeśli przyjadę. To prawie po drodze.

— Obawiam się, że nic pani nie powstrzyma — Maienstedt uśmiechnął się, choć tego nie widziała. — W takim razie cieszę się na spotkanie — dodał miłym tonem.

— Ja także, profesorze. Do zobaczenia.

Nie czekając na odpowiedź odłożyła słuchawkę. Najwyższy czas jechać na lotnisko, jeśli nie chce się spóźnić na samolot.

Maienstedt rozmawiał z telefonu w laboratorium. Kiedy wyszedł do ogrodu, z domu wybiegła Inga w żółtym kostiumie kąpielowym i takiej samej spódnicy. Przez ramię przezucony miała frotowy płaszcz.

— Vondrowski tu jedzie — poinformował żonę lekko niepewnym głosem. — Boję się, że trzeba jej będzie dać ostateczną odpowiedź.

Jasne oczy Ingi zwężyły się. Za żadne skarby nie chciała przенosić się do Hamburga. Spotkania z Erykiem stałyby się rzadsze i trudniej by je było zorganizować.

— Nie pytałeś jeszcze Sary — stwierdziła rozdrażniona. — W gruncie rzeczy mnie także nic pytałeś, czy chcę z tobą jechać do Hamburga.

Nie czekała na odpowiedź męża. Minęła go i poszła nad jezioro.

— Idę popływać — rzuciła, nic odwracając się.

W trakcie tej krótkiej wymiany zdań profesor naciągnął stojące przed drzwiami laboratorium kalosze, by pobrać jeszcze kilka niezbędnych próbek wody z jeziora. Jego kolejne słowa zmusiły żonę do zatrzymania się.

— W takim razie wydaje mi się, że wiem, co mam robić. Hamburg to nowy początek nie tylko dla mnie. Takie dla ciebie i dla Sary.

Spojrzenie Ingi stało się niemal wrogie, toteż spróbował ją nakłonić do zgody.

— To, co mi oferuje koncert Vondrowskiego, jest unikalne. To moja ostatnia wielka szansa.

— Tak, tak, i szansa dla całej ludzkości — Inga wykrzywiła wargi. — Wiem. Chcesz ratować oceany przed zagładą. A nie radzisz sobie z własnymi małymi problemami.

Nie pojął w pierwszej chwili, o co jej chodzi, więc spojrzał pytająco.

— A może tymczasem zdecydowałeś się już na termin badania? — ciągnęła Inga z ironią. — No widzisz! — roześmiała się złośliwie, gdy bez słowa spuścił głowę.

— Z upływem czasu zacząłem odnosić wrażenie, że wylądowałem tutaj na bocznym torze — odezwał się, wodząc wzro-

kiem po jeziorze. — I jeśli chcesz być uczciwa, to przyznasz, że z tobą jest podobnie.

Zrezygnowała z odpowiedzi. Zdjęła sandały i bosy podeszła do brzegu.

— Nie wypływaj za daleko! — krzyknął za nią.

Znowu nie odpowiedziała. Brodząc w wodzie dotarła do głębiny i szybko odpłynęła w kierunku szopy na łodzie, znajdującej się pomiędzy parcelami po stronie Wylanderów.

Konrad Maienstedt nie mógł dostrzec, że opływa pomost i wchodzi na drewniane schodki. Wyniosła z szopy szeroki piankowy materac, wrzuciła go do łodzi, a potem zsunęła się po wąskiej drabince i położyła.

Umówili się tu z Erykiem. Często bywali razem w szopie, a wspomnienie namiętych potajemnych schadzek sprawiło, że odczuła lekki dreszcz pożądania. Oby kochanek wkrótce nadszedł!

O tej samej porze Eryk opuścił willę drogą przez taras i kierował się na ścieżkę wiodącą nad jezioro.

Skosem przez trawnik pędziła ku niemu Sara na rowerze.

— Z nieba mi spadasz — zawołała radośnie na jego widok.

— Ja? — zatrzymał się i zaczekał na nią.

Szyję dziewczyny zdobił ten sam łańcuszek, który Carmen podarowała jej poprzedniego wieczora.

— Tak go dokładnie zapamiętałem, że nie mogę zdjąć — rzuciła, zsiadając z roweru.

— Jeśli tylko o to chodzi... Mogę? — Podeszedł do niej z tyłu.

Tego przedpołudnia znów miała rozpuszczone włosy i z ociąganiem zanurzył rękę w ciemnych lokach, by je podnieść znad karku.

Chciała mu pomóc i na moment ich dłonie się zetknęły.

Potem rozpiął zameczek i łańcuszek ześlizgnął się z szyi dziewczyny w nadstawione ręce. Eryk popatrzył na jej opuszczoną głowę.

— Ten zamek jest naprawdę skomplikowany. Pokażę ci, jak działa.

Słuchała go z uwagą, gdy objaśniał, o czym musi pamiętać. Potem kazał jej poćwiczyć samodzielnie. Usiadła posłusznie na krzeselku na tarasie i kilkakrotnie zdjęła i włożyła łańcuszek bez pomocy.

— Chyba już umiem. — Westchnęła z ulgą.

W tym momencie na tarasie pojawiła się Carmen Wylan-der. Sara powitała ją całusem.

— Popsuł się? — spytała Carmen ze zmarszczonym czołem na widok klejnociku w rękach dziewczyny.

— Nic, zamek się ciężko otwiera—wyjaśniła Sara z uśmiechem. — Ale Eryk zdołał go pokonać.

Matylda wytoczyła na taras wózek z zastawą do herbaty. Carmen poszukała wzrokiem syna, który spiesznie oddalał się ścieżką ku brzegowi jeziora.

— Eryku? Co z tobą? Nie wypijesz z nami herbaty?

— Chcę wypłynąć łódką — odparł, odwracając się.

— Cudnie! Idę z tobą. Już dawno nie żeglowałam.
— Sara zerwała się z krzesła.

Wiedział, że Inga będzie punktualna. Prawic nigdy się nie spóźniała. Z reguły przychodziła na miejsce spotkania grubo przed nim. Sara pod żadnym pozorem nie może spotkać się z matką przy szopie...

— Myślę, że... — zaczął.

— I zostawicie tu staruszkę samotnie nad herbatą?
— Pomogła mu Carmen. — Saro, to nie było miłe z twojej strony!

Dziewczyna poczuła się trochę winna. Siadła znowu na krzesło, a Eryk rzucił matce pełne wdzięczności spojrzenie.

— Dzisiaj wiatr, hm, trochę nie sprzyja — stwierdził niepewnie. — Zabiorę cię na żagle w następnych dniach.

Długimi krokami podążył ku brzegowi i za chwilę zniknął w porastających go krzakach.

Carmen nalała Sarze filiżankę herbaty, obserwując dziewczynę z sympatią.

— No, a teraz opowiedz mi, co zamierzasz zrobić ze swoim życiem — zagadnęła.

Tymczasem Eryk dotarł do szopy na łodzie. Pół godziny wcześniej Inga zadzwoniła do niego, nalegając na spot-

kanie. Spełnił jej natarczywą prośbę, mimo to nie czuł się dobrze.

— Jesteś lekkomyślna — rzucił jej zamiast powitania.
— Twój mąż krąży gdzieś w pobliżu.

Inga pogładziła jego udo, kryjąc uśmiech.

— Czasami mam wrażenie, że on wszystko wie...

— Tak czy owak — odparł — ta zabawa w chowanego musi się skończyć.

Do diabła z pociągającą córką Ingi! To czyste szaleństwo i musi o nim zapomnieć! Jego kochanka nazywa się Inga Maienstedt i obiecał, że się z nią ożeni. Rozbił jej małżeństwo, choć Bóg jeden wie, że zrobiła wszystko, by mu to ułatwić. Mimo to był gotów ponieść wszelkie konsekwencje.

— On mnie nie uwolni — uśmiechnęła się. — Raczej się mną podzieli, niż zezwoli na rozwód.

— Nie może cię przecież trzymać wbrew woli.

Inga milczała ze ściągniętymi brwiami. Rozwód? Czy naprawdę go chce?

— Jak tak dalej będzie — naciskał Eryk miotany między zobowiązaniami wobec kochanki i tym nowym czarem, który go porwał — nasza miłość stanie się farsą.

Oczy Ingi przysłonił nieprzenikniony cień, jak zawsze gdy się mu wymykała.

— Boję się, że na skutek rozwodu stracę Sarę.

— Ach, daj spokój! Sara ma dziewiętnaście lat. Jest dorosła. — Zmarszczył czoło świadom, że to tylko wymówka.

— Na mnie już czas... — spojrzała na zegarek.

— Kiedy jedziesz do Hamburga? — spytał, gdy się podniosła.

Wiedział oczywiście o propozycji Ellen Vondrowski. Inga mu opowiedziała. Spojrzała nań teraz, jakby palnął jakieś głupstwo.

— Do Hamburga? Nigdy. Już to Konradowi uzmysłowiłam. Jeślibym tam pojechała, straciłabym ciebie. A tego nie chcę. Za nic w świecie.

Uśmiechnęła się we właściwy sobie sposób, na poły przekornie jak rozpieszczane dziecko, na poty uwodzicielsko.

- Wszystko zostanie po staremu. Nie ruszę się stąd, a on niech robi, co chce.

— Czasami mi się zdaje, że wcale nie tęsknisz za tym, żeby go opuścić — popatrzył na nią z zastanowieniem.

Ciebie także nie, pomyślała, całując go na pożegnanie.

— Jeszcze dzisiaj z nim porozmawiam — rzekła na pozór zdecydowanym tonem. — Obiecuję.

Ellen Vondrowski dotarła z Monachium nad Ammersee do Konrada Maienstedta wynajętym samochodem.

— Jak tu u pana ładnie — pochwaliła, gdy Vincenta przyprowadziła ją z domu przez park do laboratorium. Jezioro lśniło w słońcu jak szarosrebrny akwamaryn. — Potrafię zrozumieć, że ciężko panu to wszystko zostawić.

Profesor zaproponował, by usiadła, ale potrząsnęła głową i ruszyła na zwiedzanie laboratorium, chcąc się wszystkim przyjrzeć.

— Tyle że całość jest dla pana o parę numerów za mała. — Stała przed nim twarzą w twarz i uśmiechnęła się szczerze. — Każdy producent proszków do prania stroi się dzisiaj w zielone kropki. Gdyby tylko o to chodziło, nie starałabym się powołać do życia fundacji. Taniej by wyszło. Już mój mąż — ciągnęła niemal serdecznie — miał w planach fundację naukową. Już on myślał przy tym wyłącznie o panu. Był nie tylko przedsiębiorcą, lecz także wizjonerem. Oszczędził przedwcześnie, niemniej działał zgodnie z jego ideą.

Odwróciła się i wyszła na dwór. Za nią opuścił laboratorium Maienstedt. Stała obok jednego z wielkich terrariów i przyjrzała się siedzącej tam ropusze. Bez cienia odrazy wyciągnęła zwierzę i posadziła sobie na dłoni. Profesor obserwował ją zafascynowany.

Co za kobieta, pomyślał, gdy oglądała płaza ze wszystkich stron. Bezwiednie nasunęło mu się porównanie z Ingą, która brzydziła się zwierząt i której jego badania ani trochę nie obchodziły. Wydało mu się zarazem niesprawiedliwe zestawianie żony z Ellen Vondrowski.

— Błagam, profesorze — powiedziała z naciskiem, nie podnosząc wzroku.

Podszedł bliżej, wyjął jej ropuchę z ręki i włożył z powrotem do zbiornika.

— Pobrudziła się pani — zauważył na widok mokrych plam na żakiecie.

Nie odpowiedziała. Oddaleni o krok, spojrzeli sobie w oczy. Żadne nie spuściło wzroku. Maienstedt wciąż trzymał rękę Ellen w swojej dłoni.

W tym momencie na brzegu pojawiła się Inga. Mokry kostium oblepiał jej ciało. Wyglądała jak smukła nimfa, lecz w spojrzeniu płonął gniew. Sposób, w jaki Vondrowski i jej mąż patrzyli na siebie, wydał się jej nieprawdopodobny. Co ta kobieta sobie wyobraża? Myśli, że takimi chwytami zaciągnie Konrada do Hamburga?

Obietnica, którą dopiero co dała Erykowi, wydała jej się niedorzeczna. Nigdy nie wyzna mężowi zdrady i nigdy nie zażąda z tej przyczyny rozwodu. Jak mogło jej przyjść do głowy, żeby rezygnować z czegoś, co do niej należy? Zatrzyma ich obu i nie pozwoli się wyeliminować ani przechytryć.

Chłodno i bez słowa zlustrowała Ellen Vondrowski, która się do niej odwróciła.

— Właściwie przyjechałam tu do pani, pani Maienstedt. — Właścicielka koncernu starała się mówić serdecznym tonem. — To panią przecież muszę przekonać. Gdyby nie pani, dawno już bym miała profesora w Hamburgu. Myślę, że powinniśmy ten temat spokojnie przedyskutować — dodała z naleganiem w głosie.

Inga kiwnęła głową i uśmiechnęła się, lecz jej spojrzenie nadal pałało.

— Będę gotowa za piętnaście minut — powiedziała. — Lecę z wami do Hamburga.

Wieczorem przyszedł podekscytowany Marek, nie wierząc swemu szczęściu. To prawdziwy dar niebios, że rodzice Sary polecili do Hamburga i dziewczyna, nie licząc Kapitana,

została w domu sama. Vincenty także nie było. Dostała urlop i pojechała w odwiedziny do swoich portugalskich krewnych w Monachium.

Sara przygotowała dla obojga kolację — spaghetti ze smacowym mięsnym sosem i zieloną sałata/Siedzieli w altance przed domem, przy stole nakrytym starą porcelaną, udekorowanym kwiatami i świecami. Jedzenie odniosło pełny sukces.

Marek ściągał z półmiska resztki spaghetti i palcami wkładał je sobie do ust.

— Nic z tego nie powinno się zmarnować — odezwał się przełykając. — Za dobre. Nie miałem pojęcia, że w kuchni też jesteś genialna. — Posłał jej zakochane spojrzenie.

— Wszystko dzięki siostrze kuchmistrzynie Loredan — wyjaśniła zadowolona — która pochodzi z Pistoii i wprawdzie do dzisiaj nie nauczyła się porządnie mówić po niemiecku, natomiast dotrzyma pola każdemu kucharzowi z pięcigwiazdkowej restauracji.

Przysunął się odrobinę bliżej, by móc ją objąć. Gdy całował jej policzki i potem, gdy usta ześlizgnęły się na szyję, odchyliła głowę.

Cały dzień było gorąco i parno, a i teraz, wieczorem, nie wiał najłżejszy wiaterek. Szykowała się jednak zmiana. Nad jeziorem zaległy groźne, ciemne chmury, a z oddali dobiegał stłumiony odgłos grzmotu.

Cisza przed burzą.

Sara zdmuchnęła dopalającą się świecę i przebiegła wzrokiem jezioro. W dali, w szerokim jeszcze paśmie jasności dostrzegła na wodzie żaglówkę.

To pewnie Eryk. Pływał już od kilku godzin. Czyżby nie zauważył zbliżającej się nawałnicy?

Poderwała się i dość gwałtownie oswobodziła z objęć Marka. Zaczęła zbierać naczynia.

— Nie bądź taka nieromantyczna — poskarżył się rozczarowany, starając się ją na nowo do siebie przyciągnąć.

— Marek, przestań! — umknęła mu zręcznie.

— Już mnie nie kochasz? — spojrzał na nią z miną obrażonego chłopczyka.

— Ty głuptasie! — roześmiała się, obejmując jego twarz obiema rękami. — Oczywiście, że cię kocham. Od piętnastu lat!

Obsypała niezliczonymi drobnymi pocałunkami jego policzki, czoło i ciemne włosy, po czym odsunęła się lekko i ostentacyjnie ziewnęła.

— A teraz wrócisz grzecznie do domu, zanim rozpęta się burza.

— Co? — zawołał zaskoczony. — Myślałem, że zostanę tutaj...

— Popatrz, jak to się można pomylić!

Podniosła tacę z zebranymi naczyniami.

— Saro... — mówił proszącym tonem, otaczając ją od tyłu ramionami i całując w kark — tak bardzo cieszyłem się na ten wieczór... Już tak dawno...

— Daj spokój! — uwolniła się z objęć. — Jestem zmęczona i idę spać. Sama.

— W takim razie dobranoc! — rzucił na dobre rozeźlony.

Schodził pospiesznie po schodkach altanki, gdy tym razem ona go zatrzymała. Poczowała wyrzuty sumienia: przecież nie zasłużył na takie traktowanie. Marek to miły, kochany chłopiec... Gdy zawołała go po imieniu, natychmiast stanął i powoli się obrócił.

— Nie wygłupiaj się! — podeszła bliżej i uśmiechnęła się tak ciepło, że cała złość z niego wyparowała. — Jutro też jest dzień, prawda?

— W porządku. — Na zgodę pocałował ją jeszcze raz delikatnie w usta i szybko zniknął za rogiem domu, gdzie na podjeździe zaparkował samochód.

Słyszała, jak odjeżdża, gdy wzrokiem błądziła po falach. Łódka Eryka jak tańczący jasny punkcik unosiła się na wodzie.

Eryk Wylander także zauważył nadciągającą burzę, ale przeliczył się z czasem. Nie przypuszczał, że pojawi się tak szybko. Kiedy zrobił zwrot i próbował płynąć pod prąd

narastający wiatr i wzburzone fale, na brzegu zapalono już sygnalizację ostrzegającą przed sztormem. Pociemniałe niebo przecinały błyskawice, po których następowały grzmoty. Zaczęło lać jak z cebra i ściana deszczu zasłoniła brzeg. Tylko od czasu do czasu jakaś szczególnie jaskrawa błyskawica przerywała kurtynę kropel i przez ułamki sekundy można było coś zobaczyć.

Erykowi udało się dotrzeć do szopy na łodzie, ale miał kłopoty z przybiciem do pomostu. Wiatr i fale raz po raz odpychały łódkę, aż wreszcie zdołał zacumować.

Sara nie słyszała burzy. Spała w łóżku zdrowym snem dziewiętnastolatki. Dopiero wyjątkowo jasna błyskawica i dudniący w pobliżu potężny grzmot wyrwały ją z pościeli. Wymacała przycisk nocnej lampki, ale uderzenie pioruna wysadziło korki w całym domu.

Nie do końca rozbudzona odrzuciła kołdrę i wstała, by znaleźć pozostawioną na stole świecę. Potknęła się przy tym o leżącego między łóżkiem i stołem Kapitana i upadła. Padając zaś pociągnęła na siebie lampę na ciężkiej, mosiężnej nóżce, która uderzyła ją w głowę. Poczuła gwałtowny ból i nagłe mdłości, a potem straciła przytomność.

Eryk Wylander przemykał się w tym czasie skurczony w strugach deszczu w stronę swojej willi. Nagle wydało mu się, że przez szum ulewy słyszy alarmujące, podszyte strachem ujadanie psa.

To Kapitan, pomyślał. Zmienił kierunek i pobiegł do domu sąsiadów. Kolejna błyskawica pozwoliła mu ujrzeć szczekającego ze wszystkich sił zwierzaka w balkonowych drzwiach na pierwszym piętrze.

Okrażył dom. Drzwi wejściowe nie były zamknięte. Zduślił przekleństwo, gdy po przekręceniu kontaktu nie zapaliło się światło. Z pomocą zabranej z łodzi latarki odnalazł drogę do schodów na piętro.

— Profesorze? — zawołał półgłosem, ale odpowiedziała mu cisza.

Na górze kilkakrotnie powtórzył nawoływanie. Bez rezultatu. Kierując się szczekaniem, poszedł zatem do pokoju Sary.

Gdy wszedł do środka, przypadł mu do nóg popiskujący Kapitan. Włączył znowu wyczerpującą się latarkę i rozejrzał. Wtedy na podłodze dostrzegł leżącą dziewczynę. Klęknął tuż obok i ostrożnie przewrócił ją na plecy.

— Saro... — szepnął z niepokojem. Kapitan zawył żałośnie.

Otworzyła oczy.

— Czego się boisz, Kapitanie — wymamrotała matowym głosem. — Przecież to tylko burza... Ty tutaj? — Zdumiała się na widok pochylonego nad nią Eryka.

— Boli cię coś?

Spróbowała się unieść, ale nagły kłujący ból w głowie sprawił, że z cichym jękiem opadła na podłogę.

— Co mi się stało?

Dotknęła ręką czoła i fryzury. W świetle latarki Eryk dojrzał mocno krwawiące rozcięcie u nasady włosów.

— Upadłaś. Masz ranę na głowie — powiedział przerażony.

Sara cofnęła okrwawioną teraz dłoń.

— W łazience są bandaże i opatrunki...

— Nic tam w tej chwili nie znajdę.

— Piorun uderzył i dlatego się obudziłam — wyjaśniała, gdy szukał w nocnej szafce chusteczek higienicznych. Przycisnęła do rany całą ich znaną garść.

— Masz, trzymaj mocno.

Bardzo chciała go posłuchać, ale przeszkodziły jej ból i oszołomienie.

— Głowa mi pęka — mruknęła i ponownie straciła przytomność.

Odzyskała świadomość dopiero, gdy poprzedzany przez Kapitana Eryk niósł ją w ulewnym deszczu do willi matki. Spojrzała mu w oczy i przez kilka sekund nie spuszczała z siebie wzroku. A potem z lekkim westchnieniem otoczyła jego szyję ramionami.

Jak to miło być noszoną na rękach, pomyślała jak przez mgłę.

2

Carmen Wylander leżała już wprawdzie w łóżku, ale burza nie dała jej zasnąć. Toteż w końcu wstała, narzuciła lekki aksamitny szlafrok i zrobiła sobie herbaty.

Do wielkiej filiżanki dodała trochę rumu, wrzuciła kilka bryłek brązowego cukru, popróbowowała ostrożnie i dolała jeszcze odrobinę zawartości butelki.

Z parującym napojem przeszła do salonu, gdzie od kuchennego wejścia dobiegło ją drapanie i skomlenie. Gdy podeszła, by sprawdzić, co się dzieje, i zapaliła zewnętrzne oświetlenie, dostrzegła przez szybę Kapitana.

— Ty biedaku! Sara zostawiła cię na dworze przy tej pogodzie? — zawołała, pospiesznie odryglowując drzwi.

Pies przebiegł jak strzała przez cały dom, pozostawiając wszędzie kałuże wody. Na próżno starała się go chwycić za obroź. Pognał do salonu i zatrzymał się przy drzwiach na taras.

— Kapitan! Do nogi! — zaprotestowała. — Zapaskudzisz nam cały dom!

Dopadła go w końcu i chciała wyprowadzić do sieni, wtedy jednak przez okno dostrzegła stojącego na tarasie syna z Sarą na ręku.

— Ma ranę na głowie — wyjaśnił, gdy matka go wpuściła.

Wielkimi krokami przemierzył pokój i ulokował dziewczynę na jednej z kanap.

— U Boga Ojca, jak to się stało? — Carmen przeraziła się nie na żarty.

Nie odpowiedział. Wyjął koc z szafy i starannie otulił nim Sarę.

— Gdzie jest Matylda? — spytał.

Matka roześmiała się, znając strach gospodyni przed burzą.

— Schowała się pod kołdrą i odmawia różaniec... Sprowadzę doktora Speidla. — Spoważniała, patrząc na ranę.

Do tej pory Sara leżała bez ruchu z zamkniętymi oczami. Teraz dźwignęła się lekko.

— Nie potrzebuję lekarza — odparła słabym głosem.

Otworzyła nawet oczy, ale światło żyrandola oślepiło ją, więc czym prędzej przymknęła powieki.

— Boli cię coś? — spytał zatroskany Eryk.

Ostrożnie pokręciła głową.

— Tylko kręci mi się w głowie.

Tymczasem Carmen wyszła z pokoju, by zadzwonić po lekarza. Burza przeszła, za to gęsty deszcz padał nieprzerwanie.

Eryk prawidłowo zrozumiał gest, jakim Sara przysłoniła oczy, i wyłączył górne oświetlenie, pozostawiając jedynie gdzieś niedaleko ciepłe, stłumione światło kinkietów.

— Lepiej?

Dziewczyna spróbowała się podnieść. Natychmiast znalazł się przy niej i ułożył ją z powrotem na poduszce. Z ulgą stwierdził przy tym, że rana już nie krwawi.

— Chcesz coś do picia?

— Dzięki, nie — uśmiechnęła się nieznacznie. — Odstawisz mnie do domu? — dodała na widok jego zmartwionego spojrzenia.

Nie odpowiedział od razu. Obserwował ją przez chwilę jak malarz, który stara się zapamiętać każdy szczegół twarzy. Była blada i osłabiona, a mimo to zdawała mu się cudownie piękna.

— Do domu? — powtórzył z uśmiechem i pokręcił głową.

— Mowy nie ma. Zostaniesz tu jak grzeczna dziewczynka.

Z lekkim westchnieniem osunęła się głębiej w poduszki na kanapie i przymknęła oczy. Nieźle, pomyślała. A nawet jeszcze lepiej.

Dwadzieścia minut później zjawił się doktor Speidl. Tymczasem matka Eryka dała Sarze nocną koszulę i dopasowany do niej szlafrok oraz umieściła w łóżku w jednym z gościnnych pokoi.

Lekarz opatrzył ranę, postawił diagnozę „wstrząśnienie mózgu” i zaordynował bezwarunkowe leżenie. Na koniec dołożył jeszcze zastrzyk.

— Żeby nie czuła bólu i dobrze spała — wyjaśnił. — Pojutrze, po przedpołudniowym dyżurze w gabinecie, przyjadę znowu. Sądzę, że do południa się nie obudzi.

Sarze już teraz zamykały się oczy. Prawie nie słyszała, jak doktor Speidl wychodzi, odprowadzany do drzwi przez Carmen. Wyciągnęła się wygodnie w łóżku. Przy wejściu paliła się mała, osłonięta kloszem lampka.

Z ulgą przyjęła, że w następstwie zastrzyku ból pod założonym przez Speidla opatrunkiem maleje, podobnie jak nieprzyjemne łupanie pod czaszką. Pozostało uczucie wszechogarniającego, wspaniałego zmęczenia...

Carmen Wylander także poszła już do swojej sypialni. Tylko Eryk był jeszcze na nogach. Siedział w gabinecie nad stosikiem nie przeczytanej poczty, nie potrafił się jednak skoncentrować. Dręczył go niepokój, a zarazem napełniało głębokie zadowolenie. Sara była w tym domu. Spała zaledwie kilkoro drzwi dalej. A jutro ją znowu zobaczy.

Oparł się o zagłówek skórzanego fotela, odsunął listy i przypomniał sobie, jak niosąc dziewczynę w deszczu czuł dotyk jej miękkiej skóry i włosów na policzku, gdy zarzuciła mu rękę na szyję.

Wiedział, jak niebezpieczny jest dla niego czar, który roztacza Sara Maienstedt. Wiedział, że w imię rozsądku powinien jutro rano polecieć do Sztokholmu. Tymczasem — było już grubo po północy — wstał i poszedł do jej pokoju, bezszelestnie otworzył drzwi i zbliżył się do łóżka.

Przyglądał się niczego nieświadomej dziewczynie. Znowu zapamiętywał każdy detal rozluźnionej, młodzieńczej twarzy i zdawało mu się, że całuje ją wzrokiem.

Nie, nie poleci do Sztokholmu. Zostanie tutaj.

Hamburga nie nawiedziła burza. Piękny słoneczny dzień zakończył się łagodnym zmierzchem. Ellen Vondrowski, niewymownie szczęśliwa, że udało się jej namówić Inge i Konrada Maienstedtów do tych odwiedzin, zorganizowała dla nich niezapomniany wieczór. Zamówiła bilety do opery, a potem stolik w „Le Canard”, po wyśmienitym zaś posiłku osobiście odwiozła do hotelu.

— No i co, moja droga? — zapytała, biorąc Inge przyjaźnie pod ramię. — Czy Hamburgowi i mnie udało się zmiękczyć pani serce?

Ubrana w przepiękny czarny kostium z naszywanego cekinami tiulu Inga niby niechcący odepchnęła lekko rękę Ellen i uśmiechnęła się uprzejmie.

— To był doprawdy czarujący wieczór. Bardzo pani dziękuję. — Gdyby mogła, uśmiechnęłaby się z jeszcze większą słodyczą. — Na pewno nie oczekuje pani jednak, że naszą decyzję uzależnimy od jednej wizyty w operze czy też w eleganckiej restauracji?

Ellen Vondrowski udała, że nie zauważa rozdrażnienia Ingi.

— Oczywiście! Ma pani rację — roześmiała się. — Niemniej proszę wziąć pod uwagę, że Hamburg wita panią z otwartymi ramionami. Wypijmy jeszcze po lampce szampa w barze! — Zwróciła się do Konrada, towarzyszącego z tyłu obu paniom.

Już chciał z radością przyklasnąć pomysłowi, gdy ubiegła go żona.

— Przykro mi, pani Vondrowski. Straszliwie rozboleła mnie głowa.

Uśmiech zamarł na wargach Ellen. Przez moment oczekiwała, że profesor coś powie, ale milczał. Zauważyła jednak,

jaką przykrość sprawiło mu zachowanie żony. Zęby nie pogłębiać zaistniałego napięcia, kiwnęła tylko przyjaźnie głową.

— W takim razie... dobranoc. Zobaczymy się jutro.

Maicnstedtowie zaczęli, aż wsiadzie do auta. Gdy szofer wykręcał, pomachała im jeszcze krótko z tylnego siedzenia.

W westybulu Inga wzięła Konrada pod ramię i zatrzymała się.

— Nic gniewaj się — powiedziała, mrugając po dziecinnemu żałośnie powiekami — na dzisiaj miałam jej po prostu dosyć. — Oparła się o niego i ułożyła usta do pocałunku. — Chciałam cię mieć tylko dla siebie...

W apartamencie zamówiła szampana, a dla męża czerwone wino. Gdy pili, próbowała dodzwonić się do Sary.

— Nie odbiera — stwierdziła z niepokojem po wielu sygnałach.

Maicnstedt powiesił marynarkę na oparciu krzesła i zdjął krawat.

— Co ci się właściwie nie podoba w Ellen Vondrowski? — spytał, rzucając żonie badawcze spojrzenie.

— Żebym to ja wiedziała! — odparła Inga ze słuchawką przy uchu. — Byłeś z nią w łóżku?

— Masz na myśli kanapkę w jej biurze? — Roześmiał się.

— Jeśli jeszcze nic próbowała, to masz to przed sobą. Halo? — zawołała do telefonu.

Odpowiedzi nie było. Ze zmarszczonym czołem odłożyła słuchawkę.

— Zadzwoisz później — uspokoił ją. — Wiesz przecież, jak chętnie Sara wieczorem pływa.

Przez następną godzinę łączyła się z willą wielokrotnie, oczywiście bez skutku. Wreszcie zrezygnowała i poszła do łazienki.

Kiedy pojawiła się z powrotem w bardzo seksownym pienuarze, mąż otwierał teczkę z dokumentami. Na sobie miał już piżamę, a obok na biurku stała szklanka wody mineralnej. Zobaczyła jeszcze, jak wyjmuje z opakowania listek z tabletkami, wyciska dwie z folii, łyka i popija.

Wiedziała, że z powodu serca musi regularnie zażywać lekarstwa. Nic odezwała się jednak. Kiedy Konrad kładł się do łóżka, przysiadła na brzegu.

— Jutro z samego rana zadzwonię jeszcze raz...

Nic nie powiedział, wziął z nocnego stolika gazetę i zaczął ją przeglądać.

Inga oparła łokieć na kolanie. Poważnie się niepokoiła. Gdzie jest Sara? Czy z Markiem?

— Nawet jej porządnie nie uświadomiłam... — rzuciła po chwili.

Maienstedt wykrzywił usta w grymasie uśmiechu i opuścił gazetę.

— Prawdopodobnie jest gruntowniej uświadomiona, niż my oboje kiedykolwiek będziemy. Takie czasy... Nawet za klasztornymi murami.

— A jeśli nie? — Inga przygryzła dolną wargę.

— To znaczy, że ma szczęście — odparł małżonek z szerokim uśmiechem.

— Co masz na myśli? — spytała zaskoczona.

Rzucił gazetę na podłogę przy łóżku i zgasił nocną lampkę po swojej stronie.

— Z miłością jest jak z trzęsieniem ziemi — powiedział, wyciągając się wygodnie. — Nie znam żadnego badacza tego zjawiska, który osobiście w nim uczestniczył.

Inga wsunęła się także pod kołdrę i zgasiła światło. Żałowała przyjazdu do Hamburga. Z drugiej jednak strony byłoby, jej zdaniem, wysoce nierozsądne zostawienie męża i tej Vondrowski tylko we dwoje. Ta kobieta jest niebezpieczna. I wcale nie interesuje się Konradem wyłącznie z zawodowego punktu widzenia. Takie rzeczy Inga Maienstedt wyczuwała instynktownie.

Kiedy następnego ranka Inga znowu nie zastała Sary w domu, połączyła się z willą Wylanderów. Odebrała Carmen. Właśnie zasiadali do śniadania. Stół wprawdzie nakryto, ale Eryk zajmował się jeszcze wynajdywaniem w laptopie

danych potrzebnych do jakiegoś zestawienia kosztów i tylko mimochodem słuchał matki, która zajęła miejsce z bezprzewodowym telefonem w ręce.

Burza poczyniła spore szkody, połamała gałęzie i kwitnące krzewy, a trawniki i rabatki zostały dosłownie zatopione. Teraz jednak znowu świeciło słońce, a na niebie nie pojawiła się dotąd żadna chmurka.

Przysłuchując się relacjom Ingi z Hamburga i wczorajszego wieczoru z Ellen Vondrowski, Carmen planowała kolejność niezbędnych prac w ogrodzie. Od czasu do czasu wtrącała: „No, coś takiego” albo: „Tak, tak” lub tylko: „Hm”.

Potem padło pytanie o Eryka.

— Przykro mi, ale nie ma go w domu — odpowiedziała od razu. — Wypompowuje wodę z łódki. Wiesz, dziś w nocy to nie była burza, a istny potop. Ogród zamienił się w bagno.

— W takim razie pozdrów go od nas. I Sarę oczywiście także — pożegnała się Inga.

— Przekażę — obiecała Carmen. — Trzymajcie się!

Kiedy zakończyła rozmowę, syn oderwał wzrok od komputera.

— Inga?

Potwierdziła skinieniem.

— Wolałam nie ryzykować, że opowiesz jej swoją wersję całej historii.

— Ciekawostka. — Siadł naprzeciwko przy stole.

Carmen uśmiechnęła się szelmowsko. Ani słowem nie wspomniała o wypadku Sary, by nie straszyć jej matki. Niech zostaną spokojnie z mężem w Hamburgu. W głębi duszy miała nadzieję, że Inga ostatecznie pogodzi się z pomysłem przeprowadzki na północ. Życzyła profesorowi tej wielkiej szansy. Życzyła także sobie i synowi, by Inga przestała wreszcie mieszkać z nimi drzwi w drzwi.

— Przedstawiłam nocowanie Sary jako własny pomysł — wyjaśniła. — Że niby graliśmy do późna w brydża, no a potem przyszła burza. I dlatego Sara z Kapitanem zostali u nas na noc.

Weszła Matylda ze świeżo gotowanymi jajkami.

— Czy mam zanieść śniadanie dla panienki Sary na górę?
— spytała, stawiając koszyczek na stole.

— Śpi jeszcze — zaprzeczył Eryk. — Doktor Speidl powiedział, że po zastrzyku prześni do południa.

Po wyjściu gospodyni Carmen spojrzała na syna spod oka.

— Wędrowałeś dziś w nocy po domu niczym duch — zauważyła.

Drgnął nieznacznie.

— A ty wszystko słyszysz? — W pytaniu pobrzmiwało zawstydzenie.

— Wiesz przecież, że mam lekki sen. Do tego jedna klepka na korytarzu skrzypi jak pohańbiony stradivarius.

Nie odpowiedział. Całkowicie poświęcił się rozsmarowywaniu na toście masła i marmolady, a potem jedzeniu. Carmen wypła łyk kawy i czekała.

— Eryku? — spytała w końcu, gdy wciąż nie odpowiadał.

— Mamo? — powtórzył dokładnie tym samym tonem, podnosząc wzrok.

— Czasami zadaję sobie pytanie — westchnęła — po co się zadawałam ze Szwedem! Jesteście tacy zamknięci w sobie...

— Pociesz się — wykrzywił twarz w uśmiechu — że wyłazi ze mnie tylko pół Szweda. Druga połówka w całości pochodzi od ciebie. Najczystszej wody południowe Niemcy. No więc co chcesz wiedzieć?

— Co z Ingą? — spytała prosto z mostu. — Mam wrażenie, że jej się podoba w tym Hamburgu.

Z twarzy syna znikł uśmiech.

— Wczoraj obiecała, że zostawi Maienstedta...

— ...a dzisiaj jest z nim w Hamburgu — dokończyła matka. — Pewne decyzje zapadają poza nami.

Kiwnęła synowi głową, jej oczy wyrażały pełne zrozumienie.

— Mam nadzieję, że nie tobie przyjdzie je podejmować. A może nawet już je podjęto — dodała z zadumą, upijając kolejny łyk kawy.

Eryk rzeczywiście czekał do południa, by zanieść Sarze do pokoju tacę z przygotowanym przez Matyldę śniadaniem.

Tym razem nie spała. Oparta o poduszki, spiętrzone wysoko w malowanym w ludowe wzory łożku, uśmiechała się do niego radośnie. Oczy jej lśniły, cera miała zdrowy kolor. Bandaż na czole sprawiał wrażenie szerokiej szarfy, podtrzymującej ciemne włosy.

— Lepiej? — spytał Eryk, ostrożnie ustawiając tacę na kołdrze.

— O wiele, panie doktorze — odpowiedziała. — Wolałabym wstać na śniadanie.

— Pan doktor zaordynował ostry reżim łożkowy — sprzeciwił się zdecydowanie.

— Tylko kilka kroków. — Złożyła ręce w błagalnym geście. — Do stołu przy oknie...

Poddał się i przeniósł tacę na stolik. Sara tymczasem wstała odrobinę zbyt szybko, toteż zakręciło jej się w głowie i nagle zbladła.

— Nogi z waty? — skomentował Eryk.

— Przy lataniu nie przeszkadzają — odparła siadając na brzegu łożka.

— Moja droga, masz wstrząs mózgu. — Spowaźniał. — Byłaś nieprzytomna, kiedy cię znalazłem.

Zaczęła kręcić przecząco głową, lecz zaraz przestała, albowiem gwałtowny ruch wywołał ból.

— Tak się cieszyłam na tę podróż na Bali! Nie pozwolę, żeby mi przeszła koło nosa z powodu drobnego upadku! Poza tym Marek się o mnie zatroszczy.

— Marek? — powtórzył zaskoczony. — Myślałem, że lecis z matką?

— Dostał jeszcze bilet i będzie nam towarzyszył. Mama dopiero się dowie. — Twarz jej się rozjaśniła. — Tak strasznie się cieszę! To moja pierwsza naprawdę daleka podróż.

Wzruszyła go ta dziecinna radość. Ujął ją pod ramię, by podprowadzić na drugą stronę łożka. Po drodze zatrzymała się przed lustrem koło drzwi.

— W życiu nie miałam na sobie takiej ślicznej nocnej koszuli. Można by w niej iść na bal — zawołała na widok swojego odbicia.

— Jedwab... — Eryk musnął delikatnie rękaw. — Tylko skóra jest gładza...

Głos mu się nieznacznie obniżył. Czuł, że Sara go obserwuje, ale nie odpowiedział na to spojrzenie. Podprowadził ją na miejsce i delikatnie posadzi).

— Ależ to cała masa jedzenia! — wykrzyknęła zaskoczona dziewczyna, widząc zestaw przygotowany przez Matyldę.

— Minęło południe, pora na obiad.

Eryk przegonił muchę, która wleciała przez otwarte okno. Chciał je zamknąć, jednakże Sara zaprotestowała:

— Proszę, niech zostanie otwarte!

Świeże powietrze było takie przyjemne. Eryk odgrywał rolę doświadczonego kamerdynera. Rozstawił przed Sarą zastawę do herbaty, napełnił filiżankę i podał koszyczek z pieczywem.

— Nie, dzięki za chleb. Chce mi się tylko pić.

Podczas gdy dziewczyna gasiła pragnienie, siedł obok niej na krześle.

— Nasza kochana Matylda o wszystko zadbała. Dała nawet gazetę. — Rozłożył dziennik. — Zobaczymy, co nowego się wydarzyło na świecie... Prezydent Clinton... nie, to danie sprzed tygodnia... Fergie chce wynająć Disneyland na przyjęcie dla dzieci... też mi sensacja... O, tu jest coś jeszcze ciepłego...

— Na głos, proszę! — zawołała Sara.

Twarz Eryka zniknęła za płachtą gazety.

— Słuchaj... Do Hamburga przybył profesor Konrad Maienstedt w towarzystwie atrakcyjnej małżonki. Reporterzy, oczekujący sławnego biologa na lotnisku, przeżyli jednak zawód. Jedyna córka profesora, Sara Maienstedt, świeżo upieczona absolwentka klasztornej liceum, nie przyjechała, jak to zapowiadała wcześniej prasa, razem z rodzicami, co stało się przyczyną różnego rodzaju domniemywań...

Zdumiona Sara odstawiła filiżankę.

— Coś takiego?! Przecież nikt... — przerwała i wyciągnęła rękę po gazetę. — Można?

— Przeczytaj sama. — Eryk podał jej dziennik.

Przebiegła oczami wskazaną stronę.

— Nic mogę tego znaleźć.

— Obok reportażu o zanieczyszczeniu środowiska — stwierdził bez mrugnięcia.

Sara spojrzała nań podejrzliwie. Zaszleściła gazetą, powykręcała ją na wszystkie strony, wreszcie trzymając otwartą do góry nogami, powiedziała:

— Już mam... Burza szalała także w parku przy willi Carmen Wylander. Piorun uderzył w stuletni dąb, pod którym, jak twierdzą kroniki rodzinne, Ryszard Wagner skomponował „Idyllę Zygfyryda”, oraz w atrakcyjnego syna pani domu, Eryka Wylandera, którego umysł od tego momentu znajduje się w stanie lekkiego zaćmienia...

Złożyła gazetę, a Eryk roześmiał się głośno i objął ją ramieniem.

— Zawsze wszystko tak szybko spostrzegasz?

Przez ułamek chwili pozwoliła sobie na jego dotyk, lecz zaraz się oswobodziła.

— Po wstrząsie mózgu jeszcze szybciej — wyjaśniła z błyskiem w oku.

Po południu przyszedł Marek. Carmen zadzwoniła do niego z wiadomością o wypadku Sary, żeby się nie niepokoił, gdy nie zostanie jej w domu. Dziewczyna leżała znowu w łóżku. Pierwsze kroki trochę ją wyczerpały, a poza tym musiała się zastanowić nad czymś bardzo ważnym...

Marek przyglądał się jej czule. Przyniósł chorej bukiet białych gerber.

— To dla ciebie... — oznajmił, wręczając kwiaty.

— Prawdziwa ślubna wiązanka — mruknęła, pochylając się nad nimi z poczucia obowiązku.

— A twojej koszuli niewiele brakuje do ślubnej sukni — uzupełnił z podziwem.

— Też coś! — zaśmiała się. — Jeśli kiedyś będę brała ślub, to tylko w różowym fraku.

— Mnie by to nic przeszkadzało — oświadczył, siadając na brzegu łóżka.

— Ach, jesteś dla mnie taki dobry! — zatrzepotała kpiąco rzęsami.

Marek jednak zachował powagę.

— Jedno nie ulega wątpliwości — rzeki. — Nie powinienem być cię wczoraj wieczorem zostawiać samej. Przy mnie nic by ci się nie stało. Mogłaś przecież skręcić kark. Jakie to szczęście, że był przy tobie Kapitan.

— A Eryk na dworze i usłyszał jego szczekanie — uzupełniła z naciskiem.

Marek wolał jednak udać, że nie słyszy. Spoglądał na nią z troską.

— Co powiedział doktor Speidl?

Sara umknęła wzrokiem. Czuła się podle, mimo to powiedziała to, co zamierzyła:

— Lekarze chętnie przesadzają. Żebyś słyszał, jak mnie straszył z powodu tego wstrząsu mózgu! Zakaz wstawiania z łóżka... co najmniej przez tydzień...

— A co z Bali?

— Skreślone. Przez tego łobuza. A tak się cieszyłam!

Nie ośmieliła się nań spojrzeć, bo dokładnie wiedziała, co zobaczy: strasznie sympatyczną i strasznie zawiedzioną minę Marka.

— Co za głupota! — wypalił bez namysłu i gestem pocieszenia wziął ją za rękę. — Co się odwlecze, to nie uciecze. Kiedyś tam jeszcze pojedziemy. Obiecuję!

Zauważył na nocnej szafce kieszonkowy magnetofon ze słuchawkami i wyjął z kieszeni paczuszkę.

— Przyniosłem ci coś dla poprawy nastroju. Świątynna muzyka z Bali.

Włożył kasetę i delikatnie nasunął słuchawki na uszy Sary. Natychmiast rozległy się kruche i wdzięczne tony obco brzmiącej monotonnej melodii. Dziewczyna skrzywiła się.

— Słuchaj, moja głowa działa jak przesterowany wzmacniacz — odezwała się cierpięciznym głosem. — Każdy szmer wydaje się dudnieniem.

Marek z miejsca wyłączył odtwarzacz i wstał.

— Lepiej już pójdę... — Miał nadzieję, że go zatrzyma, choćby na chwilę, lecz się zawiódł.

— Dzięki za kwiaty — skwitowała tylko.

Tym razem poczuł się naprawdę urażony i nawet nie starał się tego ukryć. Nie spojrzawszy na Sarę pomaszerował do drzwi.

— Zadzwoń, jak będziesz czegoś ode mnie potrzebowała — rzucił. I wyszedł.

Pół godziny później pojawiła się na tarasie. Eryk ustawił tam dwie wyłożone poduszkami leżanki. Na szklanym stoliku pomiędzy nimi umieścił misę z owocami i karafkę ze schłodzonym sokiem. Sam siedział plecami do drzwi i nie słyszał nadejścia dziewczyny. Na głowie miała słuchawki, a w rękę odtwarzacz, więc po chwili także do niego dotarły świątynne dźwięki z Bali. Sara pochyliła się ku niemu. Przez moment zwlekał, zanim podniósł głowę. Jak dobrze było czuć przy sobie jej bliskość! Bał się jakimkolwiek słowem spłoszyć intensywny urok tej chwili.

— Niezła muzyka... — uśmiechnęła się.

— Marek już poszedł? — spojrzał wreszcie na nią. — Coś krótka była ta wizyta.

Wyłączyła taśmę.

— Co ja poradzę, że ten nieubłagany doktor Wylander ogranicza wizyty do kilku minut? — udała rozczarowanie.

Położyła się na leżance i oparła głowę na poduszce, Eryk zaś pieczołowicie poprawił jej nogi na drugiej.

— Czasami chorowanie naprawdę sprawia przyjemność — westchnęła zadowolona. — Zwłaszcza kiedy się ma odpowiedniego doktora.

W jej oczach lśnił uśmiech przeznaczony specjalnie dla niego. Cóż mu więc pozostało? Ujął Sarę za rękę i złożył pocałunek na wewnętrznej stronie dłoni.

— A więc... Punkt pierwszy porządku dnia — rzekła Ellen Vondrowski — wizyta w Senacie. Bez prasy, że tak powiem, nieoficjalnie.

Odebrała Inge i Konrada Maienstedtów z hotelu swoją limuzyną. Profesor dosiadł się do niej na tylne siedzenie, Inga zaś zajęła miejsce obok kierowcy. Nic spodobał się jej ten podział i przez całą drogę oglądała się za siebie.

— Punkt drugi — kontynuowała gospodyni. — Rada Fundacji przedstawia profesora Maienstedta prasie. Zaproszono

tylko starannie wybranych dziennikarzy. Początkowo zapowiedział swoją obecność rektor uniwersytetu, ale prosił o wybaczenie i nie przyjdzie.

— A kiedy pojedziemy nad jezioro? — spytał trochę niecierpliwie Maienstedt. Paliła go ciekawość, by obejrzeć teren, na którym miał powstać instytut.

— Najpierw obowiązek, potem przyjemność — zaśmiała się Ellen Vondrowski. — Obiecuję, że część oficjalną skrócimy do granic możliwości.

— Z całego serca będę wdzięczny — uśmiechnął się czarująco. — Najbardziej bym się cieszył, gdyby pani sama zechciała rozmawiać z prasą.

Ellen Vondrowski potrząsnęła głową. Jasnoblond włosy miała jak zwykle starannie ułożone, a na twarzy leciutki jak mgiełka makijaż.

— Ależ drogi profesorze, to pan jest głównym bohaterem, nie ja. Będzie się pan musiał przyzwyczaić do działania w świetle jupiterów.

Przez kilka sekund spoglądali na siebie bez słowa. W oczach kobiety zalśniła ciepła sympatia i coś, co wykraczało poza nią. Potem szefowa koncernu zamknęła leżący na kolanach notebook, w którym zapisała dane związane z programem dnia.

— A dla aklimatyzacji wydaję dziś wieczorem małe przyjęcie na państwa cześć. Ot, nic wielkiego, sami przyjaciele...

Inga zauważyła intensywny kontakt wzrokowy między mężem i Ellen Vondrowski. Zacisnęła usta, ale nie odezwała się ani słowem.

Przez całe przedpołudnie obserwowała tę dwójkę, a profesor, który dobrze znał żonę, z góry obawiał się chwili, gdy straci panowanie nad sobą. Inga jednak zachowywała chłodny, uprzejmy dystans godny damy — najpierw w Senacie, potem podczas konferencji prasowej i na lunchu bezpośrednio po niej.

Następnie pojechali we trójkę nad położone kilka kilometrów od miasta jezioro. Koncern wykupił cały ogromny teren, projekt budowlany uzyskał już aprobatę odpowiednich władz,

a architekt kierujący przedsięwzięciem — ciemnowłosa, chudy jak szczapa mężczyzna pod czterdziestkę o nazwisku Schulte — oczekiwał na miejscu na inwestorkę i jej gości. Ellen przedstawiła ich sobie i zeszła na brzeg. Wyciągniętą ręką wskazała przeciwległą stronę jeziora.

— Tam w zatoczce stanie główny kompleks budynków. Dalej będą laboratoria, a przed nimi baseny badawcze.

Konrad Maienstedt skinął głową i objął ramieniem żonę.

— Brzmi całkiem nieźle, prawda?

Jej spojrzenie wyrażało sprzeciw. Milczała.

— Proszę pokazać panu profesorowi makietę — zwróciła się do architekta Ellen Vondrowski.

Na wielkim stole pod wiatą zmontowano w miniskali cały kompleks.

— Wygląda jak osiedle domów na palach — zawyrokował Maienstedt.

— Nad tym jeziorem znaleziono reszki budowli na palach z epoki brązu — potwierdził Schulte.

Profesor przyglądał się wnikliwie modelom budynków i basenów.

— Bardzo piękne. Nie rzuca się w oczy, a widać rozmach. Podoba mi się. Żadnej przesady.

— Domy z epoki brązu to w porównaniu z tym pudełka od zapalek. My budujemy z materiałów wynalezionych na potrzeby podróży kosmicznych — pochwalił się architekt.

— Szczyt lekkości i stabilności.

— Jest tylko jeden szkopuł — uśmiechnął się profesor.

— Tego jeszcze nie ma.

Ellen Vondrowski obserwowała go uważnie. Widziała, że się zapalił. Najwyraźniej osiągnęła swój cel. Maienstedt przyjmie jej propozycję.

— Nie wyobraża pan sobie, profesorze, jacy jesteśmy szybcy. — Podeszła bliżej. — Centrum stanie, zanim pan sfinalizuje przeprowadzkę do Hamburga.

Znowu spotkali się wzrokiem z uśmiechem pełnego porozumienia.

Inga odwróciła się gwałtownie. Jakby bez celu podeszła kilka kroków bliżej brzegu.

Konrad przyniósł z samochodu kalosze.

— Najchętniej od razu bym zaczął... — wyznał, zmieniając lekkie trzewiki na gumowce.

— Więc do dzieła, profesorze! Nikt panu nie przeszkodzi. Niech się pan zapozna z terenem.

Ellen Vondrowski odgarnęła jasne włosy z twarzy, po czym podeszła do Ingi i wzięła ją z nieoczekiwaną serdecznością pod ramię.

— A my sobie tymczasem pogadamy...

Inga z oporami pozwoliła się poprowadzić. Ellen Vondrowski czuła się już niemal zwyciężczynią.

— Moja droga — zaśmiała się — do tej pory jeszcze nie zaiskrzyło pomiędzy panią i Hamburgiem, ale to tylko kwestia czasu. — Mrugnęła do niej okiem. — Nagle to się stanie i pewnego dnia zastanowi panią, jak pani mogła kiedykolwiek mieszkać gdzie indziej.

— Jest pani bardzo pewna, że mój mąż przyjmie tę propozycję — usta Ingi zacisnęły się w wąską linię.

— Nie jestem wróżką — Ellen wzruszyła ramionami z dość pewnym siebie uśmiechem — ale znam się trochę na mężczyznach.

Niewykluczone, pomyślała Inga z rozdrażnieniem, tylko że zawsze jeszcze mogę ci pomieszać szyki.

Podczas jazdy do centrum Ellen Vondrowski podtrzymywała z humorem niezobowiązującą rozmowę. Inga na początku była milcząca i z trudem zachowywała przejmość. Rozmyślała, co by zrobić, żeby pogrążyć Konrada w oczach tej kobiety. I nagle wpadła na pomysł... Od tego momentu zmieniła postępowanie. Humor się jej poprawił, stała się rozmowna, a spacer po starówce połączony z zakupami widocznie przypadł jej do gustu. Obładowana torbami i paczkami powróciła do hotelu, żegnając się przed wejściem z Ellen Vondrowski prawie serdecznie.

W apartamencie rzuciła zakupy na sofę i przede wszystkim wzięła długi, gruntowny prysznic. Potem włożyła hotelowy szlafrok, zapaliła papierosa i wyciągnęła się na sofie z nogami w górze. Następnie przysunęła sobie aparat telefoniczny i wykręciła numer Eryka.

Słuchawkę podniosła Matylda. Eryk siedział na tarasie nad otwartym laptopem i rozłożonymi obok dokumentami. Sara czytała coś na leżance pod rozpiętym parasolem.

Eryk włączył dyktafon.

— „Z zainteresowaniem przyjęliśmy Państwa ofertę z 5 maja. Kropka. Nie odrzucamy możliwości dalszej ekspansji naszej sieci hoteli w Europie Środkowej, toteż włączymy propozycję Państwa do naszych rozważań. Kropka. Od nowego wiersza. W najbliższym czasie mam zresztą zamiar odwiedzić Pragę...” — Przerwał, gdy gospodyni pojawiła się na tarasie z przenośnym telefonem.

— Do pana, panie Wylander — szepnęła, podając mu aparat.

Eryk wyłączył dyktafon i zgłosił się.

— Ach, to ty — odezwał się cicho, rozpoznając głos Ingi. Rzucił okiem w kierunku Sary, wstał i zaczął się przechadzać po ogrodzie.

— Eryku, posłuchaj! Dłużej nie wytrzymam. — W głosie Ingi brzmiała natarczywość. — Nie mógłbyś przyjechać do Hamburga? — Odczekała chwilę, a gdy nie usłyszała odpowiedzi, dorzuciła: — Tak się za tobą stęskniłam!

— Do Hamburga? — powtórzył Eryk. — Zwariowałaś? Co by powiedział twój mąż?

— Konrad? — parsknęła pogardliwie. — On nie widzi świata poza swoim jeziorem i sitowiem. No i tą Vondrowski. Eryku, musisz przyjechać! Taka się tu czuję samotna. Porozmawiam z Konradem, zanim się pojawisz, obiecuję.

Ponownie zerknął w stronę Sary, zatopionej wciąż w lekturze, i odszedł jeszcze parę kroków dalej.

— Nawet gdybym chciał, nic mogę. Jestem zajęty. Poza tym jadę do Pragi.

Inga zamaszycie wstała z sofy. Ze słuchawką przy uchu wolną ręką opróżniła jedną z toreb, wyrzucając zawartość na oparcie. Ukazała się czarna, uwodzicielska suknia bez ramiączek i para jedwabnych czarnych pończoch.

— Nie kochasz mnie już — powiedziała ze skargą w głosie i szybko zmieniła temat, nic czekając na odpowiedź. — Słuchaj, zdaje się, że będę musiała tę wycieczkę z Sarą na

Bali... no wiesz, tę, którą jej podarowałam w prezencie matu-
ralnym... Myślę, że będę ją musiała odwołać.

— Dlaczego? — spytał zaskoczony Eryk. — Tak się na
nią cieszyła.

— Tak, naturalnie, wiem o tym. I nie mam pojęcia, jak jej
to powiedzieć, ale... Po prostu nie mogę stąd w tej chwili
wyjechać. Nie mogę zostawić Konrada samego... Słuchaj, nie
mógłbyś jej tego przekazać?

— Nie lepiej, żebyś to sama zrobiła?

— Oczywiście, że powinnam. — Inga przesunęła nerwo-
wo językiem po wargach. — Ale nie teraz. Muszę wyjść. Ellen
Vondrowski na mnie czeka. Powiedz to jej, proszę — dodała
płaczliwie. — I pociesz, że co się odwlecze, to nic uciecze.
Niech się nic martwi. Ucałuj ją ode mnie...

Dobiegł ją zgrzyt klucza w drzwiach. Wzdrygnęła się.

— Naprawdę muszę kończyć... Całusy. Pamiętaj o mnie!

Pospiesznie odłożyła słuchawkę. Do apartamentu wszedł
Konrad. Wyglądał na zdrowego i szczęśliwego.

— Muszę ci coś wyznać — rzekł. — Zakochałem się.

Inga na moment przestała oddychać. Zbladła nieznacz-
nie, lecz o nic nie zapytała.

— Zakochałem się w Hamburgu — ciągnął rozpromie-
niony profesor. — Nic wiem, czy to wpływ Morza Północne-
go czy co? Czuję się wspaniale. Krażenie w porządku, śpię jak
niemowlę. Mógłbym przenosić góry.

Roześmiała się z ulgą. Konrad odkrył zakupy rozrzucone
na sofie i ocenił czarną kreację.

— Zdaje się, że z tobą jest podobnie. Niezłe się obłowiłaś.

Inga natychmiast spoważniała.

— Najpierw kupiła ciebie, teraz chce kupić mnie.

Profesor zaśmiał się dobrodusznie i podniósł czarną
suknię.

— Co też opowiadasz! Wskakuj teraz w tę czarną rozkosz
dla oczu, żeby wszyscy mężczyźni na przyjęciu zaczęli tęsknić
do poligamii.

Inga nic poddała się jego swobodzie. Pozostała poważna.
Był to jeden z owych rzadkich momentów, kiedy zachowywa-
ła się całkiem szczerze i nie odgrywała żadnej roli.

— Zawsze cię podziwiałam, ponieważ zdecydowałeś się wybrać trudną drogę. Wolałeś chadzać własnymi ścieżkami. Mówiłeś, że się nie sprzedasz. Pamiętasz tę ofertę z Ameryki? Odmówiłeś. Tak po prostu. — Spojrzała mu w oczy. — A teraz pojawia się taka Vondrowski i wystarczy, że strzeli palcami... Konradzie, dla tej kobiety jesteś przecież wyłącznie żywą reklamą.

Słowa żony zasiały w nim wątpliwości.

— Może masz rację — przyznał z ociąganiem. — Ale możliwe też, że dotychczas we wszystkim się myliłem, że byłem głupcem.

Wyjrzał ponad jej głową przez okno i przypomniał sobie imponujący projekt budowli nad jeziorem. Co za perspektywy!

— Czy jednak mam pozostać głupcem, ponieważ przez dwadzieścia lat nim byłem? — dodał z głębokim westchnieniem i położył ręce na ramionach żony. — Najwyższy czas, byśmy oboje wyszli ze skorupy. Życie jest po to, żeby żyć!

Włożyła czarną suknię i bardzo starannie przygotowała się na przyjęcie. Przede wszystkim jednak perfekcyjnie grała swą rolę czarującej małżonki znanego naukowca, profesora Maienstedta. Uprzejmie rozmawiała z gospodynią, zamieniała po parę słów z pozostałymi gośćmi i odrobinę flirtowała z architektem Schultem.

Dom Ellen Vondrowski wyglądał dokładnie tak, jak Inga oczekiwała. Był obszerny, elegancki i na wskroś hanzeatycki, co sprawiły piękne stare meble, ściany zabudowane regałami na książki i intarsjowane parkiety. Królowała tu skóra i szlachetne gatunki drewna. Oszczędnie rozmieszczono obrazy i rzeźby, rzecz jasna oryginalne dzieła uznanych artystów, a także drogocenną starą porcelanę i inne wypieszczone bibeloty.

Najpiękniejszy jednak był ogród na tyłach domu, wypełniony bujnie rozrosłymi egzotycznymi roślinami. Drzwi do przeszklonej oranżerii stały przez cały wieczór otworem, pogoda bowiem była ładna i bezwietrzna. Pomysłowo zainstalowane oświetlenie otaczało kwiaty i krzewy czarodziejską aurą.

Konrad Maienstedt cieszył się tym wieczorem z całego serca. Miał rację, mówiąc Indze, że Hamburg mu służy. Mimo to koło północy poczuł, że trochę przesadził z aktywnością po całym dniu wypełnionym po brzegi wrażeniami i spotkaniami.

Znienawidzony i równocześnie tak dobrze znany, dławiący ból w piersiach pojawił się znowu. Profesorowi zrobiło się słabo, czym prędzej więc wymacał tabletki w kieszeni marynarki. Pospiesznie łyknął dwie i popił wodą mineralną, stojącą na okrągłym stoliku obok wyplatanego fotela, na którym siedział.

Na szczęście większość gości już wyszła. Ellen Vondrowski odprowadzała właśnie do drzwi jakieś starsze małżeństwo, a ostatni Mohikanin, Georg Schulte, czekał na płaszcz.

Inga stała tuż obok. Wyraźnie spodobało się jej, że architekt jest nią zafascynowany. Teatralnym gestem oderwała z gałązki orchideę, by włożyć ją Schultemu w butonierkę.

— Chińczycy jedzą kandyzowane — powiedziała.

Wyjął jej kwiat z ręki i wetknął we włosy.

— Hamburgczycy zaś ozdabiają nimi swe ukochane — odparł.

Kątem oka dostrzegł powracającą Ellen.

— Pani jest czarująca. Cieszę się, że wkrótce będziemy mieli panią w tym mieście na stałe. Dobranoc!

Ucałował dłoń Ingi, pożegnał się z profesorem i gospodynią.

Zostali w oranżerii we troje.

Inga zapaliła papierosa i wyjęła z wiaderka napoczętą butelkę szampana, by nalać sobie kieliszek. Ellen Vondrowski ograniczyła się do wody mineralnej.

— Ludzie poszli, rośliny mogą odetchnąć. Ja też. — Konrad Maienstedt westchnął z ulgą.

— Czyżby przyjęcie zbyttnio pana wyczerpało? — zatroskała się gospodyni.

Inga upiła łyk szampana i roześmiała się drwiąco.

— Zawsze bardziej cenił rośliny niż ludzi. Prawda, Konradzie? Ich nie trzeba wysłuchiwać... — Zaraz jednak zrobiła

współczującą minę. — Rozumie pani, Ellen, Konrad nie jest tak odporny, na jakiego wygląda. Z pozoru silny jak dąb...

— Ingo! — wtrącił profesor przykro dotknięty.

Ale małżonka nie dała się powstrzymać.

— Chodzi o serce — wyjaśniła pozornie zasmucona.

— Naturalnie nie wspomniał pani o tym. Obawiam się jednak, że powinna pani wiedzieć, w razie gdyby nagle zasłabł.

Zaskoczona Ellen spojrzała na Maicnstedta. Próbował osłabić wrażenie, obracając słowa Ingi w żart.

— Moja żona jest mistrzynią czarnego humoru. W noc poślubną liczyła mi siwe włosy na głowie, a na sześćdziesiąte urodziny podarowała spacerową laskę. — Roześmiał się.

— Przyznaj, Ingo, że gdzieś w czeluściach szafy ukrywasz kompletny wdowi strój z welonem!

— I czarne czółenka na jedenastocentymetrowych obcasach — przytaknęła z płonąącym wzrokiem. — Stuk, stuk, stuk... wdowi but!

Zaprezentowała kroki w wieczorowych sandałkach na wysokim obcasie i wyszła z głośnym, wibrującym śmiechem.

Gospodyni i profesor zostali sami. Ellen najchętniej przytuliłaby go teraz do piersi. Tak bardzo mu współczuła bezsilności i zażenowania.

Eryk nie powiedział jeszcze Sarze, że podróż na Bali prawdopodobnie nie dojdzie do skutku. W zamian za to poszedł z nią na spacer do przystani. Wygrzebał gdzieś album ze zdjęciami i przeglądał go właśnie na żaglówce. Dziewczyna siedziała obok na ławce w pożyczonej od niego niebieskiej męskiej koszuli.

— To ja z moim pierwszym złowionym łososiem — pokazał palcem fotografię. — Ojciec powtarzał zawsze, że prawdziwy Szwed, zanim ukończy dwunasty rok życia, powinien dokonać dwóch czynów: złowić łososia i pocałować kobietę.

Przyjrzała się najpierw zdjęciu, potem Erykowi. Był kiedyś ładnym chłopcem, a wyrósł na fascynującego mężczyznę o delikatnych, wrażliwych dłoniach, miękkich ustach i wy-

starczającej ilości szarmu, by przyprawić o przyspieszone bicie serca całą klasztorną szkołę w Marienbergu.

— Łososia złowiłeś. — Musnęła go wzrokiem. — A to drugie?

— Była o dwa lata młodsza ode mnie — wydał po chłopcemu usta — i znała tylko dwa słowa po szwedzku.

— I co dalej? — naciskała zaciekawiona.

Eryk teatralnym gestem położył dłoń na piersi.

— Złamała mi serce. Całowała się z każdym.

— Wobec tego jesteś prawdziwym Szwedem — roześmiała się Sara.

— Nie zapominaj o matce. Jej połówka we mnie jest niemiecka.

Pochyliła się ponownie nad albumem.

— Czy to twój ojciec? — wskazała kolejne zdjęcie.

— Tak. Przed naszym domkiem myśliwskim na szkiecach. W Ocstrot.

— Oestrot — powtórzyła powoli, z namysłem. — Ładnie brzmi. Jak morze i las. I olbrzymie łosie... Nic masz fotografii hotelu w Sztokholmie?

— Mam, naturalnie. — Przerzucił parę stron. — Tak wyglądał, kiedy pradziadek zakończył budowę.

— Imponująca budowla — oceniła z podziwem. — Teraz ty jesteś tam szefem? Powinnam chyba czuć przed tobą respekt.

Wstała z ławeczki i przeciągnęła się na chybotliwej łodce.

— No, idę pływać. Nie wytrzymam dłużej.

— W żadnym wypadku! — On także się zerwał. — Stawowczo na to za wcześnie.

Sara podeszła tak blisko, że poczuł jej oddech.

— Wprawdzie uratowałeś mi życie, ale to wcale nie znaczy, że muszę cię we wszystkim słuchać.

Kiedy chciała obok niego przemknąć do drabinki, chwycił ją za rękę.

— Zostań... proszę...

Nie odpowiedziała. Znieruchomiała tylko i badała go wzrokiem. Nie poruszyła się także, gdy rozluźnił uścisk. I nie cofnęła spojrzenia.

— Czemu mnie nie pocałujesz? — spytała stłumionym głosem. — Od momentu, kiedy mi zamykałeś zamek w łańcuszku, masz na to ochotę...

— Wcześniej — wyznał, grając na zwłokę, a potem wziął jej twarz w dłoń.

Nie potrafił się dłużej bronić. I nie chciał. Obsypał pocałunkami jej włosy, czoło, oczy, wreszcie dotknął wargami jej ust, początkowo bardzo delikatnie, I czułością, aż zarzuciła mu ręce na szyję. Wyczuł, że rozchyła wargi i wspiera się na nim. To było jak burza, która go porwała. Zrozumiał, że od-tąd będzie marzył, by ją przeżywać wciąż od nowa.

Gdy odsunęli się od siebie, twarz Sary zdawał się roz-świetlać wewnętrzny blask. Wypełniło ją głębokie zado-wolenie. Sprawiała, że Eryk ją pocałował. A to dopiero począ-tek...

Wybuchnęła nagle sobie tylko właściwym śmiechem i od-rzuciła głowę w tył. Chwyliła mężczyznę za rękę i pociągnęła za sobą.

W pożałowania godny sposób nie zdawała sobie z niczego sprawy.

Przy kolacji siedziała pomiędzy Erykiem i jego matką. Rozmawiali o Szwecji, której Sara nie знаła, i o Grand Hote-lu „Wylander” w Sztokholmie. Zadawała wiele pytań i świet-nie się bawiła anegdotkami o sławnych gościach, którymi ra-czyła ją Carmen.

Przez cały czas jednak jej spojrzenia wędrowały ku Eryko-wi. Odnosiła wrażenie, że podczas posiłku w jej sercu narasta ciepło i oblewa ją coraz potężniejszymi falami.

Później wyszli na taras. W pewnej chwili Carmen oświad-czyła, że dla niej już czas się położyć.

— Chciałam się jeszcze przejść nad jezioro — rzuciła Sara.
— Pójdiesz ze mną, Eryku?

Rzecz jasna poszedł.

Na brzegu, gdy już nic można ich było dostrzec z domu, padli sobie w objęcia i długo się całowali, nim spleceni w ciasnym uścisku powędrowali dalej.

Księżyc w pełni rzucał na nieruchome jezioro szeroki pas światła. Tylko przy brzegu drobne fale z cichym bulgotem

obmywały piasek. Wiatr od Utting przyniósł daleki dźwięk dzwonów. Gdzieś w trzcinach odezwał się ptak.

Sara oparła głowę na ramieniu Eryka. Nagle zatrzymał się i uwolnił z objęć.

— Chyba zwariowaliśmy — wykrztusił i zawrócił w stronę domu.

Pospieszyła za nim i w blasku ogrodowej latarni otoczyła go w pasie ramieniem. Drugą ręką dotknęła klosza.

— Co widzisz, patrząc przez moją dłoń? — zacięła się, gdy wsunął głowę w krąg światła.

— Gdy patrzę przez twoją dłoń, cały świat staje się płomienny — wyrecytował.

Odwrócił się i pocałował ją. Wyczuła, że szybciej oddycha.

— Zrobiło się późno — wyszeptał między pocałunkami.

— Wracajmy.

Sara w milczeniu pokręciła głową. Znowu spotkali się wzrokiem i w jej oczach wyczytał oddanie.

— Jesteś taka śliczna — mruknął bezwiednie.

Wiedział, że może ją mieć, tu i teraz. Wystarczy wyciągnąć rękę.

Ale tego nie mógł uczynić.

W jednej chwili odszedł, pozostawiając dziewczynę samą. Patrzyła, jak się oddala szybkim krokiem. Jakby od niej uciekał.

Co za tchórz, pomyślała.

Odgarnęła włosy z twarzy i uśmiechnęła się z rozmarzeniem. Nie zawsze będzie uciekał.

Następnego ranka bardzo wcześnie pojawiła się na tarasie, gdzie nakryto do śniadania. Carmen i Eryk właśnie jedli. U ich stóp leżał Kapitan, który na widok Sary poderwał się z radosnym powitalnym piskiem. Kucnęła i pogłaskała go czule.

Ubrała się dzisiaj w krótką, żółtą letnią sukienkę. Wyglądała zdrowo i radośnie.

— Chcesz nas już opuścić? — spytała Carmen. — Myślałam, że Vincenla ma urlop do jutra?

— Eryk się uparł, żeby doktor Speidl mnie jeszcze raz obejrzał. — Wzruszyła ramionami. — Jakby było wiele do oglądania! Za to potem stawia mi lody. Obiecał! — zachichotała. — Jak myślisz, dotrzyma słowa? Znasz go przecież najlepiej.

Carmen wygięła usta w grymasie i kiwnęła z zastanowieniem głową. Zanim jednak zdążyła odpowiedzieć, włączył się Eryk.

— Dobrze spałaś? — spytał, biorąc ją za rękę.

— Jak utuczony suseł. — Przeciągnęła się dla podkreślenia i wzięła go pod ramię. — A teraz w drogę. Doktor Speidl musi mnie dziś w końcu uznać za zdrową.

Carmen Wylander ze zmarszczonym czołem obserwowała, jak oboje znikają za rogiem domu, gdzie Eryk trzymał w garażu swój sportowy kabriolet.

Sara nie musiała długo czekać, ponieważ numerek miała zamówiony telefonicznie. Bandaż zdjęto jej już przedtem, w willi.

— Uwaga, teraz odlepię plaster — uprzedził Speidl, rozgarniając ciemne włosy.

Jednym szybkim ruchem oderwał pasek przylepca z opatrunkiem.

— Au! — zaprotestowała dziewczyna.

— Już po wszystkim — roześmiał się.

Oczyścił skórę z resztek plastra alkoholem i z zadowoleniem obejrzał bliznę.

— Jeszcze kilka dni i strup odpadnie. Boli cię głowa?

— Nie.

— Nudności? Zawroty? — wypytywał, z ojcowskim uśmiechem przypatrując się młodzieńczej twarzyczce.

— Nic z tych rzeczy. — Sara odwzajemniła uśmiech.

— Mimo to — podniósł ostrzegawczo dłoń — żadnych skoków na głowę z trampoliny. Natomiast na Bali możesz lecieć bez przeszkód.

— A tutaj też mogę zostać? — upewniała się z szelmowskim błyskiem w oku.

Doktor Speidl odprowadził ją do drzwi i pożegnał.

— Tak, tutaj również możesz zostać — potwierdził zdziwiony.

Właściwie oczekiwał wyjaśnienia, lecz Sara opuściła gabinet bez słowa. Wracał już do biurka, gdy dziewczyna wbiegła jeszcze raz i ucałowała oszołomionego lekarza w policzek.

— Dzięki! — zawołała radośnie i zniknęła.

Popatrzył za nią z uśmiechem.

Eryk czekał w samochodzie przed przychodnią, zagłębio-ny w lekturze jakiegoś ekonomicznego czasopisma.

Sara wybiegła w podskokach i z rozmachem otworzyła drzwi od strony kierowcy.

— Wio, przesiadka! — zawołała rozbawiona. — Teraz ja poprowadzę!

— Chwila, moment! — zaprotestował i szybko się poddał, gdyż wepchnęła się na jego miejsce.

Kluczyki tkwiły w stacyjce. Z radością uruchomiła silnik sportowego wozu, wsłuchując się w jego nasycony pomruk.

— Na lody, na lody! — zanuciła. — Obiecałeś!

— Dokąd się wybierasz? — rzucił, gdy skręciła na szosę i dodała gazu.

— Na lody — powtórzyła z zadowoleniem. — Do Ksawerego Como. Robi najlepsze lody na świecie.

— Do Como? — Eryk nie mógł uwierzyć.

Rzuciła mu przelotne spojrzenie. Oczy jej błyszcząły, a wiatr rozwiewał włosy.

— Właśnie. Do Como.

Chciał zaprotestować, lecz wszelki opór zgasł, gdy spojrział na dziewczynę.

— Saro, ty chyba zwariowałaś — skomentował tylko i oparł głowę o fotel, poddając się losowi.

Wczesnym popołudniem zatrzymali się w małej miejscinie w Austrii, przy stacji benzynowej ze sklepem i zajazdem. Zjedli spóźniony obiad, a potem, gdy Eryk tankował do pełna, Sara zajrzała do sklepu. Szybko znalazła to, czego szukała — szczoteczkę i pastę do zębów. Zapłaciła i pospiesznie schowała pakunczek do torby.

Przy wyjściu odkryła parkę ogrodowych krasnali wielkości niemowlaka. Krasnal przysiadł na kamieniu z latarnią w dłoni, krasnalowa zaś dzierżyła pod pachą kaczkę.

Prawie bez namysłu zdecydowała się kupić krasnala. Przy-ciskając go do piersi, pomaszzerowała do samochodu i ostrożnie usadowiła na tylnym siedzeniu.

Eryk z zaskoczeniem oceniał niezwykle zakup.

— Pomyślałam sobie, że nie zaszkodzi mieć latarnię, w razie gdyby znowu uderzył piorun — wyjaśniła Sara.

— On jest obrzydliwy — stwierdził Eryk, marszcząc z niesmakiem czoło.

— Widzę, że nie znasz się na krasnalach. Jest najpiękniejszy ze wszystkich, jakie dane mi było spotkać. I zupełnie przypadkiem wybiera się właśnie tam, gdzie i my.

Omijali ruchliwe drogi i jechali aż do wieczora. Zatrzymali się dopiero przy starym zajeździe na przełęczy Stclvio. Był to podłużny drewniany budynek na fundamencie z polnego kamienia z rozległym, nisko opadającym dachem.

Wydawało się, że są jedynymi ludźmi w tej imponującej scenerii górskiej samotni.

Wysiedli z samochodu i skierowali kroki ku małemu wzniesieniu za domem. Zachodzące słońce oświetlało starą budowlę ostatnimi skośnymi promieniami.

Siedli na suchej, jeszcze ciepłej trawie.

— Jeśli teraz poprosimy tu o nocleg, pomyślą, że jesteśmy świeżo poślubioną parą. — Eryk przerwał niechętnie przedłużające się milczenie.

Sara nic odpowiedziała. Nagle zniknęło owo uczucie upajającej lekkości, towarzyszące jej przez cały dzień. Poczuli się niepewna, zażenowana, a równocześnie była przekonana, że gdyby cofnęła czas, nic by w tym cudownym, zwariowanym dniu nie chciała zmienić.

— Pary w podróży poślubnej mają bagaż — wydusiła w końcu. — A my nie.

Zerwała się bez ostrzeżenia i pociągnęła Eryka do samochodu. W bagażniku znalazła torbę z żaglowego płótna i koc.

— Zawiniemy krasnala w derkę, włożymy do torby i wzbudzający szacunek bagaż gotowy — wyjaśniła.

Eryk skinął głową z uznaniem.

— A jak nie będą mieli pokoju, to przenocujemy na sianie — ciągnęła, przygotowując „bagaż”.

Pokój okazał się izdebką o drewnianych ścianach i sosnowych meblach. W alkowie pod skosem dachu stało szerokie podwójne łóżce. Poza tym na wyposażenie składały się: szafa w ludowe wzory, stół i dwa krzesła oraz umywalka. Naftowa lampa rzucała na sprzęty ciepły, żółtawy blask.

Starszawa, korpulentna gospodyni z warkoczem zwiniętym w kok podała obojgu w przyległej jadalni prostą kolację — wiejski chleb ze smalcem — a polem postawiła na umywalce dzban ciepłej wody, dodając świeże ręczniki.

— Życzę państwu dobrej nocy — obrzuciła zakochanych pełnym zrozumienia spojrzeniem i zamknęła za sobą drzwi.

Eryk z Sarą zostali sami. I co teraz? — zdawały się pytać ich oczy.

Sara pierwsza uciekła w gorączkową aktywność. Otworzyła szafę, gdzie w jednej z szuflad leżały dodatkowe koce, jednym szarpnięciem rozwarta okienko i wciągnęła w płuca powietrze.

Eryk przyglądał się jej uważnie.

— Chyba straciliśmy rozum — szepnęła.

Sara odwróciła się twarzą do niego i potaknęła.

— Nawet nie mam szczoteczki i pasty do zębów — wzruszył ramionami z krzywym uśmiechem.

Podeszła do stołu, pogrzebała w torebce i podała mu z dumą podróżny zestaw.

— Kupiłaś to na postoju... — Eryk zauważył naklejkę z ceną.

— Moskitier nie mieli. — Wyszczrzyła zęby w łobuzerskim uśmiechu.

Eryk przyciągnął ją do siebie.

— A powiadają — rzekł między pocałunkami — że dziewczęta wychowane w klasztorze to istoty bujające w obłokach...

— ...które w obawie przed diabłem kładą się spać w ubraaniu — dokończyła bez tchu w piersiach.

Zrzuciła buty i wskoczyła w sukience pod kołdrę, podciągając ją pod samą brodę.

— Chociaż wiedzą, że diabeł czeka na nie ukryty pod pierzyną — przekomarzał się czule.

Chciał się położyć obok niej, lecz Sara jednym skokiem znalazła się poza łóżkiem.

— W takim razie lepiej przenocuję pod gołym niebem.

Zawinęła się w kołdrę w kraciastej poszwie i wybiegła z pokoju.

Eryk był zbyt zaskoczony, by ją powstrzymać.

Kiedy wreszcie pobiegł za nią, zbliżała się do lasu. Uśmiechając się łagodnie, powoli poszedł jej śladem. Już się nie spieszył. Wiedział, że ją i tak dogoni.

Kilka razy zniknęła mu z oczu, ale zaraz dostrzegł ją w pewnej odległości. Opierała się nieruchomo o pień drzewa, wciąż opatulona kraciastą pierzynką, twarz zwróciła ku niebu, a jasne światło księżyca otaczało ją nierzeczywistą aurą jak ożywioną marmurową rzeźbę.

Kiedy zbliżył się do niej, przyłgnęła do jego piersi.

— Słuchaj, nie mogę znaleźć Wielkiego Wozu. Widzisz go?

— Żeby go zobaczyć, trzeba obejść ten wysoki szczyt — pokazał palcem w górę. — Jest mianowicie po drugiej stronie świata.

— Dasz mi gwiazdkę z nieba?

Skinął z uśmiechem.

— A którą chcesz? Aldebarana, Betelgeuzę, Capellę czy Algola?

Po każdej jednak nazwie w tej wyliczance kręciła głową. Nagle jej wzrok padł na coś błyszczącego na ziemi w niewielkim oddaleniu, pomiędzy sosnowymi igłami i grubymi korzeniami drzew.

— Patrz, z nieba spadła gwiazda! — zawołała po dziecinnemu zdumiona.

Eryk podszedł do lśniącego przedmiotu i ze zdziwieniem odkrył srebrną papierošnicę.

Gdy odwrócił się w kierunku Sary, rozchyliła kołdrę. Pod spodem była całkiem naga. Jej urocze, młode, a jednak w pełni kobiece ciało, oblane księżycową poświatą, lśniło jasnym blaskiem pomiędzy ciemnymi pniami drzew.

Przez kilka chwil stal nieruchomo, podziwiając widok. Potem przysunął się do niej wolno i zamknął w objęciach.

Pełen czułości przytulił ją mocno i pocałował. Przyłgnęła doń całym ciałem i dała się ponieść falom jego pożądania.

Było tak, jak sobie wymarzyli. Było branie, dawanie i wzajemne przenikanie.

Sara zamknęła oczy. Czuła, że usta i język Eryka ślizgają się po jej szyi, pieszczą piersi, a wewnętrzne ciepło zamienia się w zapierający dech żar i ogarnia płomieniem całe ciało. Niecierpliwie poruszała się pod nim, przeobrażona w jeden wielki kłęb pragnienia i oczekiwania. Gdy puścił ją na moment, by zdjąć ubranie, miała wrażenie, że jej coś odebrano.

— Eryku, chodź... — wyszeptała. — Proszę...

Krzyknęła stłumionym głosem, kiedy zaraz potem zetknęły się ich nagie skóry i nastąpiło połączenie.

Tego właśnie chciała. Dostała nawet więcej, nie przypuszczała bowiem, że może być aż tak cudownie.

Konrad i Inga zostali zaproszeni przez Ellen do opery na wieczór baletowy. Nim opuścili apartament w hotelu, Inga połączyła się jeszcze szybko z Carmen, by porozmawiać z Sarą. Matka Eryka uprzedziła ją, że dziewczyna zamieszka u nich, dopóki Vincenta nie wróci z urlopu.

Carmen podniosła słuchawkę już po drugim sygnale. Siedziała na sofie w salonie nad lekturą i z telefonem w zasięgu ręki.

Obie panie zamieniły parę słów, a gdy Inga poprosiła do aparatu Sarę, Carmen wyrecytowała z góry przygotowaną wypowiedź:

— Bardzo mi przykro, Ingo, ale twoja córka poszła do kina.

Wcześniej dzwonił do niej Eryk z informacją, że jada z Sarą na wycieczkę i wrócą przypuszczalnie jutro, pojutrze albo nawet później, żeby się nic martwiła.

— Wobec tego pozdrów ją ode mnie — poprosiła Inga. — Jutro zadzwonię jeszcze raz.

Konrad siuchai rozmowy jednym uchem, pochylony przy biurku nad planami centrum badawczego, które otrzymał od architekta.

— Nie porozmawiam z Sarą — westchnęła, rzucając słuchawkę na widełki. — Carmen powiada, że poszła do kina.

Podniósł wzrok, trochę jednak zaniepokojony.

— Mam wrażenie, że ona tam ciągle chodzi do kina. Coś mi w tym nie pasuje.

— Córeczka ci się nie podoba? — uniosła drwiąco brwi.

— Teraz już nawet nie wolno jej pójść do kina!

Spojrzał na zegarek.

— Zadzwońisz do niej później jeszcze raz. Musimy już iść. Jesteśmy spóźnieni.

Odwrocił się do drzwi, nie zauważył więc, że żona zahaczyła długim, starannie wypielegnowanym paznokciem o pończochę, robiąc w niej dziurę.

— No masz! — zawołała zirytowana. — Oczko mi puściło. Muszę zmienić pończochy. Idź pierwszy, zaraz do ciebie dołączę.

Poczekwała, aż wyjdzie z pokoju i pospiesznie wystukała numer Wylanderów.

— To jeszcze raz ja — rzuciła, gdy odebrała Carmen.

— Daj mi, proszę, Eryka.

— Eryk wyjechał dziś przed południem. Nie mógł zostać dłużej — usłyszała w odpowiedzi.

Inga zbladła, twarz zastygła jej w maskę. Bez słowa odłożyła słuchawkę.

W jej sercu wściekłość ścierała się ze strachem. Odnosiła wrażenie, że wszystko, co chciała przy sobie utrzymać, wymyka się jej z rąk. Konrad przeniesie się do Hamburga, z nią czy bez niej. W końcu będzie tu miał Ellen Vondrowski. Natomiast Eryk jej unika. Dlaczego? Co się stało?

Znowu pojawiło się nieznośne napięcie, jak zawsze gdy czuła się odepchnięta. Chciała krzyżeć, bić, niszczyć, zadawać ból — podobnie jak w jej mniemaniu uczyniono z nią — byle się tylko uwolnić od tej wewnętrznej presji.

Dobrą chwilę trwało, nim zeszała do westybulu, ale przynajmniej na tyle się opanowała, że sprawiała wrażenie spo-

kojnej. Jedynie Konrad zdawał sobie sprawę, że pod tą pozornie gładką powierzchnią wszystko wrze. Starat się więc zachowywać wobec Ingi szczególną cierpliwość i uprzejmość, lecz wszelkie jego wysiłki na nic się zdały. Żona była sztywna, milcząca, tylko jej błyszczące oczy nieustannie śledziły męża i Ellen.

Wybuch nastąpił nazajutrz.

Do dyspozycji osobistych lub służbowych gości pani Vondrowski posiadała w centrum nad Alsterą eleganckie mieszkanie, które w tej chwili stało puste. Poprzedniego wieczora zaproponowała Maienstedtom, żeby wprowadzili się tam na czas potrzebny na zainstalowanie.

Około dziesiątej przyjechała po nich do hotelu. Mieszkanie okazało się duże, urządzone ze smakiem i miało przepiękny widok na rzekę.

— Mogą tu państwo zamieszkać, póki nie znajdą czegoś innego — powiedziała, zaczynając oprowadzanie po wysokich, jasnych pomieszczeniach. — Albo nawet dłużej. Do państwa uznania.

Dzień był wyjątkowo gorący, toteż profesor, uzyskawszy pozwolenie pań, zdjął marynarkę. Zostawił ją na krzesło w przedpokoju. Inga widziała drobne kropelki potu na czole i nad górną wargą, zauważyła też, że szuka lekarstwa w kieszeni spodni. Otworzył na chybił trafił jakieś drzwi i rzeczywiście znajdowała się za nimi łazienka. Czysty przypadek — lecz Inga w jednej chwili wyciągnęła wniosek, że mąż już podczas pierwszych negocjacji z Ellen Vondrowski, na które poleciał do Hamburga sam, odwiedził to mieszkanie. Jak inaczej bez pytania mógłby znaleźć łazienkę?

Spojrzała w sięgające sufitu lustro i wyciągniętą z torebki szminką poprawiła usta. Tymczasem Konrad w toalecie popijał tabletki wodą z kranu. Gdy zakręcał kurek, pospiesznie wrzuciła szminkę z powrotem i z kieszeni męzowskiej marynarki wyjęła złotą zapalniczkę.

Ukryła ją w dłoni i ruszyła spacerkiem przez pokoje, aż znalazła sypialnię. Wślizgnęła się do środka i położyła zapalniczkę na jednej z nocnych szafek.

Gospodyni, która dotąd czekała w salonie, stanęła w drzwiach.

— Tak, to sypialnia — potwierdziła z przyjaznym uśmiechem.

— Chyba raczej biuro rzeczy znalezionych! — odparła Inga zjadliwie.

Podniosła zapalniczkę z blatu i pokazała ją Ellen. Ta przypatrywała się jej, nie rozumiejąc, o co chodzi. Na ten moment trafił profesor.

— Popatrz, co znalazłam — zwróciła się do niego żona.

— Ależ... — zaczął.

— Od kiedy sypia pani z moim mężem? — Inga odwróciła się gwałtownie do rywalki.

W wibrującym głosie brzmiała złość, a na twarzy malowała się czysta nienawiść. Inga drżała na całym ciele, oddychała chrapliwie i przez chwilę Ellen Vondrowski miała wrażenie, że ta kobieta się na nią rzuci. Bezwiednie cofnęła się o krok.

Wówczas Inga obróciła się na pięcie i wybiegła, trzaskając drzwiami.

— Co to było? — spytała cicho zdumiona Ellen.

Maienstedt chwycił się ręką za serce, ale natychmiast ją opuścił, gdy zauważył troskę w spojrzeniu gospodyni. Z westchnieniem wzruszył ramionami. Scena, którą urządziła żona, była dlań straszliwie krępująca.

— Uspokoi się. Szybciej, niż pani sądzi. Nic pierwszy raz reaguje tak... nadmiernie emocjonalnie.

Ellen Vondrowski przyglądała mu się uważnie. Bardzo jej było żal tego na wskroś przyzwoitego, sympatycznego człowieka. A potem z serdecznym, szczerym uśmiechem powiedziała coś zaskakującego:

— Instykt jej nie zawodzi.

Inga Maienstedt wcale jednak nie myślała się uspokoić. Jak rozedrgany kłębek nerwów najbliższym samolotem wróciła do Monachium. Od początku podejrzewała tę Vondrowski o intymne stosunki z Konradem. A teraz była tego pewna.

Nic miało dla niej żadnego znaczenia, że sama zainscenizowała tę burzę. Zawsze potrafiła wierzyć w swoje kłamstwa tak niezachwianie, jakby były najprawdziwszą prawdą. Jej rozdwójona, poplątana osobowość nic dopuszczała żadnej innej interpretacji.

Z Monachium wzięła taksówkę do domu. Willa była pusta i jakby wymarła. Vincenta nie wróciła jeszcze z urlopu, a Sara przypuszczalnie siedziała u Wylandcrów.

Inga biegała po domu, otwierała to tu, to tam jakieś drzwi, wreszcie wyczerpana opadła na fotel w salonie. Wyjęła z kieszeni żakietu mężowską zapalniczkę i zaczęła obracać w palcach, by w końcu rzucić ją na podłogę z histerycznym szlochem. Ukryła twarz w dłoniach i rozpłakała się zrozpaczona, litując się nad sobą.

Dziesięć minut później spieszyła już przez park do domu Wylandcrów. Carmen wyszła na jej spotkanie na taras.

— Gdzie Sara? — rzuciła Inga bez powitania.

— Co się stało? — Carmen poczuła w pierwszej chwili na jej widok ulgę. — Twój mąż dzwonił już kilka razy.

Inga wybuchnęła szlochem.

— To koniec — wyjąkała. — Koniec między mną i Konradem. Okłamuje mnie, i to od dawna. Chce się przenieść do Hamburga tylko z powodu tej Vondrowski. Od razu wiedziałam, że... — zakryła twarz rękami, ramiona jej drżały.

Carmen nic była pewna, czy wierzyć słowom Ingi. Oczywiście możliwe, że Konrad Maienstedt po latach męki i upokorzeń w obecnym małżeństwie dążył do nowego związku z inną kobietą. Równie jednak prawdopodobne było, że Inge ogarnęła niemal histeryczna, niczym nieuzasadniona zazdrość.

Nieważne, pomyślała. W tej chwili potrzebuje wsparcia. A nic wic jeszcze najgorszego...

— Chodź, odprowadzę cię. — Położyła jej uspokajająco dłoń na ramieniu. — Musisz się wyspać. — Zwracała się do sąsiadki jak do zagubionego, zrozpaczonego dziecka. — Jesteś całkowicie wyczerpana. Jutro sobie wszystko spokojnie przemyślisz.

Płacz Ingi ścichł. Pozwoliła się ująć pod ramię i poprowadzić do domu.

Carmen umieściła ją w sypialni, gdzie Inga rzuciła się w ubraniu na łóżko, i zasunęła story w oknach. Potem poszła do łazienki, wyjęła z apteczki opakowanie valium i napełniła wodą szklanekę do mycia zębów.

— Masz, zażyj! — powiedziała.

— Nie, żadnych środków uspokajających — Inga odepchnęła szklanekę. Zerwała się z łóżka i chwyciła z nocnego stolika kryształową karafkę z wódką.

Carmen zdecydowanym ruchem odebrała jej alkohol. Wyglądała przy tym tak groźnie, że Inga nie protestowała. Bez słowa opadła na łóżko, a Carmen troskliwie okryła ją kołdrą.

— Mam zostać, dopóki nie zaśniesz?

Inga zaprzeczyła ruchem głowy.

— Może ci w czymś jeszcze pomóc?

W odpowiedzi Inga znowu pokręciła głową.

— Chcę spać — wymamrotała głosem zachrypniętym od płaczu i wcisnęła twarz w poduszkę.

Carmen pogładziła ją po włosach.

— Wobec tego dobranoc.

Przy drzwiach zgasiła górne światło, po czym wyszła z pokoju.

Inga słyszała jej oddalające się kroki i trzask zamykanych drzwi wejściowych.

Kilka sekund później zapaliła nocną lampkę i w samych pończochach poszła do łazienki, gdzie Carmen zostawiła tabletki i szklanekę z wodą. Wycisnęła z folii trzy pigułki silnego środka i połknęła je.

Sara i Eryk postanowili rano, że nie pojedą do Como, lecz raczej zawrócą do domu. Tym razem prowadził Eryk. Sara włączyła radio. Jakiś włoski tenor śpiewał o *la bella ragazza*. Słuchała rozmarzona, wodząc wzrokiem od wspaniałości mijanego górskiego krajobrazu do profilu kierowcy i z powrotem.

Nagle spojrzała na tylne siedzenie i wyrwał się jej cichy okrzyk irytacji.

— Zapomnieliśmy krasnalą! Zawracajmy!

Eryk zwolnił na moment, by ją cmoknąć w policzek.

— Nie możemy — roześmiał się. — Wrócimy tam kiedyś i go odbierzemy.

— Obiecujesz?

— Jasne!

Zatrzymali się na tym samym postoju, gdzie poprzedniego dnia napełniali bak. Krasnalowa z białą kaczką stała samotna i opuszczona u wejścia do sklepu z pamiątkami.

Sara wyskoczyła z auta i kupiła ją. Spojrzała karcąco na towarzysza, gdy chciał zaprotestować.

— To jego żona. Jeśli go wkrótce nie zobaczy, umrze z powodu złamanego serca. I to będzie twoja wina.

Pogłaskała figurkę po głowie i załadowała delikatnie na tylne siedzenie.

— Zauważyłeś, że jest podobna do ciebie?

— Do mnie? — roześmiał się.

— Oczywiście, ale nie ma się czemu dziwić. Przecież nazywa się Erika. — Wsiadła i westchnęła głęboko. — No! To porozmawiajmy o nas.

Eryk spodziewał się, że prędzej czy później poruszy ten temat i łamał sobie głowę, co powiedzieć. Sam jeszcze nie wiedział. Jedno nie ulegało wątpliwości: musi najpierw porozmawiać z Inga i uporządkować ich stosunki.

Uporządkować stosunki.... Gdybyż to było łatwe z taką kobietą jak ona... A poza tym — jak jej to wytłumaczyć? Może: „Kochana Ingo, między nami wszystko skończone, bo zakończyłem się w twojej córce. Bądź tak miła i zapomnij, że kiedykolwiek byliśmy ze sobą związani. Po prostu zachowuj się tak, jakby to nigdy nie miało miejsca.” Aż za dobrze mógł sobie wyobrazić jej reakcję.

Milczał i spoglądał niepewnie na dziewczynę.

— Chodzi mi o to, co z nami dalej będzie? — dodała wyjaśniająco.

Dalej nic odpowiadał, ona zaś beztrąsko rozwijała myśl.

— Przecież to nie ma sensu. Ty spędzasz większość czasu w Sztokholmie, a ja tutaj. To się nie może dobrze skończyć.

— Więc? Masz jakiś inny pomysł? — spytał z ociąganiem.

— Jasne! — pokiwała energicznie głową z rozjaśnionym wzrokiem. — Pojadę z tobą do Sztokholmu. I tam, w twoim hotelu, wyuczę się zawodu... pokojówki... albo pomywaczki... wszystko jedno. Grunt, że będziemy razem! — Ze śmiechem szturchnęła go w bok. — Mama się ucieszy, że wyrastam na ludzi. — Pochyliła się i pocałowała go w usta. — No i co o tym myślisz? Niezły pomysł, co?

Zaraziła go swym śmiechem. Była taka pociągająca. Chciał ją przy sobie zatrzymać. Po prostu nie mógł się bez niej obejść.

— Jesteś rewelacyjna — powiedział cicho i oddał pocałunek.

Rozdzielili się dopiero, gdy za nimi rozległo się donośne trąbienie — auto Eryka blokowało wyjazd ze stacji benzynowej. Ze śmiechem uniósł dłoń w geście przeprosin, zapalił silnik i odjechał.

Nad Ammersee dojechali popołudniową porą. Carmen wracała właśnie od Ingi, gdy dostrzegła siedzącą na tarasie Sarę z figurką krasnalowej i plecakiem u boku. Odetchnęła z ulgą. Nic miała pojęcia, jak wytłumaczy Indze nieobecność córki. Na szczęście ta dotąd o nią nie zapytała.

Eryk wszedł na chwilę do domu, by zostawić w pokoju swoją torbę żeglarską.

— Saro! Dzięki Bogu, że już jesteście! — zawołała Carmen. — Twoja matka wróciła z Hamburga. Zupełnie wykończona.

— Już do niej idę! — przestraszona dziewczyna zerwała się z krzesła.

— Zostaw! Daj się jej najpierw wyspać! — zaprotestowała Carmen. — Jak się obudzi, na pewno zapyta, gdzie się podziewałaś. Zastanów się dobrze, co jej powiesz.

— Będę cichutko. — Sara podniosła plecak i figurkę. Już w ogrodzie zatrzymało ją wesołe pytanie Carmen.

— Lody smakowały?

We wzroku kobiety dostrzegła zrozumienie.

— Niebiańsko! — odpowiedziała z głębokim westchnieniem szczęścia.

W domu najpierw postawiła bagaż i figurkę w korytarzu, zdjęła buty i na bosaka przeszła do sypialni matki. Otworzyła cicho drzwi i zbliżyła się do łóżka.

Inga nie obudziła się. Przedtem zdążyła jeszcze założyć nocną koszulę, a teraz leżała na boku, pogrążona w głębokim śnie, z bladą, zapłakaną twarzą. Sara przyglądała się jej ze współczuciem.

Co takiego wydarzyło się w Hamburgu, że matka wróciła sama? Cóż, zadzwoni potem do ojca, to się na pewno dowie.

Równic cicho jak przyszła, opuściła pokój i znalazła się w swoim. Ostrożnie postawiła figurkę krasnalowej na stoliku obok łóżka. Następnie wysypała zawartość plecaczka na kapę. Pierwszą rzeczą, jaka się jej rzuciła w oczy, był organizer Eryka. Dziś rano przy wyjeździe wetknęła go do torby, kiedy płacił gospodyni rachunek.

Uśmiechnęła się z rozmarzeniem. Co to była za noc! I dzień! Nie, nie będzie się teraz zamartwiać tym, że między rodzicami najwyraźniej doszło do rozdźwięku. Zbyt wielkim szczęściem przepełniały ją własne przeżycia.

Pogładziła okładkę organizera, otworzyła go i wyjęła wizytówkę. Starając się zapamiętać sztokholmski numer telefonu Eryka, powtarzała pod nosem cyfry, póki nie uzyskała pewności, że się jej wbiły w pamięć.

Na biurku znajdowały się ciągle trzy zdjęcia: po prawej — matki, w środku — Sary, a obok po lewej — ojca. Wyjęła własną fotografię z ramki i włożyła do organizera, a potem pobiegła z powrotem do Wylanderów.

Tymczasem Carmen zdążyła uświadomić synowi, że Inga wróciła z Hamburga i zamierza opuścić małżonka. Eryk chciał natychmiast biec do sąsiadów, by z nią porozmawiać.

— Nie, synu, nie teraz — zatrzymała go stanowczo.

— Muszę!

Może jeśli wyzna kochance, jak się rzeczy mają, ta zrezygnuje z rozwodu. Zdawał sobie sprawę, że jego sytuacja w danej chwili nie należy do szczególnie godnych pozazdroszczenia. Niemniej to, co się nań zważyło w ciągu ostatniej doby

z siłą kataklizmu, przed którym nie potrafi! się obronić, stanowiło początek zupełnie nowego, ważnego rozdziału w życiu. Jedyne problem polegał na tym, że stary rozdział jeszcze nie został zamknięty.

Nie, nie był całkowicie pozbawiony sumienia. Ciężko mu przychodziło ranić Inge, ale nic widział innej możliwości. Nie kochał jej już, odkąd wszystko — serce, dusza, ciało — wyrwało się do Sary.

Zawsze zbywał żartem, gdy ktoś utrzymywał, iż zakochał się z godziny na godzinę tak namiętnie, że nic poza tym się nie liczyło. A jednak z Sarą to właśnie przeżył, ów *coup de foudre*, ogarniający wszystkie myśli i emocje. Teraz marzył jedynie, by jak najszybciej uporządkować swoje życie, z którego już nie potrafił usunąć tej dziewczyny.

— Muszę natychmiast porozmawiać z Ingą — powtórzył.

— A co z Sarą? — Matka położyła mu powstrzymująco rękę na ramieniu. — Ma przy tym być?

Znieruchomiał, uświadamiając sobie dopiero teraz w pełni, w jak skomplikowanym położeniu się znalazł.

— O Boże! Co mam robić, mam? — zawołał zdesperowany.

Pogładziła rękaw jego marynarki. Żałowała chłopaka. Sam się wmanewrował w sytuację, z której nie wyjdzie bez szwanku. Rany odniosą wszyscy w to zamieszani, także Inga. I Sara, jeśli się kiedykolwiek dowie prawdy. A co powie Konrad Maierstedt na to, że jego córka obdarzyła uczuciem ni mniej, ni więcej tylko kochanka swojej matki?

Nigdy nie rozmawiała na ten temat z profesorem, była jednak pewna, że wie. Przypuszczalnie zrobi wszystko, by utrzymać Sarę z dala od Eryka. Jej syn z pewnością nie jest w jego oczach mężczyzną, któremu się powierza ukochaną jedynaczkę.

— Cóż, mój drogi — odparła z typowym dla siebie dystansem — będziesz musiał podjąć decyzję. Dobrą czy złą...

— Masz rację — przesunął ręką po twarzy, jakby zbierał z niej pajęczynę. — Wiem nawet, jaka to decyzja. Problem w tym, że nie mam pojęcia, jak ją przekazać Indze, żeby jej nie urazić.

— Może powinieneś się spokojnie zastanowić — westchnęła. — Ale nie tutaj. Czy nie odnosisz czasem wrażenia, że cię gwałtownie potrzebują w Sztokholmie?

— Tak, to prawda — rzucił jej pełne wdzięczności spojrzenie.

Gdy pojawiła się Sara, Eryk pakował w swoim pokoju neseser z drobiazgami potrzebnymi podczas lotu do Sztokholmu. Miał tam własne mieszkanie, a w nim dość ubrań, bielizny i czego tam jeszcze trzeba, by nie obciążać się zbędnym bagażem.

Nie mógł jedynie znaleźć organizera. Na podłodze leżała torba przyniesiona z samochodu. Podniósł ją, przeszukał ręką, na koniec wyrzucił dnem do góry — bez rezultatu.

— Psiakrew! — mruknął zirytowany.

W tym momencie Sara zapukała do drzwi i weszła.

— Tego szukasz? — spytała na widok wybebeszonej torby na środku pokoju.

— Był u ciebie? — Z ulgą odebrał z jej rąk notatnik i położył na stole, po czym przyciągnął dziewczynę do siebie. — Może mi powiesz, dlaczego jesteśmy tutaj, a nie we Włoszech?

— Wszystko z powodu wstecznego biegu — roześmiała się krótko.

Ukrył twarz w jej włosach, by móc jej nie patrzeć w oczy.

— Słuchaj, Saro, muszę lecieć do Sztokholmu...

— Lecę z tobą — przerwała, podnosząc głowę.

Przez chwilę patrzył na nią zdumiony.

— No właśnie! Polecisz po prostu ze mną. — Łatwe rozwiązanie wywołało chwilową ulgę.

Przyglądała się jego minie. Jakiś rys ją drażnił. Eryk wydawał się spięty i próbował to przed nią zataić. Coś z nim stanowczo nie było w porządku.

Uwolniła się, gdy zaczął ją całować.

— Co się stało?

— Nic — odparł lekko.

Instynktownie wyczuła, że kłamie, i nawet jej to nie uraziło. Nie starała się go wypytać. Na pewno jej o wszystkim powie, kiedy uzna za stosowne. Po prostu mu ufa.

— Leć sam! — powiedziała spokojnie. — Muszę się zatroszczyć o mamę. Potrzebuje mnie teraz.

Objęta go raz jeszcze i czule ucałowała.

Wyjął z organizera wizytówkę.

— Pod tym drugim numerem jestem osiągalny przez całą dobę.

— Zero, zero, czterdzieści sześć, osiem, osiemset siedemdziesiąt siedem, dwadzieścia jeden, dwadzieścia trzy? — Wyrecytowała, parszkając śmiechem.

— Saro... — zaczął ze zdumioną miną.

— Pod każdą cyfrą wyobrażam sobie inny smak włoskich lodów — przerwała mu kolejnym wybuchem śmiechu.

— Jak ja cię kocham, dziewczyno — rzucił poważnie, choć z wewnętrznym żarem, przyciągając ją na powrót bliżej.

Po raz pierwszy wypowiedział te słowa i były one prawdą.

Musieli się już żegnać, ponieważ chciał zdążyć na wieczorny lot. Całowali się bez końca. Sara nawet trochę popłakała, ale zaraz przypomniało się jej, co Eryk właśnie wyznał i postanowiła szukać w tym pociechy. Przynajmniej na początku. Poza wszystkim obiecał, że nie wyjeżdża na długo. No i będą codziennie do siebie dzwonili.

Częściowo uspokojona ruszyła wreszcie do domu w towarzystwie Kapitana, który na czas ich wypadu do Włoch pozostał u Carmen. Dobrze będzie też powspominać minione chwile i czekać na ponowne spotkanie. Jak się kocha, to wszystko wydaje się dobre.

Po powrocie weszła na chwilę do jego pokoju. Przed willą zatrzymał się jakiś samochód i zaraz potem z trzaskiem rozwarły się drzwi do sypialni dziewczyny. Marek Loew był tu już poprzedniego dnia, a także dziś rano, po tym jak Carmen Wylander go poinformowała, że Sary u niej nie ma.

Przez cały ten czas przesakawał od gniewu do troski. Co się dzieje z tą dziewczyną? Carmen próbowała go wprowadzić uspokoić: żeby tym sobie nie zaprzętał myśli, że wszystko jest w najlepszym porządku. Na nic się to jednak nie zdało.

— Marek? — zdziwiła się Sara.

— Gdzie byłeś? — przyglądał się jej z wyrzutem. — Przez dwadzieścia cztery godziny jadłaś lody?

Poprawiła zdjęcia na biurku, by zyskać na czasie.

— Spytaj Eriki — wskazała na ogrodową figurkę.

— Dosyć tego! — wybuchnął z wściekłością. — Nie odgrywaj mi tu przedstawienia! Powiedz lepiej, gdzie byłeś!

Najchętniej potrząsnąłby nią z całej siły, gdy bez słowa go minęła i podeszła do okna. Ukrył w kieszeniach zaciśnięte w pięść ręce.

— Przestań mnie traktować jak idiotę!

Sara patrzyła przez szybę na jezioro oświetlone ostatnimi promieniami zachodzącego słońca. Na gałęzi brzozy koło domu kołysał się mały płochacz. Gdy zwróciła na niego uwagę, przekrzywił łebek, by ją lepiej widzieć, a potem odleciał nad wodę.

— Nie wiem, gdzie byłem — wyznała rozmarzonym głosem.

Marka dosłownie zamurowało. Ze złości poczerwieniał na twarzy. Kilkakrotnie nabierał już powietrza, by rzucić coś w odpowiedzi, jednak na próżno szukał w głowie repliki, która w pełni ulżyłaby jego gniewowi. Wobec tego wymaszerował sztywno z pokoju i trzasnął z całej siły drzwiami.

Po chwili z trzaskiem zamknęły się także drzwi wejściowe. Kapitan, który razem z Sarą wszedł do domu, tulił się teraz do jej nóg i cicho skomlał. Nie znosił kłótni.

Schyliła się i podrapała go za uchem.

— Ty mnie rozumiesz, prawda, piesku? Tobie mogę powiedzieć, jak to się odbyło — przemawiała łagodnie, jakby opowiadała bajkę. — Otworzyłam okno i zamarzyły mi się skrzydła. — Odetchnęła głęboko i wyprostowała się. — No i nagle miałam skrzydła. Rozwinęłam je, stałam się płomienym ptakiem i pofrunęłam na południe...

Z szeroko rozpostartymi ramionami zaczęła tańczyć po pokoju w takt słyszalnej tylko dla siebie melodii. Kapitan potraktował to jak nową, podniecającą zabawę i ruszył za panią. Poszczekując biegał wokół Sary, póki w drzwiach nie stanęła ubrana w peniuar Inga.

— Musicie być tak głośno? — spytała z wyrzutem. — Cały dom się trzęsie.

Sara opuściła ramiona i odwróciła się do matki.

— A co tu robi ten głupi krasnal? Cały Marek! — ciągnęła Inga podrażniona.

— To nie od Marka.

Matka przyjrzała się jej badawczo.

— Coś takiego stawia się w pokoju tylko wtedy, kiedy się jest zakochanym.

— Co oznacza, że jestem zakochana — stwierdziła Sara lekkim tonem.

— Kto to jest? — Inga podeszła zaintrygowana bliżej.

— Zgadnij! — córka rzuciła jej żartobliwe wyzwanie, myśląc w głębi duszy, że matka powinna się była domyślić...

— No, powiedz! — naciskała.

Dziewczyna lekko pokręciła głową. Jeszcze przez chwilę chciała zatrzymać tajemnicę dla siebie. Wydawało się jej, że tak jest dużo lepiej.

— Ty też zrobiłaś coś tak głupiego? — spytała, wskazując palcem na figurkę. — Co to u was było?

Inga milczała. Wspominała czas, gdy zakochała się w Konradzie Maienstedcie. Miała wtedy tyle samo lat, co teraz Sara. W jej oczach pojawił się łagodny błysk.

— Na początku każda miłość jest piękna. Nie powinnam była jedynie za niego wychodzić.

Zacisnęła na powrót usta w gorzkim grymasie, z oczu zniknęła łagodność.

Odwróciła się gwałtownie i wyszła.

3

Samolot wylądował na sztokholmskiej Arlandzie punktualnie. Ponieważ Eryk zapowiedział się telefonicznie, z hotelu przystano po niego samochód z szoferem. W trakcie prawie czterdziesłominutowej jazdy do miasta miał dość czasu, by się zastanowić nad sytuacją.

A ta nie przedstawiała się bynajmniej różowo. Mimo to nie czuł się właściwie źle, głównie bowiem rozmyślał o Sarze.

Już mu jej brakowało i rozważał, jak by tu ją w najbliższych dniach sprowadzić.

Może powinien porozmawiać najpierw z nią i wszystko jej wyznać? A może rozsądniej będzie przedtem rozmówić się z Ingą?

Przypuśćmy, że Inga okaże niespodziewaną wyrozumiałość i nie zechce zranić córki. Wówczas Sara nie musiałaby o niczym wiedzieć. Eryk uczepił się tej możliwości, chociaż w głębi duszy zdawał sobie sprawę, jak jest krucha.

Inga nic zaliczała się do kochających matek. Była zbyt egocentryczna. A fakt, że właśnie Sara odebrała jej kochankę, mógł zmienić okazjonalnie demonstrowane macierzyńskie uczucia w nie skrywaną, niszczącą nienawiść.

Tak więc lepiej chyba będzie wszystko najpierw wyznać Sarze.

Podczas jazdy palił jednego papierosa za drugim, uspokoił się dopiero, gdy samochód wjechał w granice miasta.

Grand Hotel „Wylander” znajdował się nad fiordem Rid-dar. Rozciągał się z niego wspaniały widok na wodę i starówkę, Gamla Stan. Eryk spędził w Sztokholmie znaczną część dzieciństwa i lat młodzieńczych. Kochał tę „Wenecję Półno-cy”, jak często nazywano miasto położone między jeziorem Melar i Bałtykiem, chronione bastionem niezliczonych szkie-rów, pełne rozległych parków, szacownych pałaców, średnio-wiecznych uliczek i kościołów. Kochał wodę otaczającą Sztok-holm, liczne nabrzeża i baseny portowe oraz krzyk mew, wieczście obecnych pod bezchmurnym niebem.

Tutaj rozjaśniało mu się w głowie i stawało lżej na sercu. Kiedy więc samochód pokonywał most Skepsbron w kierun-ku ulicy Söder-malm i skręcał na rynku Karla Johana w bul-war Söder Malarstrand, otworzył okno i głęboko wciągnął w płuca ciężkie od soli powietrze.

A kiedy w zasięgu wzroku pojawił się hotel, jak zawsze na widok tego reprezentacyjnego budynku o jasnobrązowej fa-sadzie z szeregami pobłyskujących okien i podtrzymywanych przez kamienne postacie balkonów Eryk poczuł radość i dumę.

Na podjeździe furkotały na wietrze flagi: narodowa, miej-ska i wiele zagranicznych, honorujących zatrzymujące się tu międzynarodowe towarzystwo.

Gdy samochód zajechał przed wejście, portier pospiesz-nie otworzył drzwiczki i ruchem ręki wezwał boyka, który wniósł niewielki neseser Eryka do holu.

Także tutaj dominowała tradycja i elegancja. Nad prze-stronnym foyer piętrzyła się wysoka, przeszklona, secesyjna kopuła zdobna w roślinne motywy. Pośrodku, w otoczeniu zieleni, królowała szemrząca fontanna. Wszędzie rozstawio-no głębokie fotele, gdzie mogli spocząć goście, którzy akurat nigdzie nie wychodzili, znikąd nie wracali i nie załatwiali spraw w recepcji.

Przyjazd szefa został tymczasem zauważony przez obsłu-gę i już szedł ku niemu zarządca hotelu i od lat najlepszy przyjaciel Eryka, Sven Rasmussen. Jego kanciaste rysy zdrad-zały mądrość i uzasadniały pokładane w nim zaufanie.

— Co się stało, Eryku? — zagadnął z niepokojem.
— Oczekiwałem twojego powrotu dopiero za dwa tygodnie.

Mężczyźni powitali się uściskiem dłoni. Eryk rozejrzał się po westybulu.

— Wiesz, co ci powiem? — odparł. — Wydaje mi się, jakby mnie tu nie było ze dwa lata.

Rasmussen spojrzał nań z ciekawością, ale Eryk zrezygnował z bliższych wyjaśnień.

— Zdarzyło się coś szczególnego? — spytał tylko.

— Można to tak ująć — kiwnął głową zarządca. — Tirtowa miała ciężki atak serca. Obawialiśmy się najgorszego.

— Szpital? — spytał Eryk z niedowierzaniem.

Znał Tirtową od lat. Ilekroć przyjeżdżała do Sztokholmu, mieszkała w tym hotelu i zawsze w tym samym apartamencie. Była światowej sławy projektantką kostiumów, nie tylko do licznych produkcji hollywoodzkich, lecz także do przynajmniej równie wielu przedstawień operowych i baletowych na całym globie. Współpracowała ze wszystkimi znakomitościami teatralnymi i filmowymi i mimo swojego wieku pozostawała fascynującą kobietą, której udawało się nawet w najbardziej ekskluzywnym towarzystwie bez specjalnego trudu odgrywać rolę gwiazdy.

Przebywała teraz w mieście, ponieważ podjęła się przygotowania kostiumów do „Ognistego ptaka”.

Sven Rasmussen odpowiedział na pytanie Eryka, z uśmiechem kręcąc głową:

— Znasz ją przecież. Przed premierą nie ma mowy o szpitalu. — Podprowadził przyjaciela do wind. — Od rana do wieczora siedzi w teatrze. Zaledwie w południe pozwala sobie na godzinę odpoczynku.

Właśnie stanęli, gdy z górnych pięter zjechała winda, a rozsuwające się drzwi ukazały starszą damę na wózku inwalidzkim, pchanym przez młodzieńca o anielskiej urodzie.

Była to Tirtowa. Szczupła, drobna, o pięknych wielkich, niemal czarnych oczach, w których błyszczała niezłomna wola życia. Kiedyś musiała być bardzo ładna; jej twarz mimo upływu lat zachowała regularne, wdzięczne rysy.

Eryk podziwiał ją, odkąd poznał tę znamienitą twórczynię.

— Witam panią, *madame* — rzekł, przyglądając się Tirtowej na poły z wyrzutem, na poły z troską, by wreszcie ucałować jej dłoń.

— Dobry wieczór, Eryku! — Zaśmiała się cicho. — Niech pan nie robi takiej przestraszonej miny. Jeszcze żyję. A wózek używam tylko ze względu na niego.

Kiwnęła głową w kierunku młodego człowieka za sobą.

— Nie powinien się martwić. Tańczy rolę ognistego ptaka.

Piękny młodzieniec rozplątał się z zadowolenia, pochwywszy jej pełen miłości wzrok. On również złożył pocałunek na wypięlgnowanej dłoni i ruszył płynnym krokiem tancerza przez westybul, by sprawdzić, czy podstawiono już zamówiony samochód, który miał odwieźć artystkę do opery na placu Gustawa Adolfa. Jego miejsce zajął Sven Rasmussen, aby starszą panią, jak zawsze elegancką w biało-czarnym jedwabnym kostiumie, kapeluszu o szerokim rondzie i wyszukanej biżuterii, przewieźć ku wyjściu.

Tirtowa przyglądała się Erykowi z pełnym uznania uśmiechem.

— Coś się w panu zmieniło — stwierdziła swoim wysokim głosem. — Mnie pan nie zamydli oczu — dodała na jego pytające spojrzenie. — Od razu rozpoznam, gdy z mężczyzną coś nie jest w porządku. Niech no pan poczeka, już ja do wszystkiego dojdę.

I to się jej może udać, pomyślał Eryk towarzysząc wiekowej damie na zewnątrz, gdzie już czekał samochód. Szofer wysiadł, przywitał ją uniżenie i otworzył tylne drzwi.

— Jak się miewa pani serce? — spytał Eryk cicho.

Uniosła głowę i uśmiechnęła się.

— Lekarz powiada, że tego właściwie już nie można nazywać sercem. W mojej piersi tłucze się mały stuletni ptaszek.

Wstając z wózka, wsparła się na Eryku i pozwoliła się usadowić w samochodzie. Szofer złożył wózek i schował go do bagażnika. Tirtowa podniosła rękę w geście pożegnania, gdy auto bez zwłoki ruszyło z podjazdu.

Eryk i Sven odprowadzili je wzrokiem.

— Prawdziwy z niej fenomen — powiedział Rasmussen po części z podziwem, ale też i z troską. — Lekarz chciał ją

zabrać do szpitala. Wyśmiała go tylko i podsunęła pod nos plan prób do „Ognistego ptaka”. Podobno zaprojektowane przez nią kostiumy są rewelacyjne. Słyszałem, że przeszła samą siebie.

Powoli skierowali się do westybulu.

— Co sądzisz o wydaniu tu przyjęcia po premierze?
— Eryk zatrzymał się nagle.

Rasmussen kiwnął głową. Pomysł spodobał mu się nadzwyczajnie.

— Zajmę się tym — obiecał przyjacielowi i klepnął go na pożegnanie w plecy.

Sara nie mogła wytrzymać w pogrążonym w ciszy domu. Matka nie pojawiła się już, widocznie znowu zasnęła, a Vincenta miała urlop do jutrzejszego ranka.

W sercu dziewczyny kłębiły się jednak doznania ostatnich dni i koniecznie chciała porozmawiać z kimś o tym, co na nią spadło jak grom z jasnego nieba.

Carmen Wylander? Nie, pomyślała. Przy całej jej wyrozumiałości, nie. To przecież matka Eryka. Nie byłoby w porządku rozmawiać z nią na ten temat, zanim on tego nie zrobi.

Wpadła jej do głowy Peregrina. Co ona takiego powiedziała przy pożegnaniu? „Jednak dla każdej z was nadejdzie taki dzień, gdy uznacie, że Marienberg był rajem. Pamiętajcie wtedy, że bramy do tego rajy stoją dla was zawsze otworem.”

Dziesięć minut później dziewczyna jechała samochodem matki do Marienbergu.

Peregrina zdziwiła się i ucieszyła, gdy siostra furtianka powiadomiła ją o wizycie.

Sara objęta ciotkę serdecznie.

— Chciałam po prostu zobaczyć, jak się miewasz — wyjaśniła powód przyjazdu — i czy jesteś zdrowa. A poza tym stęskniłam się za tobą.

Wypiły razem herbatę, do której matka przełożona kazała podać drobne smakowite pufurki z pobliskiej cukierni, za-

opatrującej czasem klasztor w wypieki. Potem poszły na mały spacer po rozległym terenie klasztoru.

O ile Sara z początku rozprawiła żywo o wszystkim, tak teraz coraz częściej milkła. Peregrina obserwowała ją ukradkiem i zauważyła rozmarzony uśmiech, który nagle pojawił się na jej twarzy. Stanęła i obróciła siostrzenicę przodem do siebie.

— Dobrze więc, karty na stół — powiedziała zdecydowanym tonem. — Nie przyjechałaś tu dowiadywać się o moje zdrowie.

Sara wciągnęła głęboko powietrze. Lekka obawa powstrzymywała ją dotąd przed poruszeniem istotnego dla niej tematu. Nie wiedziała, jak zacząć, toteż z ulgą wyłożyła kawę na ławę.

— Byłaś kiedyś zakochana, ciciu? To znaczy, tak na poważnie, po same uszy. Z mrowieniem w całym ciele i ścisaniem w dołku.

Natychmiast się przestraszyła. Czy wypada zadawać takie pytania zakonnicy?

Uśmiech ciotki jednak był pełen wyrozumiałości i w najmniejszym stopniu nie wskazywał, by czuła się dotknięta.

— Szybko poszło. I nieźle cię dopadło!

— Prawda? Wiesz, co ci powiem? To fantastyczne uczucie! — potwierdziła Sara z zapałem.

— Nie mówisz o Marku? — Peregrina spojrzała na nią uważnie.

Właściwie nie pytała, tylko stwierdziła.

Twarz Sary na chwilę spochmurniała.

— Biedny Marek. Żal mi go. Nie byłam dla niego zbyt miła.

— A w czym ja ci mogę pomóc? — spytała ciepło ciotka.

— Dobre pytanie!

Dziewczyna zastanawiała się przez moment, a potem rozjaśniła uśmiechem.

— Tak... Myślę, że chciałam tylko z kimś pogadać.

W gwałtownym przypływie emocji objęła Peregrinę i przytuliła się do niej z całej siły. Twarz jej promieniała.

— Jestem taka szczęśliwa. Nigdy nie przypuszczałam, że życie może być tak cudowne!

Kiedy wróciła do domu, powitała ją cisza i ciemności. Jedynie Kapitan przytruchtał do niej, machając ogonem. Pogłaskała psa i wypuściła go na dwór, żeby odbył zwyczajową wieczorną rundkę po parku i nad brzegiem jeziora.

W salonie przysunęła sobie telefon i wystukała numer pokoju hotelowego ojca w Hamburgu. Telefonistka poinformowała ją jednak, że profesora Maienstedta nie ma.

Poprosiła więc o przekazanie pozdrowień i odłożyła słuchawkę. Powoli zaczęła do niej docierać powaga sytuacji. Co zaszło pomiędzy rodzicami?

Miejmy nadzieję, że nic, czego by się nie dało naprawić, pomyślała i postanowiła nazajutrz z samego rana jeszcze raz zadzwonić do Hamburga.

Inga także usiłowała skontaktować się telefonicznie z mężem. Było grubo po północy, gdy obudziła się z głębokiego, otępiającego snu. Do tej pory czuła się półprzytomna, a w skroniach pulsował narastający gwałtownie ból.

Uprzejma telefonistka zatroskanym głosem powiadomiła ją, że profesora Maienstedta niestety nic ma w pokoju.

— A w restauracji? — naciskała zdenerwowana Inga.

— Proszę wywołać tam jego nazwisko.

Masowała bolącą głowę, podczas gdy ze słuchawki płynął typowy słodki głosik z zapowiedzią: „Proszę czekać”, powtarzaną po angielsku i francusku, a potem rozbrzmiała muzyka orkiestrowa.

Dobłą chwilę trwało, nim telefonistka zgłosiła się ponownie.

— Bardzo mi przykro, profesora Maienstedta nie ma także w restauracji.

— Nie w restauracji... — mruknęła pod nosem Inga.

— Czy mój mąż nie zostawił wiadomości, gdzie go zastanę?

Znowu musiała czekać, równie bezskutecznie. Konrad Maienstedt nie podał w recepcji, dokąd się wybiera.

— Chwileczkę — rzuciła Inga, gdy telefonistka chciała zakończyć rozmowę. — Proszę mu w takim razie przekazać, żeby zadzwonił do domu. To pilne, zrozumiała pani?

Zmarszczyła czoło na pytanie o nazwisko.

— Jestem jego żoną! I czekam na telefon, bez względu na porę!

Nie zegnając się, rzuciła słuchawkę na widełki.

Zgasiła nocną lampkę i położyła się ponownie do łóżka. Ból głowy się nasilił. Drżąc wciągnęła powietrze i przyłożyła dłonie do skroni.

Mogę sobie wyobrazić, gdzie jest, przemknęło jej przez myśl. U tej krowy Vondrowski...

Konrad Maienstedt rzeczywiście był u Ellen Vondrowski, która po wybuchu wściekłości Ingi zajęła się nim w iście wzruszający sposób.

Odwołała wszystkie umówione spotkania, pojechała z nim jeszcze raz nad jezioro, gdzie miał powstać instytut („Pański instytut”, jak podkreśliła) i czekała nań cierpliwie w hotelu, gdy wielokrotnie bezskutecznie usiłował dodzwonić się do Sary bądź Ingi, a w końcu przekazał wiadomość Carmen Wylander.

Potem zjedli razem małą przekąskę i pojechali do domu Ellen.

Powiadomiła wcześniej gospodynię, że przywiezie gościa, i poprosiła o przygotowanie kruszonu.

Konrada Maienstedta ponownie ujęła pełna smaku elegancja urządzenia willi. Przede wszystkim jednak podobała mu się architektura budynku, jego łuki i wieżyczki oraz wewnętrzny dziedziniec, wokół którego wzniesiono dom, tak że okna przeciwnych pokoi spoglądały na siebie.

Kiedy Ellen Vondrowski wraz ze swoim gościem dotarła do domu, gospodyni już nie było. Odebrała z jego rąk własną aktówkę i odstawiła do garderoby.

— A teraz możemy powtórnie zadzwonić nad Ammersee — zaproponowała. — Pańska żona na pewno jest już w domu.

Odmówił gestem dłoni. Cała ta sprawa wciąż go niewymownie żenowała.

— Inga przypomina wulkan. Można tylko czekać, aż się uspokoi. Wcześniej lepiej się do niej nie odzywać.

— Gdyby chociaż miała jakiś powód do zazdrości...

— Ellen nie dokończyła zdania.

Maienstedt był pewien, że w jej głosie pobrzmiwa nutka żalu. Jemu zresztą było podobnie na duszy.

— To co wtedy? — spytał cicho, patrząc jej w oczy.

Nie odezwała się. Poprowadziła go do kuchni.

— Nie odpowie mi pani?

Ruszył za nią i chciał ją obrócić twarzą do siebie, by musiała mu spojrzeć w oczy. Nic zdołał. Nagle pojawił się znany, paraliżujący serce ból. Zaczęło mu brakować tchu, więc pospiesznie wyciągnął z kieszeni tabletki, z którymi się nigdy nie rozstawał. Tym razem przełknął je bez popicia.

Środek zadziałał szybko. Ucisk zelżał, profesor wyprostował się i zaczerpnął powietrza.

Tymczasem Ellen odnalazła wazę z kruszonem stojącą na blacie barku z zielonego marmuru. Podniosła pokrywkę i kiwnęła na Konrada. Oczywiście zauważyła, że właśnie połknął tabletki, zmartwiła się, ale powstrzymała od komentarza, przynajmniej w tej chwili.

Maienstedt badał zawartość naczynia.

— Brzoskwinie fergańskie — stwierdził zachwycony.

— Jak pani je zdobywa? To w dzisiejszych czasach prawdziwy rarytas.

Z ulgą dostrzegła, że znów poczuł się lepiej.

— Trzykrotnym klaśnięciem w dłonie... — uśmiechnęła się.

— Sam zapach powoduje lekki rausz — rozmarzył się z głową wciąż pochyloną nad kryształową misą.

— Siądźmy na tarasie — zaproponowała. — Niech pan weźmie wazę, ja przyniosę szklanki.

Nieszczęście wydarzyło się, gdy Konrad przekraczał próg tarasu. Obcas buta zawadził o dolną framugę drzwi.

— Uwaga! — zawołała Ellen.

Było już za późno. Profesor potknął się i na próżno próbował uratować wazę. Wyślignęła mu się z rąk i z brzękiem

rozprysła na podłodze. Kruszon ochlapał mu garnitur. Także Ellen nie uniknęła prysznic.

— Ależ się pan zmoczył! — stwierdziła i oboje wybuchnęły śmiechem.

Schyliła się, by pozbierać odłamki szkła. Konrad chwycił ją za nadgarstek.

— Ostrożnie! Nie gołą ręką!

Ucałował końce palców Ellen, smakując na wargach kropelki kruszonu.

— Szlachetny trunek — skomentował ze śmiechem.

Patrzyli wciąż na siebie. Ellen spoważniała pierwsza. Jej spojrzenie zmiękło, wargi się rozchyliły, jakby czekała na pocałunek.

Nigdy nic czyniła z tego tajemnicy, że Konrad Maienstedt się jej podoba. Jej małżeństwo należało do szczęśliwych, lecz mąż zmarł przed czterema laty i od tego czasu żyła samotnie. Opłakiwała go długo i szczerze, w roli zaś szefowej koncernu próbowała, czasami z prawdziwym zapamiętaniem, odnaleźć nowy sens istnienia.

Z upływem lat podążyła w życiu zawodowym całkowicie śladem męża i w świecie interesów uchodziła za chłodną kalkulatorkę z dużym talentem negocjatorskim, chwilami twardą jak stal, jednak w pełni zdolną do odważnych eksperymentów, które realizowała z werwą, fantazją i sukcesem.

Nie szarżowała, mimo swych wizji, pozostawała realistką.

Sukcesy ją cieszyły. W ostatnich jednak miesiącach uświadamiała sobie coraz częściej, że obok nich istniało coś jeszcze, w czym od śmierci męża nie miała udziału. Dotąd była to raczej nieokreślona tęsknota za kimś, kto by dzielił jej życie po wyjściu z gabinetu szefowej koncernu Vondrowskiego. Teraz zyskała ona oblicze Konrada Maienstedta.

Profesor wyczuwał napięcie, jakie się między nimi wytworzyło. Przez mgnienie oka rozważał myśl, czy nie lepiej się teraz pożegnać i wyjść. Jeśli tego nie zrobi, może dojść do poważnych komplikacji.

Nie wyszedł. Po latach upokorzeń ze strony Ingi ciepło i pożądanie okazywane przez inną kobietę sprawiały mu satysfakcję. Uznał więc, że ma wszelkie prawo je przyjąć.

Prawie jednocześnie zbliżyli się do siebie, objęli i długo całowali, z początku delikatnie, by się poznać, a potem coraz gwałtowniej, namiętniej.

Konrad został u Ellen na noc. I nie żałował ani sekundy.

Rano wstała pierwsza i czym prędzej wysłała gospodynię, właśnie biorącą się za przygotowanie śniadania, na targ rybny po świeże sole na obiad.

— Sama się zajmę śniadaniem — powiedziała Ellen. — Aha, niech pani też zajrzy po drodze do Steenbecka na Mónkebergerstrasse i kupi brzoskwinie fergańskie. Wczorajszy kruszon wylądował na podłodze, bo się potknęłam, ale chciałabym bardzo, żeby pani na dzisiejszy wieczór przygotowała go jeszcze raz, pani Heuser. Jeśli ma pani coś do załatwienia w centrum, to proszę się nie spieszyć. Dzisiaj przed południem nie będę pani potrzebowała.

Wprawdzie nic krępowała się tym, że w jej domu spędził noc mężczyzna, wołała jednak pobyc chwilę z Konradem bez świadków. Odprawiła więc także sprzątaczkę, która codziennie przychodziła robić porządk.

Konrad poszedł do łazienki, tymczasem Ellen nakryła w jadalni do śniadania i wróciła do sypialni, by przejrzeć jeszcze poranne gazety.

Okna tego pomieszczenia, jak i przeciwległej łazienki, wychodziły na patio. Gdy Ellen pomachała gazetą w tamtym kierunku, wychylił się Konrad z włosami jeszcze mokrymi od prysznic i twarzą w piance do golenia.

— Muszę przyznać — zawołał wesoło — że twoja łazienka jest znakomicie przygotowana na męskie wizyty.

Nie skomentowała tego, wskazała palcem artykuł na uniesionej w górę stronie.

— Piszą o nas w gazecie...

Chwilę później pojawił się w sypialni ubrany w czarny jedwabny szlafrok, który dla niego przygotowała.

Na łóżku leżał otwarty dziennik.

— „Koncern Vondrowskiego złowił noblistę” — przeczytał na głos tytuł. Rzucił Ellen zdumione spojrzenie.

— To moja wina — spuściła głowę. — Powiedziałam reporterowi: Maienstedt będzie następnym laureatem Nagrody Nobla.

Usiadł na brzegu łóżka i ujął jej twarz w swoje duże, silne dłonie. Z uśmiechem wytrzymała jego wzrok.

— Jesteś jasnowidzem? — spytał cichym, czułym głosem. Kiwnęła głową.

— Tak.

Uwolniła się delikatnie z jego objęć, gdy chciał ją ułożyć na poduszkach.

— Chciałabym cię umówić na wizytę u profesora Ruhlanda. — W jej oczach malowała się miłość i troska. — To znakomitość w dziedzinie kardiologii.

— Doskonale wiem, co mi ta twoja znakomitość powie — roześmiał się. — „Czego pan tu szuka? Przecież panu nic nie jest”

Patrzyła na niego z powątpiewaniem.

— Wolałabym sama to usłyszeć z jego ust.

Tym razem się nie broniła, gdy ją obejmował.

Dzięki odpowiednim kontaktom Ellen udało się zamówić wizytę w prywatnej klinice profesora Ruhlanda już następnego dnia.

Tę noc także spędzili razem. Umówili się, że po badaniach Konrad wróci do hotelu się spakować. Zabukował też lot do Monachium. Inga obchodziła urodziny i nie chciał, by świętowała ten dzień bez niego. Poza tym nadszedł czas na poważną rozmowę.

Tak czy owak wróci do Hamburga.

Podczas badania u kardiologa Ellen siedziała w przypominającej palmiami poczekalni. Olbrzymie rośliny sięgały przeszklonego dachu, pomiędzy nimi rozstawiono wyplatane fotele i stoliki. Zająła miejsce w niejkiej odległości od gabinetu profesora Ruhlanda i przeglądała czasopismo, rzucając od czasu do czasu spojrzenie na zegarek. Była zdenerwowana, nie potrafiła usunąć z myśli drążących pytań o stan zdrowia Konrada.

Profesor Ruhland dawno przekroczył czterdziestkę, miał posiwiałe blond włosy i budzące zaufanie oczy. Maienstedt poinformował go, że jeszcze tego samego dnia wraca do Monachium, wobec tego zrezygnował z szerszych badań. Już jednak wysiłkowe EKG i kontrola ultrasonograficzna wykazały, że jego pacjent istotnie należy do poważnie zagrożonych zawałem.

— Muszę we wszystkim przyznać rację koledze Speidlowi, profesorze — odezwał się, gdy Konrad wkładał ubranie. — Trzeba najszybciej jak to możliwe przeprowadzić koronarografię. Właściwie nie powinienem pana stąd wypuszczać.

Maienstedt zdecydowanie pokręcił głową. Tłumaczył już Ruhlandowi, dlaczego przyjechał do Hamburga.

— Nie mogę sobie teraz pozwolić na chorowanie. Nie rozumie pan, profesorze? Kiedy się otrzymuje taką szansę jak ja, człowiek nie kładzie się do łóżka i nie udaje chorego.

Ruhland otworzył drzwi do poczekalni.

— Takie nastawienie niesie ze sobą ryzyko — ostrzegł. — Jest pan tego świadom?

Ellen Vondrowski odłożyła czasopismo na stolik i podeszła do obu mężczyzn.

— I jak, profesorze? Co z nim?

Maienstedt ujął ją pod ramię i uprzedził odpowiedź Ruhlanda.

— To, co już wiedziałem dużo wcześniej. Po prostu jestem stary i muszę się trochę ostrożniej ze sobą obchodzić. Wrócę tu jeszcze kiedyś i dam się gruntownie sprawdzić. Do zobaczenia, profesorze — skinął Ruhlandowi na pożegnanie, prowadząc opierającą się Ellen ku wyjściu.

Kardiolog towarzyszył im do drzwi.

— Do zobaczenia, profesorze Maienstedt, niech pan mi nie każe zbyt długo czekać.

Konrad pomachał mu po przyjacielsku ręką, skinął głową i wyszli.

Na parkingu przed kliniką czekał na nich samochód z kierowcą. Ellen zatrzymała się przy klombie gęsto obsadzonym letnimi kwiatami.

— Co powiedział Ruhland? — spytała z niepokojem.

W odpowiedzi Konrad pochylił się i zerwał z rabatki drobny jasnoczerwony goździk.

— Kwiat złodziei w kolorze nadziei — zadeklamował, wkładając go do butonierki ciemnego kostiumu Ellen. — Przy obiedzie będzie więcej poezji.

— Tchórz! — Zbeształa go czule, rzucając okiem na zegarek. — Twój samolot do Monachium...

— Kwiat złodziei w kolorze nadziei — powtórzył niby załamany. — To niedobre?

— Konradzie, to jedyny samolot dzisiaj.

Rozłożył ramiona z dramatycznym westchnieniem.

— Poeci umierają w samotności. Skandal!

Mimo woli musiała się roześmiać i — chociaż była prawie pewna, że szofer obserwuje ich zza kierownicy — objęła go i ucałowała.

Eryk Wylander starał się pracą odpędzić wewnętrzny niepokój i gonitwę myśli, prawie wyłącznie skoncentrowanych wokół Ingi i Sary. Niecałkowicie mu się to udawało.

Hotelowe zamieszanie, które zawsze tak lubił, teraz go denerwowało. Podobnie jak garsoniera w patrycjuszowskiej kamienicy z imponującą elewacją, zbudowanej na przełomie wieków przy reprezentacyjnej ulicy Sztokholmu, Strandvagen. Przebudował ją i urządził całkiem po swojemu — mianowicie na podobieństwo admirałskiego okrętu Nelsona. Przedtem chętnie wracał do domu, cieszyło go piękno pieczołowicie odrestaurowanych antyków i unosząca się w mieszkaniu atmosfera minionych stuleci. Teraz także garsoniera straciła swój czar. Poczucie rozerwania i niepokój trwały.

Tęsknił za Sarą, wyrzucał sobie, że nie został nad Ammersee, że uciekł od problemów. W następnej zaś chwili przekonywał sam siebie, że w obecnej sytuacji nic innego mu nie pozostało. Potrzebował fizycznego dystansu wobec Ingi, by móc się zastanowić, jak jej w najłagodniejszej formie powiedzieć prawdę.

Sven Rasmussen z troską obserwował jego zmienione zachowanie. Jako prawdziwy przyjaciel o nic nie pytał, czekał, aż Eryk otworzy się przed nim z własnej woli.

Ten jednak milczał.

Zazwyczaj wyjątkowo uprzejmy i przyjacielski wobec pracowników hotelu, tym razem, jak stwierdził Sven, zapomniał nawet podziękować pani Lindgren, swojej sekretarce, gdy przyniosła teczkę z listami do podpisu. Bez słowa, myślami najwidoczniej gdzie indziej, załatwiał korespondencję.

— Proszę pamiętać o spotkaniu z... — przypomniała cichym głosem.

— Mówi mi to pani już po raz trzeci! — przerwał rozdrażniony.

— Ponieważ ostatnio kazał mu pan czekać na siebie pół godziny — oznajmiła niewzruszona.

Eryk zamknął z trzaskiem oprawną w czerwoną skórę teczkę i oddał ją pani Lindgren. Opuściła gabinet, obrzucając trzymającego się dotąd na uboczu Rasmussena krótkim znaczącym spojrzeniem.

Sven wyjął z ukrytego w regale z książkami barku butelkę koniaku.

— Chyba potrzebujesz łyka — rzucił, nalewając do pełna i podając koniakówkę Erykowi.

— Dziękuję, nie. — Eryk odsunął kieliszek.

Przyjaciel uniósł brwi.

— Wiesz, że jesteś nie do zniesienia?

— Tak się też czuję — odparł Eryk z kamienną miną.

Rasmussen czekał na dalszy ciąg wyjaśnień, gdy zaś żadne nie padło, postawił koniak na biurku.

— Dobra, w takim razie milej zabawy. Żona i dzieci wzywają.

Eryk odprowadził go wzrokiem do drzwi. Żona i dzieci... Dawniej, choć bardzo lubił Svena, trochę się wyśmiewał z jego rodzinnej idylli, która jemu samemu wydawała się mało nęcąca. Raptem jednak niemal pozazdrościł przyjacielowi nieskomplikowanego, bezproblemowego życia.

Rasmussen naciskał już klamkę, gdy Eryk go zatrzymał.

— Zostań chwilę — wykrzywił twarz w grymasie uśmiechu. — Psiakrew, jestem w kropce.

Przyjaciel bez słowa podszedł z powrotem do biurka i wcisnął mu w rękę pełny kieliszek, a potem odczekał, aż go jednym haustem opróżni.

— Jak powiedzieć kobiecie, z którą człowiek był związany przez siedem lat, że się zakochał w jej córce? — Eryk spojrział bezradnie na Svena.

Po paru minutach Rasmussen znał już całą historię. Był jednocześnie zaskoczony i przerażony dylematem, jaki miał do rozwiązania Eryk. I co mu w takiej sytuacji poradzić?

W minionych latach wielokrotnie spotykał Inge w Sztokholmie, gdy odwiedzała przyjaciela. Nigdy nie próbował mieszać się do tego związku, podobnie jak nie uczyniła tego Carmen Wylander. Mimo to życzył Erykowi innej partnerki i w skrytości ducha miał nadzieję, że ten któregoś dnia spotka kobietę, która mu da więcej szczęścia. Bardzo lubił Eryka i uważał, że zasłużył na kogoś lepszego niż Inga Maienstedt.

Ale czy musiała to być akurat jej córka?! Czy właśnie w niej musiał się zakochać?!

Długo rozmawiali. To znaczy w gruncie rzeczy mówił Eryk i bardzo mu pomogło, że wreszcie szczerze z siebie wyrzucił, co mu leżało na wątrobie. Rasmussen słuchał, lecz i on nie znalazł mądrej rady oprócz tej, którą delikwent sam sobie zaaplikował: oczyścić pole.

Oczywiście istniało duże ryzyko, że Sara, poznawszy prawdę, odwróci się od niego. Ubóstwiała ojca i fakt, że to właśnie Eryk rozbił jego małżeństwo, może się wydać takiemu młodemu, bezkompromisowemu stworzeniu nie do wybaczenia.

Mimo to powinna poznać fakty, a potem już od niej będzie zależało, jak się sprawy potoczą.

Po wyjściu przyjaciela Eryk wsparł głowę na dłoniach i zamknął oczy. Rozmowa ze Svenem przyniosła mu ulgę, ale nic poza tym nie zmieniła.

W dalszym ciągu przygniatał go ciężar nie do udźwignięcia i nie wiedział, jak się od niego uwolnić. Tylko Sara mogła mu go zdjąć z ramion, gdyby się mimo wszystko zdecydowała z nim zostać. Ale czy zechce?

Za nic jej nie oddam, myślał zrozpaczony. Potrzebuję jej i kocham. Jest pierwszą kobietą, którą naprawdę kocham. Zrobię wszystko, żeby jej oszczędzić trosk.

Wiedział jednak, że właśnie tego nie może zagwarantować.

Inga Maienstedt najchętniej przespałaby własne urodziny. Wolała nic nie widzieć i nie słyszeć. Poprzedniego wieczoru znowu potknęła valium i popiła odpowiednią porcją wódki, toteż kiedy Sara późnym przedpołudniem zapukała do drzwi sypialni, jej matka nie zareagowała.

Dziewczyna weszła do środka z pozytywką, którą nakręcała, zbliżając się do ióżka. Rozległa się melodyjka *Happy Birthday* i na wpół przebudzona matka odwróciła się na drugi bok, nakrywając kołdrą głowę.

— Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin — Sara dotknęła lekko ręką jej ramienia.

Gorzki, bolesny węzeł uformował się w gardle Ingi.

Jej urodziny... A Konrad w Hamburgu u tej Vondrowski... Nie zadzwonił. Przypuszczalnie nic wrócił na noc do hotelu, a to oznacza, że...

Inga gwałtownie rzuciła się na łóżku, strącając rękę Sary.

— Daj mi spokój, proszę. Nie mam nastroju do świętowania urodzin!

Happy Birthday działało jej na nerwy.

— Wyłącz to! — zażądała szorstkim głosem.

Gdy Sara nie zareagowała od razu, Inga wyrwała jej pozytywkę z ręki i szerokim łukiem cisnęła przez otwarte okno do ogrodu.

— A teraz zostaw mnie samą! — Usiadła drżąc na całym ciele.

Na dworze rozległo się szczekanie Kapitana. Pozytywka upadła w trawę tuż obok jego nosa i mocno go wystraszyła. Ostrożnie podszedł bliżej i obwąchał dziwny przedmiot. Nie grała już, była rozbita.

Inga ruszyła do łazienki, jednak w połowie drogi się zatrzymała, obserwując córkę spod w półprzymkniętych powiek.

— Gdzie ty właściwie byłaś? Wracam z Hamburga, a ciebie nie ma...

Sara zdecydowała się odpowiedzieć pytaniem na pytanie:

— A dlaczego ty w ogóle jesteś? Co z ojcem?

Ku jej uldze matka data się zwieść. Zerwała z wieszaka szlafrok i narzuciła na siebie. Gwałtownymi ruchami wiązała pasek.

— Tworzyć instytut! W jego wieku! Toż to absurd!

— Nie rozumiem... — Sara wpatrywała się w matkę bezradnie.

Inga wzruszyła ramionami z pełnym nienawiści uśmiechem.

— Mnie jest wszystko jedno, co zrobi. Rozstajemy się!

Dziewczyna pobladała ze strachu na to *dictum*. Oczywiście wiedziała, że między rodzicami od czasu do czasu dochodzi do sprzeczek, matka także przy niej nie szczędziła ojcu kąśliwych uwag, Sara jednak traktowała to wszystko jako naturalne objawy trudności powstających między małżonkami po dwudziestu latach wspólnego pożycia. W jej wyobrażeniu więzi rodzinne nie zostały naruszone. Miała ojca i matkę, którzy ją kochali i byli razem.

— Nie wierzę! — krzyknęła teraz przerażona.

Na Indze jej reakcja nic uczyniła najmniejszego wrażenia.

— Chcę tego już od lat. Powinnam była odejść dawno temu i zrobić to teraz!

— Nie wolno ci tak mówić, mamo... — Sara złożyła ręce w błagalnym geście.

— Wszyscy się jeszcze zdziwicie! — Inga wybuchnęła złym, zimnym śmiechem i zniknęła w łazience.

Zdezorientowana dziewczyna usiłowała sobie wmówić, że tym razem doszło między rodzicami do poważnej scysji, ale przy odrobinie dobrej woli obu stron wszystko się ułoży.

Rozstanie? Rozwód?

Naturalnie takie rzeczy się zdarzały. Sara nieraz dowiadywała się, że rodzice koleżanek ze szkoły się rozstają. Zawsze jednak myślała: U nas się to nie zdarzy.

Czyżby się rzeczywiście tak straszliwie pomyliła, hodując owo idiotyczne przeświadczenie?

Kiedy zeszła do ogrodu, Vincenta zdążyła już nakryć do galowego śniadania. Były srebra, cienka porcelana i świece.

Przez trawnik przybiegł na powitanie Kapitan. Wyszczerył zęby w oczekiwaniu, że pani da się namówić na rzucanie patyków, ale nie zareagowała. Przeczesała trawę w poszukiwaniu pozytywki, którą matka wyrzuciła przez okno. Wieczko się odłamało, kawałek dalej leżało drewniane pudełko z mechanizmem.

Zebrała części i niosła je do domu, kiedy na taras wyszła Vincenta.

— Co się dzieje z twoją mamą? Chora?

Podczas gdy Sara szukała w myślach odpowiedniego wyjaśnienia dla zachowania matki, u drzwi wejściowych zabrzmiał dzwonek.

— Pewnie listonosz — stwierdziła gospodyni, idąc otworzyć.

U wejścia stała Peregrina z torbą podróżną i starannie opakowanym prezentem w ręku.

Na widok ciotki Sarę opuścił nastrój przygnębienia. Z ulgą objęła ją serdecznie.

— Samo niebo cię tu zsyła! — Przytuliła się mocniej. — Ale czemu nic nie powiedziałaś? Przywiozłabym cię przecież!

— Wówczas nie byłoby niespodzianki — odparła wesoło Peregrina i ujęła dziewczynę pod rękę.

Razem ruszyły w kierunku śniadaniowego stołu. Vincenta tymczasem znowu zniknęła w kuchni. Peregrina ze zdumieniem obrzuciła wzrokiem puste krzesła.

— A gdzie jubilatka? Dlaczego nakryte tylko dla dwóch osób? Ojciec jeszcze nie wrócił?

Sara spuściła głowę.

— Został w Hamburgu. Pokłócili się i mama wróciła bez niego.

— Gdzie ona jest? — W głosie Peregriny pobrzmiwały alarmujące tony.

— Na górze — odrzekła dziewczyna.
— Porozmawiam z nią. — Peregrina zawróciła ku domowi.

Inga tymczasem siedziała z papierosem na łóżku i wystukiwała numer hotelu Eryka w Sztokholmie.

— Z panem Wylanderem, proszę — powiedziała po zgłoszeniu się recepcjonistki.

— Pana Wylandera niestety chwilowo nie ma — odpowiedział obcy kobiecy głos po niemiecku. — Czy mam mu zostawić wiadomość?

— Nie ma... — powtórzyła nerwowo Inga. — Nie, dziękuję. Nie trzeba. Zadzwoń później.

Drgnęła, gdy rozległo się pukanie do drzwi, które po wyjściu córki zamknęła na klucz.

— Albo nic, niech pani zaczeka! — dodała pośpiesznie. — Proszę mu przekazać, żeby do mnie zadzwonił. Maienstedt w Niemczech... Będzie wiedział. I proszę powiedzieć, że to ważne.

Nie czekając na odpowiedź, odłożyła słuchawkę.

Ponownie rozległo się pukanie. Potem poruszyła się klamka.

— Saro, mówiłam, żebyś mi nic przeszkadzała! — zawołała rozdrażniona.

— Ingo, otwórz! — zabrzmiał głos Peregriny. — To ja.

Pospiesznie zdusiła papierosa w popielniczce na nocnym stoliku i podeszła do drzwi.

— Chwileczkę... — Przekręciła klucz w zamku i wpuściła siostrę, przyglądając się jej ironicznie. — Wcześniej dziś wstałaś.

— O piątej. A ty jeszcze w nocnej koszuli — odparła pogodnie Peregrina. — Jak mamy świętować twoje urodziny, kiedy się zamykasz na klucz?

— Nie mam nastroju do świętowania — wykrztusiła Inga. — Rozwodzę się. — Wcisnęła zwinięte w pięści dłonie w kieszenie szlafroka. — Od lat odgrywam przed wami wszystkimi przedstawienie. Przed sobą także. Teraz nareszcie będzie z tym koniec.

— I? — spytała siostra cicho i konkretnie.

— Co „i”? — powtórzyła niepewnie Inga. — Jestem tutaj, a Konrad w Hamburgu. W dniu moich urodzin.

— Przecież to ty uciekłaś — stwierdziła Peregrina spokojnie.

Inga podeszła do toaletki i zaczęła rozczesywać włosy.

— Stworzył sobie za moimi plecami nowe życie. Okłamuje mnie, a ja wychodzę na głupią. — W jej głosie pojawił się histeryczny ton. — Nawet nie zachowuje form. Ani kwiatów, ani telegramu. Nie zauważa, że istnieje.

Peregrina obserwowała ich małżeństwo tylko na odległość. Natomiast dobrze znała Inge. Mimo to zrobiło się jej żal. Pod wpływem impulsu objęła siostrę ramieniem. Ta zaś oparła jej głowę na piersi i zaczęła płakać:

— To po prostu niesprawiedliwe. On zaczyna nowe życie. A ja?

Peregrina odsunęła ją lekko od siebie, by spojrzeć jej w twarz. Inga wyczytała siostrze z oczu, że jej nie dowierza.

— Hamburg to poroniony pomysł! — prychnęła. — Jest na to za stary i do tego chory. Powinien raczej pójść na operację, zamiast się zachowywać jak młody, zakochany dureń.

— Odpowiedz mi uczciwie! Czy ty go kiedykolwiek kochałaś? — Peregrina nie spuszczała z niej spojrzenia.

Inga odwróciła wzrok.

— Wiem tylko jedno. Nie powinnam była za niego wychodzić.

Gdybyś była tego nie zrobiła, westchnęła w myślach zakonnica. Przeżyłby to jakoś i może by zauważył, że jestem jeszcze ja. Ale on widział wtedy tylko Inge. Ona zaś oczywiście spostrzegła, że cierpię. Takie sprawy zawsze, po prostu instynktownie, wyczuwała. Od tej chwili postanowiła mieć Maienstedta dla siebie. Z dawien dawna była to jej ulubiona zabawa: dostać to, na czym innym zależy. Zabrać.

— Nigdy go nie kochałaś — rzekła głośno. — Nie wiesz nawet, co to miłość. Chcesz tylko, żeby cię inni kochali. A co im dajesz w zamian?

Inga wzruszyła ramionami.

— Zapomina o moich urodzinach, ale to ja go nie kocham... No to jesteśmy kwita!

Zaśmiała się przez łzy i zamilkła dopiero wtedy, gdy Peregrina chwyciła ją za ramiona i mocno potrząsnęła.

— Nie masz serca, ale może masz choć sumienie! Nie umiem ci pomóc w tym, żebyś go pokochała, ale jedno na pewno mogę: zabronić ci go unieszczęśliwiać!

Sara tymczasem siadła samotnie do stołu. Przyniosła sobie urodzinowy tort i podjadała truskawki, którymi był udekorowany.

W głębi domu odezwał się sygnał telefonu, ale zanim zdążyła zareagować, odebrała Vincenta i po chwili wyszła z aparatem na taras.

— Do ciebie.

Dzwonił Eryk. Twarz Sary rozjaśniła się na dźwięk jego głosu.

— Masz coś do pisania? — spytał pospiesznie.

Odruchowo pokręciła głową, chociaż przecież nie mógł tego zobaczyć.

— Co?

— Ołówek i papier. Uważaj! Odlot z Monachium o dwunastej dziesiątej, przylot do Sztokholmu o piętnastej. Będę czekał na lotnisku.

— Nie wygłupiaj się! — Pokręciła głową ze śmiechem.

— Nie mogę przecież po prostu...

— Przyjedź do mnie! — poprosił miękko.

— Nie mogę. Są urodziny mamy.

Prawie jej nie słuchał.

— Jest jeszcze jedna możliwość, ale musiałabyś się przesiadać.

— Eryku... — zaczęła, lecz przerwał jej w pół słowa.

— Bilet wystawiony jest na twoje nazwisko. Po prostu przyleć najbliższym samolotem — odczekał chwilę i dodał z naciskiem: — Saro, słyszałaś? Musisz do mnie przyjechać. Brakuje mi ciebie.

— Mnie ciebie także — szepnęła czule.

W tym momencie otworzyły się drzwi wejściowe i usłyszała głos ojca, witającego Vincentę.

— Muszę kończyć — powiedziała, ale nie odłożyła słuchawki.

— Saro... — Głos Eryka zdawał się ją pieścić.

— Słucham? — spytała pełna oczekiwania.

— Kocham cię.

Oczy jej rozbłysły.

— Nie tak bardzo jak ja ciebie. — I dokończyła szeptem:

— Kocham, kocham, kocham...

W tej chwili pojawił się na tarasie ojciec. Sara poderwała się od stołu. Dzięki Bogu, przyjechał! Nie zapomniał o urodzinach mamy!

— Zadzwoń później. Cześć! — Przerwała połączenie, podbiegła do ojca i uszczęśliwiona rzuciła mu się na szyję.

Kapitan nadbiegł z ogrodu i skomląc z radości obskakiwał pana. Konrad Maienstedt podrapał go za uchem, drugą ręką unosząc opakowaną w celofan gałązkę orchidei poza zasięg psich czułości.

Sara roześmiała się i po pani szalonych całusach uwolniła wreszcie ojca. Zauważyła Peregrinę i matkę, które z ociąganiem wkraczały na taras.

Inga włożyła sukienkę, ale zrezygnowała z makijażu. Jej wygląd wzbudzał litość i Konrad z miejsca się przeraził. Wciąż się przejmował jej cierpieniem niezależnie od tego, co sam od niej wycierpiał. Powoli podszedł do żony, tymczasem Peregrina objęła ramieniem Sarę.

— Dla ciebie — rzekł podając Indze kwiaty.

Gdy nie wykazała chęci, by je odebrać, uścisnął ją nieporadnie.

— Wszystkiego dobrego z okazji urodzin.

Nie zareagowała. Promieniowała wprost wrogością.

Otoczył ramieniem jej plecy i poprowadził nad jezioro. Poszła z nim z oporem, niemniej Vincenta mruknęła z ulgą do Sary:

— Wreszcie zaczną się prawdziwe urodziny!

Portugalka pracowała u Maienstedtów już kilka ładnych lat i czuła się jak członek rodziny. Nic dziwnego więc, że przygnębiało ją, iż państwo najwyraźniej rozstali się w gniewie.

— Przynies szampana — potwierdziła z entuzjazmem dziewczyna. — Ja się zajmę kieliszkami.

Ręka w rękę zniknęły w domu, tymczasem Peregrina zajęła miejsce za stołem. Oparła głowę na dłoniach i wpatrzyła się w obrus. Wielki ciężar przygniatał jej serce.

Inga i Konrad spacerowali nad brzegiem jeziora. Gałąź orchidei wetknął jej po prostu w dłoń, gdy sama nie wyciągnęła po nią ręki. Odwinęła celofan i cisnęła w nadbrzeżne szuwały, po czym odwróciła się ku wodzie.

Konrad podszedł do niej z tyłu i położył ręce na ramionach.

— Zawrzyjmy pokój! — poprosił serdecznym tonem.

Okręciła się na pięcie.

— Pokój?! — warknęła. — Masz raczej na myśli zawieszenie broni moim kosztem. Mam wszystko przełknąć. Wszystko, co robisz, ma mi się podobać. Mam udawać, że Ellen Vondrowski jest moją najlepszą przyjaciółką. Nie wolno mi stawiać żadnych pytań... I ty to nazywasz zawieraniem pokoju?! Nic ze mną!

Podczas tej przemowy zaczęła obrywać z orchidei płatek po płatku.

Gwałtowny wybuch nie zaskoczył Konrada. Oczekiwał go. Ale tym razem nic zmilczy. Nie da się Indze napiętnować jako winny. Milczał wystarczająco długo. Jeszcze się zastanawiał, jak zacząć, gdy żona podjęła oskarżycielskim tonem:

— Przyznaj się, że nie przyjechałeś tu z powodu moich urodzin! Chcesz się tylko upewnić, że nie wychynę w Hamburgu i ci nie przeszkodzę...

— Posłuchaj! — Zacerpnął głęboko tchu.

Starał się mówić spokojnym, opanowanym głosem, ale nie całkiem mu się to udało. Mimo wszystko powiedział to, co uważał, że wreszcie trzeba było powiedzieć:

— Sądzę, że powinnaś pojechać do Sztokholmu.

Zauważył, że się spięła. Z jej oczu zniknęła wściekłość, ustępując miejsca panicznemu strachowi. Inga Maicnstedt uwielbiała rolę biednej ofiary. Czyżby ją jej teraz odbierano?

— Przyjrzyj się tam wszystkiemu — ciągnął Konrad, stanowczo zdecydowany by okazać żonie zrozumienie. — Bez nacisków. Spokojnie. A potem musisz podjąć decyzję.

Inga nie odezwała się ani słowem. Znowu było mu jej żal. Prawie.

— Ludziom powiemy, że zastąpisz mnie na kongresie limnologicznym. — Próbował się do niej uśmiechnąć. — I tak nie miałem zamiaru jechać.

— Więc wiesz? — Głos ją zawodził. — Od jak dawna? Uśmiech Konrada zamienił się w grymas bólu.

— Od dawna. Gdybyś jednak w Sztokholmie nie znalazła tego, co masz nadzieję znaleźć, pamiętaj: ten dom jest twoim domem. Stoi dla ciebie zawsze otworem, obojętne, co się wydarzy.

Zrozumiała, że ta propozycja jest szczerą. Na chwilę dobroć i wyrozumiałość męża osłabiła jej niechęć. Rozpłakała się i oparła mu głowę na ramieniu. Objął ją nieporadnie.

Zaraz też obudziła się w niej podejrzliwość. Pewnie teraz oczekuje, że poprosi go wybaczenie i obieca przenieść się do Hamburga. To na pewno podstęp, odgrywa tylko rolę wielkodusznego. Ale ona się nie da podejść!

Dzień włókł się nie miłosiernie. Mimo wysiłków Peregriny i Sary nastrój panował kiepski. W powietrzu wisiało napięcie, które wyczuła natychmiast Carmen, gdy wieczorem przyszła złożyć jubilatce życzenia.

Vincenta przygotowała pyszny zimny bufet, do którego podała wino. Słoneczny dzień zmienił się w ciepły wieczór, wszyscy więc zgromadzili się na tarasie. Sara zapaliła świece, mimo że jeszcze nie zapadł zmierzch. Siedziała między ojcem i Peregriną, która przypatrywała się jej z miłością.

— Tak więc wasza podróż na Bali została ostatecznie odwołana?

Dziewczyna potrząsnęła energicznie głową.

— Wcale nie. Tylko przesunięta.

— Muszę najpierw pojechać do Sztokholmu — odezwała się nagle Inga i zaśmiała, gdy wszyscy wlepili w nią wzrok. — Cóż, wygląda na to, że cała rodzina poświęca się dla dobra nauki. Będę reprezentować Konrada na kongresie limnologów. On sam nie ma na to czasu.

Sara pierwsza otrząsnęła się z zaskoczenia.

— Jedziesz do Sztokholmu? Super! Jadę z tobą!

Matka, niemile dotknięta, machnęła zniechęcająco ręką.

— Ostrzegam, będziesz się straszliwie nudzić.

Dziewczyna spojrzała na Carmen Wylander.

— W twoim hotelu na pewno nie będę.

Carmen potwierdziła, chociaż przeczuwała komplikacje, które niosła ze sobą niespodziewana decyzja Sary. I tak nie można im było zapobiec. Pojawiłyby się prędzej czy później.

— A poza tym — ciągnęła dziewczyna — nie miałam swojej maturalnej podróży. Dlatego pojedę, nawet jeśli ci to nie po myśli!

Spakowała się następnego ranka zaraz po śniadaniu. Od Carmen pożyczyła samouczek szwedzkiego, rozłożyła na stole i od czasu do czasu zerkała w tekst.

— *Hur star det till?* — Mruczała pod nosem i powtarzała zaraz: — *Hur star det till?*

Kapitan podniósł łeb z dywanika przed łóżkiem. Irytował się, że nie rozumie ani słowa z tego, co mówi jego młoda pani. Sara pochwyciła jego pytające spojrzenie i wyjaśniła ze śmiechem:

— To po szwedzku, Kapitanie, i znaczy: jak się masz?

Po schodach prowadzących z ogrodu na balkon Sary wszedł Marek Loew z dwoma olbrzymimi kubkami lodów.

— Z prawej czy z lewej? — spytał.

— I z prawej, i z lewej — odparła wesoło dziewczyna, całując go na powitanie.

Po pamiętnym wybuchu złości zadzwoniła do Marka, próbując go udobruchać, co się jej oczywiście udało. Zbyt wielką ulgę sprawiło mu to, że odezwała się pierwsza, by się dłużej gniewał. Powiedział sobie, że Sara nie jest zwykłą dziewczyną. Czasami zachowuje się nieodpowiedzialnie, ale nie wolno jej wtedy ograniczać.

Istotnie, umiała go sobie owinąć wokół małego palca. Marek był tego w pełni świadom. Lecz nikomu by tak chętnie na to nie pozwolił, jak jej. Po prostu ją kochał, po części dlatego, że tak bardzo różniła się od innych dziewcząt.

Mimo wszystko nałykał się goryczy, gdy mu poprzedniego wieczoru powiedziała o planowanej podróży do Sztokholmu.

Postanowi) jednak nie dać nic po sobie poznać. Dopiero gdy zobaczył na łóżku spakowaną walizkę, wyrwało mu się pytanie:

— Naprawdę musisz jechać do tego Sztokholmu?

Postawił oba kubki na stole i Sara wyjęła plastikową łyżeczkę, aby na zmianę próbować lodów.

— Co to znaczy: muszę? Chcę! W pewnym sensie już wyjechałam. To, co teraz oglądasz, jest tylko moją cielesną powłoką!

— Jak długo zostaniesz w Szwecji?

— Cztery dni! — Uśmiechnęła się rozmarzona. — Ale kto wie, może zmienią się w czterdzieści lat...

Była to, zdaniem Marka, kolejna odpowiedź w tak zwanym stylu Sary.

Inga zadzwoniła do hotelu „Wylander” i kazała powiadomić Eryka, że przyjeżdża. Wyszedł po nią na lotnisko.

W duchu wrzał. Co oznacza ten nagły przyjazd? Czyżby Inga wyłożyła mężowi karty na stół i przybywa tutaj, by podjąć kroki rozwodowe?

Wprawdzie w ciągu minionych siedmiu lat nieraz pojawiała się w Sztokholmie, zawsze jednak wtedy, gdy mąż wyruszał w objazd z cyklem wykładów — albo gdy udawała wizytę u jakiejś przyjaciółki.

Próbował sobie wmówić, że teraz także mogło się tak zdarzyć. Niemniej w głębi ducha wiedział, że sytuacja się zmieniła. Między Maienstedtami doszło do poważnej scysji. Inga wróciła nad Ammersee sama, natomiast profesor pozostał w Hamburgu. Doniosły mu o tym matka i Sara.

Czy w tym sporze chodziło o niego, Eryka?

Wędrując nerwowo po hali przylotów w oczekiwaniu na wylądowanie samolotu linii SAS czuł, że robi mu się gorąco. Otarł pot z czoła i poluzował węzeł krawata.

Zaledwie przed tygodniem proponował Indze, żeby się rozwiodła z mężem. Nie uczynił tego tylko dla pozorów. Wówczas rzeczywiście chciał się z nią ożenić. Skąd mógł przypusz-

czać, że wszystko się zmieni z dnia na dzień — nie, z godziny na godzinę!

Ale się zmieniło. Była to jedyna rzecz, z jakiej mimo wewnętrznego rozdarcia dokładnie zdawał sobie sprawę.

Kobieta, którą chciał poślubić i z którą zamierzał spędzić resztę życia, nie nazywała się już Inga, lecz Sara Maienstedt.

Przez głośniki zapowiedziano lądowanie samolotu z Monachium. Chwilę potem po schodach do hali przylotów zeszli pierwsi pasażerowie. Dostrzegłszy Inge, Eryk podniósł dłoń w powitalnym geście — i zastygł bez ruchu, kiedy obok niej ujrzał Sarę.

Jakoś udało mu się przywitać z matką, nie zdradzając wewnętrznego wzburzenia. Córce zaś niemal zazdrościł swobody, z jaką podała mu na powitanie rękę, i wesoło się roześmiała, gdy złożył na niej formalny pocałunek.

— Pewnie się dziwisz? Zawsze chciałam zwiedzić Sztokholm!

Kiedy Inga wyprzedziła ich o parę kroków, ukradkiem przesłała mu całusa.

Podczas jazdy do miasta Eryk zadzwonił do hotelu, by zarezerwować dodatkowy pokój dla Sary. Na szczęście było jeszcze kilka wolnych, mimo odbywającego się tam kongresu limnologicznego, którego uczestnicy mieszkali na miejscu.

Poinstruował szofera, by zrobił małą rundkę po centrum. Chciał pokazać Sarze najpiękniejsze zakątki i zabytki Sztokholmu. Wyglądała przez okno z ciekawością dziecka. Nigdy by nie przypuszczał, że to miasto może być tak fascynujące.

Na koniec dotarli do hotelu.

Już sama imponująca fasada zrobiła na dziewczynie głębokie wrażenie, gdy jednak weszła do westybulu, poraziła ją wprost elegancja tego miejsca. Oraz obsługi.

Portier pomógł jej wysiąść z auta, boy w liberii zawładnął walizkami, które teraz unosił w kierunku wind. Nie uszło też jej uwagi, z jakim respektem obsługa odnosi się do Eryka. Natomiast na widok urządzenia foyer zaparło jej dech w piersiach.

Przy recepcji pani Lindgren unosiła w górę klucze do pokoi.

— Witamy, szefie!

— Dziękuję! — Eryk odebrał klucze. — Wstawiono świeże kwiaty?

— Osobiście się tym zajęłam, szefie — odrzekła sekretarka.

— Bardzo dobrze — pochwalił ją Eryk. — Panie pozwolą za mną — dodał, odwracając się do Ingi i Sary.

Inga pokpiwała z zachwyków Sary. Poszła do wind, tymczasem córka swobodnie uwiesiła się ramienia Eryka.

— Słuchaj, tu jest odlotowo! Nie wiedziałam, że twój hotel to takie luksusowe чудо!

Roześmiał się i przyjrzał jej ślicznej twarzyczce. Była tutaj. U jego boku, jak to sobie wymarzył. Przez ułamek chwili Eryk Wylander był po prostu bezbrzeżnie szczęśliwy.

Najpierw oboje z Ingą odprowadzili Sarę do pokoju, gdzie boy już dostarczył bagaż.

Potem Eryk odstawił Ingę do jej pokoju.

Najchętniej pożegnałby się z nią przed drzwiami, wiedział jednak, że to niemożliwe. Oczekiwała, że się nią zajmie i w gruncie rzeczy miała do tego prawo.

Na stole leżał program kongresu. Eryk przejrzał go, a potem przeczytał na głos:

— O osiemnastej trzydzieści koktajl powitalny...

— Nieobowiązkowy! — stwierdziła Inga z łazienki, gdzie puściła wodę do wanny i zaczęła się rozbierać.

— O dwudziestej kolacja... — czytał dalej Eryk.

Weszła do pokoju i zapaliła papierosa. Miała na sobie tylko czarną jedwabną koszulkę. Wypuścił z rąk program.

— W każdej chwili może tu wejść Sara — zauważył ostro.

— I tak mam już dość tej zabawy w chowanego. — Pocałowała go. — Nie myślisz chyba, że zostanę w hotelu? Zamieszkać z tobą. Chciałabym znowu odwiedzić domek myśliwski. Urwijmy się stąd, Eryku! Pojedźmy na Oestrot!

Wstał. Uwodzicielska poza Ingi wcale go nie rozpałała. Nie czuł do niej już nic — poza litością. Śmiercionośne uczucie, zważywszy, że kiedyś byli parą kochanków.

— Wszystko po kolei — rzekł. — Najpierw z łaski swojej kongres...

— Zrealizuję skrócony program — roześmiała się. — A będzie to tak: koktajl powitalny, kolacja, a jutro koniec, kropka i amen. Ty, kochanie, zajmiesz się dziś wieczorem Sarą. Idź z nią na kolację, pokaż jej kawałek miasta... — Wciąż roześmiana pocałowała go w policzek. — Ale uważaj! To wymagająca dziewczyna, więc się postaraj!

W swoim pokoju Sara rozpakowywała walizkę. Wieszła właśnie sukienki w szafie, gdy na korytarzu usłyszała szmery. Cicho podeszła do drzwi i otworzyła je raptem na oścież. Hol był pusty, pomijając kelnera pchającego wózek z zastawą.

Przywidziało mi się, pomyślała, i już miała zamknąć drzwi, gdy z położonego trochę dalej po drugiej stronie pokoju matki wyszedł Eryk. Nic dostrzegł jej, dziewczyna czym prędzej się cofnęła i ukryła w szafie przy drzwiach, które pozostawiła lekko uchylone.

Zaraz potem zapukał, zauważył, że drzwi są tylko przymknięte, i delikatnie je otworzył. Wchodząc, rozglądał się wokół w poszukiwaniu Sary. Tymczasem ona wyszła z ukrycia i po chwili znalazła się w jego ramionach.

— Nareszcie! — westchnął, przytulając ją i całując. — Ledwo wytrzymałem.

Ja też, przemknęło jej przez myśl, ja leż...

A potem było jak w zajeździe na przełęczu, gdzie się po raz pierwszy kochali. Padli na łóżko, całowali się, pieścili, drżeli z pragnienia, pozbywając się ubrań, by jak najszybciej poczuć dotyk nagiej skóry. Wtulali się w siebie, badali nawzajem dłońmi i wargami, a gdy się wreszcie połączyli, zdało się im, że utworzyli jedną istotę, unoszoną nieokiełznanym wierzchem pożądania, bliską spłonięcia w żarliwych uściskach.

Był wczesny wieczór, gdy pojawili się w westybulu na dole, lecz na dworze jeszcze nie zapadł zmierzch.

We foyer panował zwykły o tej porze ruch. Gotowi do wyjścia wieczorowo ubrani goście oblegali recepcję lub loko-

wali się w licznych fotelach. Inni dopiero przybywali i załatwiali formalności meldunkowe. Do uszu Sary docierały strzępki zdań w rozlicznych obcych językach.

Miała na sobie krótką, prostą, jasnożółtą wieczorową sukienkę z wielką kokardą przy dekolcie. Eryk założył smoking.

Dobrana para ściągała na siebie spojrzenia wielu osób.

Inga Maienstedt, takie bardzo elegancka w jedwabnej sukni z bolerkiem, uśmiechnęła się do niego, gdy razem z Sarą skierowali się ku grupie uczestników kongresu.

— Awansowałam na panią profesor — szepnęła na ucho córce, wskazując ruchem głowy siwowłosego dżentelmena. — Ten wiekowy Anglik jest zdecydowany nagrać mój wykład na taśmę.

— Ten, który wygląda zupełnie jak męska wersja panny Marple? — zachichotała Sara.

— To jeden z Gloucesterów — wyjaśniła matka z udaną czołobitnością i tym razem Sara otwarcie parsknęła śmiechem.

— Spytaj go więc, ile Białych Dam straszy w jego zamku! — Cmoknęła matkę w policzek i dała się Erykowi poprowadzić do wyjścia.

Przez szklane obrotowe drzwi wjeżdżała akurat *madame* Tirtowa na wózku pchanym przez tego samego młodego tancerza.

— Do tej pory na próbie? — spytał Eryk z odrobiną wyrzutu w głosie.

— Nadliczbówki w szwalni — wyjaśniła lekkim tonem sędziwa dama. Przyjrzała się zaskoczona Sarze. — Dlaczego ukrywał pan przede mną tego anioła?

— Proszę wybaczyć, *madame* — Eryk pochylił się i ucałował jej dłoń. — To Sara, anioł, który dopiero co do mnie przyleciał.

Dziewczyna mimo woli dygnęła, a Tirtowa skwitowała to uśmiechem. Nie ulegało wątpliwości, że poczuła do niej sympatię.

— Wobec tego, Eryku, niech pan na nią uważa! — Wzniosła ostrzegawczo palec ku górze. — Anioły znikają równie nieoczekiwanie, jak się pojawiają.

Tego wieczoru Sztokholm wydał się Sarze najpiękniejszym miastem na świecie. Taksówką pojechali z Erykiem na wyspę, gdzie skupiło się Stare Miasto — Gamla Stan. Zwiedzili je pieszo. Eryk dobrze znał stolicę oraz liczne szczegóły z jej przeszłości. Dziewczyna słuchała go zafascynowana, podziwiając renesansowe i barokowe frontony kamienic, kościoły, pomniki szwedzkich królów i innych wybitnych synów miasta. Trzymając się za ręce spacerowali po wąskich, krętych zaułkach dawnej dzielnicy niemieckich kupców, całowali się czule na jakimś uroczym placu o nazwie, jak wyjaśnił Eryk, Branda Tomten, gdzie wokół olbrzymiego kasztanowca ustawiono drewniane ławeczki.

Na koniec doszli do zamkowego wzgórza z pałacem królewskim, w którym jednak panująca rodzina rezydowała tylko podczas oficjalnych okazji, przedkładając na co dzień Drottningholm.

Włóczyli się po alei ekskluzywnych sklepów, Vasterlangatan, studiując zawartość wystaw i słuchając ulicznych muzykantów.

W którymś momencie, gdy zrobili sobie kolejną przerwę na odpoczynek na parkowej ławce, Eryk zapytał:

— Słuchaj, rozmawiałaś może o nas z rodzicami?

Nie zauważyła niepokoju w jego oczach.

— Jeszcze nie — odrzekła lekko. — To nasza tajemnica. Ty także nie powinieneś nic mówić. Nikomu! Obiecujesz?

— Obiecuję — przyrzekł z ulgą i pocałował ją w czoło.

Zatrzymała się przed fontanną ozdobioną kamienną figurą.

— W samolocie nauczyłam się kilku słów po szwedzku, ale już wszystko zapomniałam.

— Jestem niezłym nauczycielem — roześmiał się.

— W nocy też udzielasz lekcji? — Mrugnęła do niego.

Pocałował ją znowu, tym razem we włosy.

— Nie da rady inaczej, skoro w Szwecji rzadko bywa dzień.

— W takim razie zacznijmy od razu! — Objęła go i przytuliła się mocno.

Taksówką pojechali do mieszkania Eryka. Sara z podziwem oglądała reprezentacyjną starą kamienicę, ale jeszcze

większe zdumienie wzbudził w niej wystrój garsoniery. Eryk rozbudował ją na dwóch piętrach, tak że odnosiło się wrażenie przebywania na admiralskiej korwecie z ubiegłego wieku.

Skopiował dokładnie wnętrze sławnego Nelsonowskiego „Agamemnona”. Taras przerobiono na pokład okrętu. Oba poziomy łączyły wąskie i strome drewniane schodki. Porozwieszano stare lampy naftowe. Oczywiście w mieszkaniu była elektryczność, ale Eryk wolał łagodne światło kaganków lub świec. Na jednym ze stolików umieścił popiersie lorda Nelsona przybrane w prawdziwy admiralski kapelusz z dziewiętnastego wieku.

Wnętrze na równi zdumiało i zafascynowało Sarę. Wydawało się jej, że odkryła jakąś nie znaną dotąd strunę w duszy Eryka: skłonność do romantyzmu i wierność tradycji, połączone z umiłowaniem przygody.

Stanąwszy przed popiersiem Horatia Nelsona, spytała:

— Eryku, czy ta rzeźba stoi krzywo, czy też mamy wysoką falę?

— W moim mieszkaniu jest zawsze dwanaście w skali Beauforta — zaśmiał się cicho.

Z przekrzywioną głową obserwowała admirała.

— Wygląda, jakby cierpiał na chorobę morską.

Eryk zdjął z regału dwa świeczniki i zapalił długie wąskie świece.

— Prawidłowa diagnoza — rzekł. — Nelsona męczyły dwa chroniczne schorzenia. Oba nieuleczalne. Choroba morską i miłość do lady Hamilton.

— Biedaczyna! — westchnęła współczująco Sara, wkładając bez odrobiny szacunku admiralski kapelusz.

Podeszła do stromych schodków wiodących do dolnych partii mieszkania.

— Na kolana! — rozkazała. — Rób, jak mówię! — dorzuciła, widząc, że zwleka.

Usłuchał, śmiejąc się na jej widok w nakryciu głowy do wódcy. Sara jednak zachowała powagę.

Na ścianie przy schodkach wisiał trójzębny mosiężny widelec na długim trzonku, którego przeznaczenia nie potrafiła odgadnąć. Zdjęła go i poleciła:

— Powtarzaj za mną: „Przysięgam nigdy nie ulec morskiej chorobie...”

— Przysięgam nigdy nie ulec morskiej chorobie — rzekł uroczystym tonem.

— „Przysięgam cię nieuleczalnie kochać...”

— Przysięgam cię nieuleczalnie kochać... — powtarzał ze świadomością, że to prawda, że nie wyleczy się z miłości do Sary.

Zamaszystym gestem zdjęła z głowy admirałski kapelusz i włożyła go Erykowi. Potem pacnęła go widelcem w prawe i lewe ramię gestem pasowania na rycerza, a w końcu — szturchnęła zębami w brzuch.

Roześmieli się oboje. Kapelusz spadł na ziemię; Eryk pochylił się nad dziewczyną, by ją pocałować. Jej wargi były miękkie i spragnione. Objęła go z całej siły, gdy ją układał na podłodze.

Nieuleczalnie... — pomyślał jak przez mgłę, tuląc do siebie Sarę.

Kochali się gwałtownie, jakby to był ich ostatni raz, niemal do bólu. Ból jednak wnet zamienił się w rozkosz, a ogień, który rozpalił w niej Eryk, był tak cudowny, że nie miała wątpliwości, iż zawsze będzie chciała w nim płonąć.

Mniej więcej w tym samym czasie Konrad Maienstedt rozgrywał ze szwagierką partię szachów w salonie swojej willi.

Peregrina od początku miała zamiar spędzić nad Ammersee dwa dni. Podróż Ingi i Sary do Sztokholmu nie wpłynęła na zmianę planów. Następnego dnia rano wróci do Marienbergu.

Paliała się tylko jedna stojąca lampa. Dawała jednak wystarczającą ilość światła, aby zakonnica rozpoznała w zamyślonym wyrazie twarzy Konrada niepewność i niepokój.

W końcu wykonał ruch wieży.

— Szach!

Peregrina potrząsnęła głową.

— Nie koncentrujesz się na grze, Konradzie — oskarżyła go przyjacielskim tonem i zaatakowała jego królową skoczkiem. — Broń się! Masz jeszcze szansę uratować królową.

Nie odpowiedział. Ze stojącej obok butelki nalał do kieliszka koniaku.

— Nalej i mnie — poprosiła Peregrina.

Spojrzał na nią zdumiony.

— Czyżbyś założył, że kto jak kto, ale ja nie mam żadnych nałogów? — Roześmiała się.

Upiła łyk podanego trunku.

— Czasami wcale nie to jest najważniejsze.

Na kilka chwil zapadła cisza. Konrad patrzył niewidzącym wzrokiem na szachownicę.

— Jak sądzisz, czy Inga wróci ze Sztokholmu? — Spytał rwącym się głosem. — Tylko mnie nie oszczędzaj!

— Wróci — odparła z przekonaniem.

I wszystko zacznie się na nowo, dokończyła w głębi ducha. Wsparł głowę na rękach.

— Nie jestem pewien, czy ją jeszcze Kocham. Natomiast na pewno nie chcę jej zranić. — Rzucił szwagierce smutne spojrzenie. — Inga i ja... Cóż, nasz związek w gruncie rzeczy dawno się zakończył. Nie zostawiłem jej tylko dlatego, że mnie potrzebuje, choć sama o tym nie wie.

— Uważasz, że jest chora?

Przytaknął bez słowa i wypił do dna.

Obserwowała go ze współczuciem. „Na pewno nie chcę jej zranić”, powiedział ten do szpiku kości dobry i przyzwyczajony, naprawdę godny miłości człowiek. Czy Inga kiedykolwiek zważała na to, by komuś nie uczynić krzywdy?

Oczywiście mieć do niej o to pretensję to niezbyt chrześcijańskie uczucie, a już zwłaszcza u zakonnic. Jednak wybaczenie wszystkim wszystkiego sprawiało Peregrinie niekiedy trudności.

Wykazywała tolerancję, gdy jakiś drobny grzesznik wpadł czasem we wnyki, jakie zastawiło nań życie lub bliźni. Lecz gdy ktoś koncentrował się wyłącznie na własnych problemach i potrzebach, nie cofając się przy ich zaspokajaniu przed raniem innych, wówczas daleka była od łagodności.

Inga z pewnością ma rozchwianą psychikę, może nawet jest chora. Ale co to za usprawiedliwienie!

W oczach Ingi to inni obchodzą się z nią niesprawiedliwie, dlatego tak trudno z nią wytrzymać. Z Erykiem Wylanderem także nie będzie szczęśliwa, o ile z nim zostanie.

A tutaj pozostawi prawdziwe pobojowisko.

Przypuszczalnie jednak wcale do tego nie dojdzie. Peregrina miała pewność, że Inga wróci. Z przygnębieniem stwierdziła, że to wcale nie rozwiąże sprawy.

Westybul Grand Hotelu „Wylander” świecił pustkami, wyjąwszy młodego recepcjonistę oczekującego na koniec nocnej zmiany, gdy Sara pojawiła się w szklanych drzwiach wejściowych. Przywitała się uprzejmie i wzięła podany klucz, po czym windą wjechała na górę.

Wróciła do hotelu taksówką. Eryk chciał jej towarzyszyć, ale mu to wyperswadowała. Powinien przespać się choć parę godzin. W końcu musi iść do pracy, podczas gdy ona może leniuchować w łóżku, ile chce.

W pokoju, nucąc jakąś melodię, szybko przygotowała się do snu. Zasnęła, zanim jeszcze głowa na dobre opadła na poduszkę. Za zaciągniętymi zasłonami wstawał świt.

Inga Maienstedt spędziła niespokojną noc. Budziła się raz po raz oblana zimnym potem i próbowała dodzwonić do Eryka. Po siódmej rano ponowiła próbę, wybierając numer domowy.

— Eryk? — odezwała się zdenerwowana, gdy zamilkł sygnał.

Nasłuchiwała chwilę, wreszcie rzuciła słuchawkę na widełki.

— Psiakrew! Znowu ta sekretarka... — mruknęła, zapalając papierosa. — To nie do zniesienia. Gdzie on się podziewa?

Ponownie podniosła słuchawkę i wystukała numer. Tym razem zostawiła wiadomość.

— Tu mówi duch Ingi... SOS do ducha Eryka. Próbuję cię złapać od północy. W biurze cię nie ma, w domu też...

Ostatnie słowa dotarły do Eryka, który wyszedł właśnie z łazienki z jeszcze wilgotnymi włosami, owinięty we frotowy ręcznik wokół bioder.

— Mam wobec tego lepszy pomysł — ciągnęła Inga. — Biorę taksówkę i jadę na Oestrot. Pospiesz się, jeśli jeszcze jesteś w mieście. U mnie jest teraz siódma siedemnaście. Wyjeżdżam w tej chwili.

Rozłączyła się.

Eryk zbladł. Cholera jasna, pomyślał, zastanawiając się, czy nie zadzwonić do hotelu i nie wyperswadować Indze tej eskapady. Potem jednak doszedł do wniosku, że ta zabawa w chowanego wreszcie musi się skończyć. Porozmawia z nią na Oestrot.

Z prędkością światła zaczął się ubierać.

Tymczasem Sarę obudziło głośne pukanie do drzwi. Rozpoznała głos matki:

— Saro, to ja! Otwórz!

Boso przemknęła do drzwi i odblokowała zamek. Na korytarzu stała Inga, gotowa do wyjścia, w szykownym sportowym zestawie złożonym z sukienki i dobranego płaszcza.

— Przepraszam, że cię obudziłam — zatrzymała się w przedpokoju. — Jadę jednak na tę wycieczkę dla pań. A ty? Jakie masz plany?

— Idę do muzeum Wazów — ziewnęła w odpowiedzi Sara. Matka objęła ją zdawkowo.

— Miło spędziłaś wieczór?

— O, tak — odparła dziewczyna celowo lekkim tonem.

— No to miłego dnia! — Inga pocałowała córkę w policzek. — Do zobaczenia potem.

Pospiesznie wyszła z pokoju, a Sara zamknęła za nią drzwi na klucz. Przeciągnęła się, uśmiechnęła i myślami wróciła do Eryka. To okropne — znowu za nim tęskniła.

Zdecydowanym krokiem podeszła do telefonu. Może jest już w hotelu? Powiedział, że z reguły przychodzi około wpół do ósmej. Odebrała pani Lindgren, sekretarka. Jak wiek-

szość tutejszych urzędników, bardzo dobrze mówiła po niemiecku.

— Sara Maienstedt przy aparacie. Czy mogę z panem Wylanderem?

Przez jej twarz przemknął lekki cień, gdy usłyszała odpowiedź:

— Przykro mi. Pana Wylandera nie ma. Musiał wyjechać...

— Aha — mruknęła rozczarowana. — A dokąd?

Pani Lindgren oczywiście wiedziała, że Sara Maienstedt ma szczególne prawa. Takie rzeczy nie umykają uwagi dobrej sekretarki. Toteż nie widziała powodu, by w tym przypadku przemilczeć cel wyjazdu szefa.

Dziesięć minut wcześniej zadzwonił z informacją, że musi pojechać do domku myśliwskiego i pojawi się w hotelu prawdopodobnie dopiero około południa.

Sara rozjaśniła się, usłyszawszy wyjaśnienia pani Lindgren.

— Na Oestrot... aha. Dziękuję.

Odłożyła słuchawkę i przez kilka chwil wpatrywała się w telefon.

— Oestrot... — powtórzyła i podbiegła do okna, by odsunąć ciężkie story. — To przecież nie na końcu świata.

Z radością stwierdziła, że na dworze świeci słońce i już w drodze do łazienki pozbyła się nocnej koszuli. Eryk się zdziwi, kiedy ją zobaczy w swojej myśliwskiej kryjówce.

Na pewno w recepcji wypożyczą dla niej samochód i objaśnią drogę na Oestrot.

Inga wiedziała, że klucz do domku schowany jest pod obluzowanym kamieniem obok drzwi wejściowych. Dlatego czekała na Eryka już w środku. Usłyszała nadjeżdżający samochód i obserwowała, jak kochanek wysiada na położonym nieco poniżej chatki parkingu.

Nie spodziewała się, że zareaguje tak szybko.

Podeszła do drzwi, gdy tymczasem Eryk pospieszenie pokonywał stromą ścieżkę. Na ostatnich metrach podbiegła i rzuciła się mu na szyję.

— Eryku, nareszcie! Tak bardzo się stęskniłam! Nic wolno ci mnie zostawiać samej na tak długo.

Obsypała jego twarz pocałunkami nie zauważając, że stoi bez ruchu, z opuszczonymi ramionami.

— Musimy się rozmówić — odsunął ją w końcu.

— Nie chcę rozmawiać. — Uśmiechnęła się. — Chcę się z tobą kochać...

Zaciągnął ją do domu i zatrzasnął drzwi.

— Zrobię kawy.

Ciągle nic zwracała uwagi na to, że się zmienił. Spalało ją pragnienie. Nie potrafiła myśleć o niczym innym, jedynie o tym, że bardzo go potrzebuje i że zostanie z nim, jak tego chciał...

Domek myśliwski składał się z jednego dużego pomieszczenia. Pod ścianą naprzeciw drzwi stało szerokie podwójne łóżko, nad nim wisiał utrzymany w jasnych kolorach kilim. Inga rzuciła się na pościel i wyciągnęła ramiona.

— Ileż to czasu minęło, odkąd tu byliśmy — westchnęła. — Chodź...

Wyglądała młodo i uwodzicielsko.

Eryk podniósł ją z łóżka jednym ruchem ręki i posadził gwałtownie na drewnianym krześle przy stole.

— Siadaj... Muszę ci coś powiedzieć.

Położył ręce na oparciu krzesła. Inga odwróciła się do niego. Widziała, jak zaczerpnął tchu.

— Dużo się zastanawiałem... — zaczął.

Przerwała mu wybuchem perlistego śmiechu.

— Jesteś słodki! Teraz, kiedy wszystko zdecydowane, zaczynasz się zastanawiać! — Objęła go za biodra i oparła głowę na piersi. — Eryku, jestem wolna. Zostawiłam Konrada. Na zawsze. — Była święcie przekonana, że ofiarowuje mu wspaniały prezent. W końcu chciał się z nią żenić...

Eryk Wylander poczuł, jak pot występuje mu na czoło.

— Musimy z tym skończyć — wydusił. — To jest...

Znowu się roześmiała i przyciągnęła jego głowę do siebie.

— Cudownie, a więc zerwijmy kolejny raz. Jesteśmy w tym mistrzami świata.

— Ingo, proszę! — odezwał się błagalnym tonem, próbując uniknąć pocałunków. — To konieczne.

— Masz skrupuły z powodu mojego męża? A może z powodu Sary? Będzie się musiała pogodzić z nową sytuacją.

— Zostaw Sarę w spokoju! — rzucił w napięciu.

Uwolnił się z objęć Ingi i odszedł kilka kroków dalej.

— Zawsze przepowiadałaś, że tak się stanie... Jest inna kobieta.

Oczekiwał łez, wybuchu wściekłości, może nawet zupełnego załamania. Natomiast Inga ciągle jeszcze się śmiała, jakby niczego nie pojęła.

— Inna? — powtórzyła.

Zabrzmiało to tak zdawkowo, jakby rozmawiali o rozpadającym się związku jakichś obcych osób.

— Od dawna? — spytała tonem luźnej rozmowy na przyjęciu.

Eryk podniósł płaszcz, który zaraz po przyjeździe rzuciła na stół.

— Zawiozę cię do miasta. Porozmawiamy po drodze.

Chciał jej podać okrycie, ale go nie przyjęła. Zamiast tego chwyciła go za rękę i wtuliła w nią policzek.

— Nie tak... nie w rozmowie — szepnęła.

Głos jej się łamał. Stopniowo docierał do niej sens słów Eryka. Jednakże wciąż jeszcze się uśmiechała. Miękkim ruchem obróciła się w stronę łóżka. Sukienka miała z przodu rząd guzików, rozbieganymi palcami zaczęła je rozpinąć.

— Opowiedz mi o tej nowej... Pokaż, jak z nią sypiasz — powiedziała tym samym szklanym, nierzeczywistym głosem. — Podziel się ze mną swoim szczęściem...

To było gorsze, niż gdyby mu urządziła scenę.

Eryk chwycił ją za ramiona, próbował odciągnąć od łóżka, ona tymczasem dysząc wczepiała się w niego.

— Koniec z tym! Dość. Skończyło się. Musisz to pojąć.

W tym momencie na dole na podjeździe rozległo się głośne, długie trąbienie klaksonu. Przez okno dostrzegł zatrzymujące się czerwone auto i serce mu prawie przestało bić z przerażenia, gdy wysiadła z niego Sara.

Zupełnie jak w sennym koszmarze. Wiedział, że musi coś zrobić, żeby zapobiec spotkaniu matki i córki, ale co? Stał jak sparaliżowany, podczas gdy dziewczyna pokonywała ścieżkę do domku. Zatrzymywała się kilkakrotnie, rozglądała, upajała się rozległością widoku i osamotnionym położeniem chatki między lasem i wodą.

Dotarła prawie do schodków wiodących do wejścia, gdy Eryk odzyskał panowanie nad sobą. Podbiegł na jej spotkanie, dostrzegł powitalny uśmiech i rozpostarte ramiona.

— Eryku! Jak tu pięknie!

Otoczył ją ramieniem.

— Saro, muszę ci coś wytłumaczyć. Ja...

W tej samej chwili w drzwiach ukazała się Inga w rozpiętej sukience. Białe koronkowe body migotało w słońcu. Włosy sływały nieuporządkowaną falą.

Na widok matki dziewczyna zbladła i znieruchomiała. Eryk dostrzegł, że w jej oczach pojawia się najpierw zrozumienie, potem przerażenie, by na koniec ustąpić tak przeraźliwemu, że aż fizycznie wyczuwalnemu bólowi.

— Mamo! — krzyknęła wreszcie.

Inga postąpiła jeszcze krok, nie zadając sobie nawet trudu, by zapiąć sukienkę.

— Czego tu szukasz, Saro? — zapytała gniewnie.

— A, już wiem, szpiegujesz mnie! Własną matkę!

Była teraz spokojna, niemal pewna zwycięstwa. Odrzuciła głowę w tył.

— I tak musiałaś się kiedyś o tym dowiedzieć, więc dlaczego nie teraz? Rozstałam się z twoim ojcem. Z powodu Eryka. Pobieramy się.

— Milcz! — krzyknął, obejmując dziewczynę za ramiona.

— Saro, posłuchaj mnie, proszę...

W oczach miała ciągle ten nienazwany ból. Gwałtownym ruchem odepchnęła ręce Eryka i pobiegła z powrotem do samochodu.

— Saro! Poczekaj! Saro... proszę! — Eryk rzucił się za nią.

Była szybsza. Wskoczyła do auta i uruchomiła silnik. Próbował ją zatrzymać.

— Saro! Proszę!

Chciał otworzyć drzwi od strony pasażera, wskoczyć za nią, ale dziewczyna wykręciła tak ostro, że o mały włos by go przejechała.

W następnej chwili czerwony samochód zniknął za zakretem.

Inga wciąż stała na schodach.

— Zostaw ją — powiedziała ze śmiechem na widok Eryka. — Teraz liczymy się tylko my. Nareszcie wszystko jasne, kochany. Możemy się pobrać.

Chwycił ją za ramię i wciągnął do środka.

— Przestań! Nic widzisz, co zrobiłaś? Siadaj!

Gdy nie zareagowała natychmiast, cisnął ją brutalnie na krzesło pod ścianą.

— Sara nie przyjechała tu szpiegować. Myślała, że jestem sam. To właśnie chciałem ci cały czas powiedzieć. Sara i ja... kochamy się, Ingo.

Dopiero teraz zniknął z jej twarzy uśmiech zadowolenia. Zbladła, rysy zastygły w kamienną maskę.

— Sara i ty... — wykrztusiła po chwili milczenia.

Odwróciła głowę i zakryła oczy dłońmi.

— Tak, to Sara — wyznał Eryk. — Kocham ją.

Drzwi wejściowe stały ciągle otworem. Wyszedł na zewnątrz, bo zdawało mu się, że w chatce brakuje powietrza.

Inga opuściła ręce i wpatrywała się w jego plecy. Eryk i Sara, pomyślała tępo. Sara i Eryk... Imiona dudniły jej w głowie. Moja córka z moim kochankiem... Nic, nie wytrzymam tego. To nie do zniesienia...

Dudnienie narastało. Inga miała wrażenie, że zaraz rozszadzi jej głowę. Złapała się oburącz za włosy i przycisnęła je do skroni.

Wzrokiem błędziła bez celu po izbie i tak na ścianie za swoim krzesłem odkryła strzelby.

Przestała myśleć. Działała instynktownie, jak gdyby jedynie to, co musiała uczynić, mogło ją uwolnić od cierpienia.

Zerwała ze ściany broń i odwiodła kurek.

— Eryku! — zawołała ostro.

Odwrócił się do niej i w tej samej chwili oddała jeden po drugim dwa strzały. Kule trafiły w pierś. Z głuchym łoskotem padł na ziemię.

Sara jechała jak w transie. Nie płakała. Zmieniała biegi, hamowała, dodawała gazu — jak automat. Dopiero gdy na autostradzie w kierunku Sztokholmu dostrzegła znak skrzyżowania na lotnisko, opuściło ją dotychczasowe otępienie. Muszę się tam dostać, pomyślała. Za nic nie wrócę do hotelu... Nie mogę spotkać Eryka — i matki. Włączyła kierunkowskaz i zjechała z autostrady.

Trzy kwadransy później dotarła na Arlandę. Wynajęty samochód po prostu zostawiła na parkingu. Zabrała z fotela pasażera torebkę i na czarną sukienkę do kolan zarzuciła zabrane ze sobą jasny blezer. W hali odlotów znalazła wolną budkę telefoniczną. Wrzuciła kilka monet i wystukała numer do domu. Po chwili odebrał ojciec.

Na dźwięk jego głosu po raz pierwszy pojawiły się w jej oczach łzy. Nie odezwała się ani słowem. Nie może mu przecież powiedzieć, co się wydarzyło. Nikomu nie może. To zbyt straszne.

Przerwała połączenie.

Podeszła do tablicy odlotów i poszukała najbliższego samolotu do Monachium. Na pytanie o bilet dziewczyna w okienku przewertowała listy pasażerów i z żalem pokręciła głową.

— Na dzisiaj wszystkie loty do Monachium mają komplet. Przykro mi — powiedziała szwedzko brzmiącą angielszczyzną.

Sara odeszła od okienka bez słowa. Siadła na jednej z wyściełanych kanapek w olbrzymiej sali i odchyliła głowę na obciążone szarym materiałem oparcie. Nareszcie mogła płakać.

Chciała z tym walczyć, ale nie udało się. Cała jej niedola, nieznośnie upokarzające uczucie, że była dla Eryka tylko małym przerywnikiem dla rozrywki, żal za pierwszą, wielką,

tak podle wykorzystaną miłością — wszystko to wylało się z niej w potoku niepowstrzymanych łez.

Kiedy pod domek myśliwski podjechała karetka pogotowia, Eryk żył jeszcze. Lekarz podłączył kroplówkę stabilizującą krążenie i kazał sanitariuszowi podać nieprzytomnemu maskę tlenową. Potem umieszczono go ostrożnie na noszach i zniesiono do ambulansu. Inga poszła za nim, nie spuszczać zeń oka.

Obok karetki zatrzymał się właśnie z piskiem opon samochód Svena Rasmussena. Inga powiadomiła go telefonicznie po wezwaniu pogotowia.

Rasmussen wysiadł i natychmiast podbiegł do lekarza.

— Co z nim? Przeżyje?

Młody człowiek wzruszył ramionami.

— Jest bardzo ciężko ranny — powiedział z powątpiewaniem. — Trzeba go jak najszybciej operować. Wtedy będzie coś wiadomo.

Sven spojrzał na ziemistą twarz przyjaciela, starając się bezskutecznie odegnać ogarniający go strach.

— Dobrze, że mnie pani zawiadomiła — zwrócił się do Ingi.

— Nie wolno mu umrzeć! — wydusiła drżącym głosem i rzuciła mu się ze szlochom na szyję.

Rasmussen przytrzymał ją przez moment. Gdy sanitariusze wsunęli nosze do karetki, szarpnęła się w tamtym kierunku.

— Chcę z nim jechać...

Sven powstrzymał Inge.

— Pojedzie pani ze mną — powiedział tak zdecydowanym tonem, że nie odważyła się zaprotestować.

Karetka ruszyła. Kierowca włączył oba sygnały, świetlny i dźwiękowy. Tuż za nią wystartował samochód Rasmussena. Inga wciąż zalewała się łzami i nerwowo przeszukiwała torebkę.

— Mogę zapalić? — spytała, gdy w końcu znalazła paczkę papierosów.

— Oczywiście — odparł.

Odczekał, aż zapali i kilka razy się zaciagnie.

— Jak to się stało? — zagadnął.

Inga milczała przez kilka sekund.

— Chciał mi pokazać, jak się obchodzić ze strzelbą — wyjaśniła niezdecydowanie i zamilkła.

— Pani nic poluje? — indagował ją dalej.

— Nie — prawie histerycznie potrząsnęła głową. — Po raz pierwszy miałam coś takiego w ręku. Nie wiedziałam, że jest naładowana.

Na próżno czekała na komentarz. Milczał ze wzrokiem utkwionym w drogę. Spojrzała na niego spod oka.

— Pan mi nie wierzy? — Głosej drżał.

Zacisnął wargi w wąską kreskę.

— Nieważne, czy wierzę. Chodzi wyłącznie o to, żeby Eryk nie umarł.

4

Sara wiedziała, że musi coś zrobić. Kupić bilet — jeśli nie na dziś, to na jutro. Może są jeszcze inne loty do Niemiec, na przykład do Frankfurtu, skąd mogłaby dalej polecieć do Monachium.

Jednakże nie ruszała się z szarej wyściełanej kanapki w hali odlotów, niezdolna podjąć jakkolwiek decyzję. W dalszym ciągu płakała, tyle że łzy nie przynosiły ulgi, a raczej wszystko jeszcze pogarszały. To tak strasznie bolało...

Przez jedną przelotną chwilę mignęła jej myśl, by mimo wszystko wrócić do hotelu po bagaż, gdzie przecież miała powrotny bilet.

Łzy popłynęły gęściej. Nie, pomyślała, tylko nie do hotelu. Zapewne jest tam Eryk z matką, a ich nie chcę oglądać. Nie chcę widzieć nikogo z hotelu. Każdy tam przecież wie, że Eryk i matka...

Zagryzła wargi i wcisnęła zapłakaną twarz w oparcie kanapki.

W tym momencie wjechała do hali *madame* Tirtowa, jak zwykle elegancka w czarno-białej sukni i starannym makijażu. Inwalidzki wózek popychał ten sam jasnowłosy młodzieniec, który przed dwoma dniami tańczył premierę „Ognistego ptaka”. Przedstawienie okazało się oszaiamiającym sukcesem, zakończonym owacją na stojąco dla tancerzy, solistów, orkiestry, choreografa, a także dla scenografii Tirtowej. Popremierowe przyjęcie odbyło się w hotelu „Wylander”.

Odpoczęła jeszcze jeden dzień po tygodniach wyczerpujących prób i dziś właśnie postanowiła wracać do Wenecji, do swojego starego *palazzo*.

Za wózkiem Tirtowej podążał przedstawiciel personelu naziemnego lotniska z platformą wypełnioną stertą skórzanymi waliz.

Wiekowa dama jak zazwyczaj rozglądała się z żywym zainteresowaniem po spieszących wokół podróżnych i tak odkryła młodą kobietę w czarnej sukience i jasnym blezerze.

Jakby czując na sobie jej wzrok, Sara uniosła powieki.

— *Madame* Tirtowa... — Zerwała się z kanapki i wykrzywiła usta w nieudanej próbie uśmiechu.

— Przecież to... Sara, prawda? Tak ma pani na imię? Eryk Wylander przedstawił mi panią w Grand Hotelu.

Zauważyła oczywiście, że dziewczyna płakała.

— Co się stało? — indagowała zdecydowanie. — Wygląda pani, jakby ją gonił sam diabeł. Zresztą przyjechała pani zaledwie wczoraj i dzisiaj już wyjeżdża?

— Muszę. I to szybko... — wyznała Sara, znowu walcząc ze łzami.

— Co pani jest? — starsza pani wychyliła się do przodu. Zamiast odpowiedzi Sara chwyciła torebkę.

— Muszę już iść. Jeszcze nie mam biletu. Pani wybaczy...

Sprawiła wrażenie tak zszokowanej, że Tirtowa za nic w świecie nie zostawiłaby jej teraz samej.

— Chwileczkę. — Wyciągnęła rękę w stronę dziewczyny.

— Nie widzi pani, że jej potrzebuję?

Sara zatrzymała się niezdecydowana.

— Mój samolot stoi przy wyjściu numer dziewięć — dodała artystka.

Podeszła umundurowana hostessa.

— Pani bilety, *madame* Tirtowa — uśmiechnęła się grzecznie. — Jak zwykle trzy.

— Dzięki, moja droga — odpowiedziała, biorąc kartoniki z uśmiechem i godnością wielkiej damy. Potem zaś wyciągnęła upięścienioną dłoń w kierunku Sary, jakby oczekując jej pomocy w dostaniu się do samolotu. Dziewczyna automatycznie ujęła smukłe palce.

Hostessa zwróciła się do kolegi przy wózku bagażowym:

— Idziesz?

Miody człowiek kiwnął głową i podążył ku rękawowi, gdzie stał już gotowy do startu samolot SAS-u do Włoch.

— Dokąd pani właściwie leci? — spytała Sara.

— Do domu, oczywiście — roześmiała się zapytana.

— Do Wenecji. Byłaś tam kiedyś?

— Nie, nigdy. — Sara pokręciła głową.

— Pokochasz to miasto.

Tirtowa podjęła już decyzję, równie spontanicznie, jak czyniła wszystko w życiu. Nie zostawi tutaj tej uroczej i najwyraźniej śmiertelnie zasmuconej istoty samej. Dziewczynie potrzebna jest pomoc, wobec tego ją otrzyma.

— Nie rozumiesz? — odparła na zdziwione spojrzenie Sary. — Polecisz ze mną.

— Do Wenecji? — Znowu pokręciła z niedowierzaniem głową. — Przecież nie mam biletu.

— Ale ja mam — rzuciła wesoło *madame* i z miną pokrzyżsty wyciągnęła ku niej plik biletów, po czym wielkopańskim gestem podała jeden.

Sara przyglądała się mu ze zdumieniem. Po raz pierwszy pojawił się na jej zapłakanej twarzy cień uśmiechu.

— Potrafi pani czarować?!

— Czasami — stwierdziła Tirtowa. — To u nas rodzinne. Zawsze zamawiam trzy bilety na samolot: jeden dla siebie, drugi na podręczny bagaż, a trzeci dla panny Traf. — Wskażała na torebkę Sary. — Twój paszport.

Dziewczyna otworzyła torbę. Nagle wszystko wydało się jej proste i naturalne. Poleci z Tirtowa do Wenecji. Tak będzie lepiej, dużo lepiej, niż gdyby wróciła do domu. Ojciec zadawałby pytania, na które nie umiałyby odpowiedzieć. Chciałby się pewnie dowiedzieć, do czego, u Boga Ojca, doszło w Sztokholmie, że przyjechała tak na łeb, na szyję. I co by mu wtedy powiedziała? „Zakochałam się w Eryku Wylanderze. Oczywiście zorientował się i to wykorzystał. Nie wiedziałam, że jest związany z matką. Byłam głupia i zbyt ufna, rozumiesz, tatusiu? Spałam z mężczyzną, który się chce żenić z moją matką. Dlaczego się nie śmiesz? Przecież to do-

prawdy czysta gToteska! Śmiechu warte! Niczego nie podejrzewająca gaska Sara i Eryk Wylander, któremu udało się zaciągnąć do tóżka matkę i córkę."

Nie, przecież nie mogłaby przekazać ojcu takiej prawdy. Kochał ją, to zaś, co jej uczynił Eryk, byłoby dla niego jak strzał prosto w serce.

Może kiedyś, później, kiedy się uspokoi i zdobędzie konieczny dystans, zdoła wytłumaczyć ojcu, że nie chciała mieć nic wspólnego z Erykiem, ponieważ zniszczył małżeństwo jej rodziców. Dlatego poleciała z *madame* Tirtową do Wenecji.

Znalazła paszport i podała go starej damie. Uśmiechnęły się do siebie.

Wenecja... Zabrzmiało to jak zakłęcie. Tirtowa naprawdę była wróżką. Dobrą i mądrą, która ją, Sarę, wzięła za rękę, a teraz zaprowadzi do swego królestwa. Może jest tam tak, jak opowiadają w bajkach? Że nikt nie ma trosk, a wszystkie rany, zadane sobie nawzajem przez ludzi, zablizniają się...

Tirtowa z dłonią Sary w swojej ręce udała się do samolotu.

Do Wenecji dotarły po południu. Już w samolocie zachwyił Sarę rozległy widok czarodziejskiego miasta w lagunie, piętrzącego się bryłami pałaców, poprzecinanego nitkami kanałów i usianego wieżami kościołów. Opromieniało je tak typowe dla Wenecji pastelowe światło, które nawet najsmutniejszym z łuszczących się fasad nadawało pozór piękna oraz zamieniało wspaniałe *palazzi* i katedry w prawdziwe cuda architektury i fajerwerki barw.

Na lotnisku Marco Polo oczekiwał na *madame* Tirtową siwowłosy dżentelmen w białej liberii i granatowej czapce pseudoszofera. Nie sprawiał wrażenia służącego, przypominał raczej wysublimowanego uczonego amatora lub kolekcjonera sztuki. Zajął się licznym bagażem damy, podczas gdy Sara pchała wózek inwalidzki.

Na nabrzeżu przy lotnisku czekała już motorówka. Podobnie jak weneckie gondole była czarna, miała jednak białą nadbudówkę i wygodne siedzenia.

Podczas jazdy Tirtowa obserwowała Sarę. Po raz pierwszy od spotkania na sztokholmskiej Arlandzie twarz dziewczyny nieco się rozpogodziła, a jasne spojrzenie, jakim wchłaniała okazałe dekoracje po obu stronach Canale Grandę, wyrażało podziw dziecka przeniesionego w baśniowy świat.

Bo też był to isticie baśniowy świat. Sama Tirtowa odnosiła to wrażenie za każdym razem, gdy wracała do „Serenissimy”, jak weneccjanie ze czcią nazywają swoje miasto.

Miękkie, rozmyte oświetlenie powodowało, że frontony gotyckich i renesansowych budynków emanowały niezwykłym czarem. Historia stuleci nabierała życia, jakby była radosną, opromienioną słońcem teraźniejszością. Przed oczami Sary przesuwały się gondole i *vaporetti*, kolorowa mozaika marmurów na Palazzo Dario, kopuły i wieże licznych kościołów, filigranowa, zgoła nieważka architektura Palazzo Bernardo oraz Ca' d'Oro, którego niegdyś złota fasada wprawdzie z upływem wieków spełzła, ale wciąż jaśniał niezniszczalnym pięknem białego marmuru. Co jakiś czas na bogato zdobionych portalach wejściowych pojawiał się uskrzydłony lew świętego Marka, symbol Wenecji, wykuty w kamieniu w formie rzeźby lub reliefu i często połączany.

Motorówka przepłynęła pod mostem Rialto i skierowała się w głąb węższego kanału. Sara odwróciła się ku starszej damie i dostrzegła, że ta wyjmuje z torebki złote pudełeczko i szybko rozgryza dwie tabletki.

— Nie czuje się pani dobrze? — spytała zatroskana.

Tirtowa zdobyła się na lekki grymas i wzięła jeszcze jedną tabletkę.

Starszy pan w liberii, który do tej pory stał obok sternika na dziobie, natychmiast zbliżył się z nalaną z płaskiej pierśiówki szklanką wody. Podziękowawszy, *madame* zwróciła się do Sary:

— Widzisz, moje serce było zawsze mocne jak okrętowy silnik, a teraz pozostał z niego jedynie wrak... Lekarze chcą go od dawna remontować, lecz ja się nie zgadzam. Co za problem, jeśli pewnego dnia stanie... — Odchyliła się na oparcie i uśmiechnęła do dziewczyny. — Życzyłabym sobie tylko, żeby stanęło z radości. Wskazała pałac z przepięknymi ka-

miennymi renesansowymi tukami wieńczącymi wysokie okna.
— Tu mieszkam.

Odczekała, aż łódź dopłynie do brzegu, i wstała. Zdumiona Sara była świadkiem, jak schodzi z gracją na ląd i bez pomocy wspina się na wejściowe schody.

— *Madame* Tirtowa... — zawołała.

— Słucham? — Wiekowa dama z uśmiechem zadowolenia odwróciła ku niej głowę.

— A gdzie wózek?

Tirtowa wymieniła z siwowłosym starszym panem porozumiewawcze spojrzenie. Oboje mieli miny przyłapanych na psocie dzieciaków.

— Wózek? — powtórzyła, przeciągając sylaby.

Podniosła nogawki czarnych jedwabnych spodni, ukazując smukłe nogi w eleganckich czółenkach.

— Moje nogi są bez zarzutu. Zawsze były we mnie najlepsze.

— Ależ... — zaczęta dziewczyna.

Tirtowa ze śmiechem wprowadziła ją do domu.

— W moim wieku najlepiej podróżować na wózku inwalidzkim, inaczej można wrócić do domu jako kaleka.

— A ja myślałam... — wybąkała skonfundowana Sara.

— *Madame* jest wyśmienitą aktorką — wtrącił siwowłosy towarzysz.

Tirtowa podeszła bliżej i wspięła się na palce, by zdjąć mu z głowy czapkę.

— Nic dziwnego, przy takim partnerze! — rzekła z czułością i gestem przywołała Sarę. — Pozwól, że ci przedstawię Jules'a Dussere'a, mojego notariusza i najlepszego przyjaciela. Od czasu do czasu na moją prośbę zakłada ten uniform i odgrywa rolę służącego. Jules jest w połowie Francuzem i w potowie Włochem. Odpowiednia mieszanka dla takiej osiadłej na mieliźnie życia starej Rosjanki jak ja.

Wcisnęła mu czapkę do ręki.

— Drogi Jules, zdejmij tę liberię, bo inaczej Sara nam nie uwierzy.

Z uśmiechem pokręcił głową i wyszedł z powrotem na dwór, by przynieść z łodzi bagaż.

Tirtowa spoglądała chwilę za nim, a potem wyciągnęła obie ręce w stronę Sary:

— Witaj u mnie... w domu i w sercu!

Dziewczynie znowu stanęły łzy w oczach.

— Jak mam pani dziękować? — wymamrotała zduszonym głosem.

— Za co? — Tirtowa roześmiała się, nie puszczać dłoni Sary. — Po co komu trzy miejsca w samolocie, jeśli dwa z nich nie są zajęte? Po co się starzeć, jeśli nie można przyjaciółom zaprezentować wnuczki, żeby wszyscy się dowiedzieli, jaką się było dawniej? Ja niegdyś bowiem też miałam tak samo różane usteczka jak ty...

Z tymi słowy pociągnęła Sarę szerokimi, wijącymi się schodami na górne piętro.

W Sztokholmie Eryk Wylander został natychmiast zawieziony do Szpitala Karolińskiego. Młody lekarz pogotowia ratunkowego jeszcze podczas jazdy powiadomił przez radio blok operacyjny, w chwili przybycia więc wszystko czekało przygotowane do natychmiastowego zabiegu.

Inga i Sven Rasmussen podążali za wózkiem z leżącym nieruchomo Erykiem aż do wejścia na blok. Potem za nieprzytomnym zamknęły się automatyczne drzwi.

Sven chwycił Ingę za ramię.

— Odwiozę panią do hotelu — zaproponował.

— Dziękuję, wolę zostać tutaj — odmówiła zdecydowanie.

Nie próbował jej przekonywać. Poza tym sam chciał poczekać na wynik operacji. Zbyt był niespokojny, aby w hotelu zająć się czymś rozsądnym.

Czas zdawał się stać w miejscu. Przed blokiem operacyjnym znajdowała się poczekalnia. Tam usiedli. Inga paliła niemal bez przerwy. Czasami wstawała i jak zwierzę w klatce przemierzała pokój od ściany do ściany. Jej wędrówki denerwowały Svena, ale nic nie mówił. Wyglądała strasznie: rozbiegane oczy, zmięta twarz w plamach...

Prawic ze sobą nie rozmawiali, bo i o czym?

Czy Eryk przeżyje? Czy lekarzom uda się go uratować?
O Boże, musi z tego wyjść! Nie może umrzeć!

Oboje o tym bez przerwy myśleli. Jednak głośno wypowiedziane słowa uczyniłyby oczekiwanie jeszcze gorszym.

Raz przemknęło Rasmussenowi przez myśl, że powinien zawiadomić Carmen, ale z miejsca odsunął to na później. Rozsądek nakazywał, by przekazać informację matce Eryka dopiero wtedy, gdy będzie dokładniej znany jego stan.

Sarze Maienstedt też trzeba powiedzieć. Sven nie wiedział przecież, że była na Oestrot, przypuszczał, że jeszcze nic wyszła z hotelu.

Wieczorem w dniu przyjazdu Eryk przedstawił ją przyjacielowi.

— Oto ona — rzekł wtedy. — To jest Sara...

Tak był przy tym szczęśliwy...

Wreszcie po wielu godzinach oczekiwania wywieziono Eryka z sali operacyjnej do separatki na OIOM-ic i podłączono do różnorodnych monitorów. Jedna pielęgniarka nie opuszczała pokoju, druga pojawiła się nieco później, by sprawdzić poziom kroplówki, którą mu podano.

Inga i Sven widzieli go już przelotnie w korytarzu. A więc żył. Jednakże co do przebiegu operacji żaden z eskortujących pielęgniarzy nie potrafił udzielić wiążących wyjaśnień.

Od tej chwili oboje przenieśli się pod separatkę. Sven odszedł tylko na chwilę, żeby zadzwonić do Carmen Wylander.

W którymś momencie Eryk zaczął się niepokoić. Rzucił głową, próbował coś mówić, ale z ust dobywał mu się tylko bełkot. Pielęgniarka siedząca przy łóżku pochyliła się nad nim.

— Boli? — spytała, biorąc go za rękę. — Czy pan mnie słyszy?

Powieki Eryka nie poruszyły się, dostrzegła natomiast jakby cień uśmiechu na wargach.

— Sara... — wymamrotał. — Sara...

I zapadł na powrót w narkotyczny sen.

Na korytarzu Inga niespokojnie chodziła w tę i z powrotem. Przerwała dopiero na widok siostry wychodzącej od Eryka.

— Jak on się czuje? Przeżyje? — spytała z obawą.

Pielęgniarka wzruszyła ramionami.

— Przykro mi, na to pytanie może pani odpowiedzieć tylko lekarz.

— Niech mnie więc pani do niego zaprowadzi — zażądała Inga z histerią w głosie.

— To niemożliwe.

— Chcę natychmiast mówić z lekarzem!

Inga chwyciła siostrę za ramię. Ta uwolniła się zgoła nieładnym ruchem.

— Jak będzie miał czas. Teraz to niemożliwe. Mamy jeszcze jeden nagły przypadek.

Pospiesznie odeszła i zniknęła za jakimiś drzwiami.

Inga zacisnęła dłonie w pięści.

— Ten cholerny lekarz! Muszę z nim porozmawiać!

Sven Rasmussen, który dotąd stał trochę dalej i wyglądał przez okno, podszedł i narzucił jej płaszcz na ramiona.

— Słyszała pani przecież. Operuje...

Wpatrywała się w niego, a wargi jej drżały jak w febrze. Zauważył, że zaraz dostanie ataku hysterii, toteż starał się ją wyprowadzić na dwór.

— Matka Eryka przylatuje najbliższym samolotem — powiedziała.

W oczach Ingi pojawiła się panika. Złapała Svena za klapy marynarki.

— To nie ja... — krzyknęła, potrząsając nim, jakby postradała zmysły. — To nie ja...

Obróciła się na pięcie i pobiegła do wyjścia.

Telefon ze Sztokholmu zastał Carmen u Konrada. Poszła do sąsiadów, bo trochę się niepokoiła, że Eryk dziś nie dzwonił. Może przynajmniej Sara odezwała się do ojca.

Konrad Maienstedt pakował w salonie część dokumentacji z laboratorium i z biurka do dużej aktówki.

Po wyjeździe Peregriny podjął decyzję: nie będzie czekał na rozwój sytuacji w Sztokholmie. Poleci do Hamburga.

Tracił tu tylko czas na nie kończące się jałowe rozmyślania. W Hamburgu tymczasem czekata na niego praca. I Ellen...

Carmen weszła od strony tarasu.

— Pakuje się pan? Jedzie pan do Hamburga? Myślałam, że dopiero jak wybudują centrum?

— Jest dużo do roboty — odparł niechętnie i zamknął aktówkę. Wziął rzucony na oparcie fotela krawat i zawiązał go sobie na szyi.

— Nowy etap życia — rzuciła Carmen z uśmiechem. — Cieszę się ze względu na pana.

— W każdym razie tutaj usunę się wreszcie z drogi — odparł szorstko i przygryzł wargę.

— Nie to miałam na myśli.

Odwrócił się do niej z uniesionymi brwiami.

— Nie? A ja tak!

Podszedł do biurka i zebrał jeszcze kolejne notatki, które zamierzał wziąć.

— Widzi pani, któreś z nas zawiodło. I to jestem ja.

Carmen chciała zaprzeczyć, ale nie pozwolił. Ze zmarszczonym czołem wpatrywał się w dywan pod stopami.

— Przypuszczalnie jestem niewłaściwym mężem dla niewłaściwej żony. Wysłałam ją do Sztokholmu, a tymczasem chciałem ją zabrać ze sobą do Hamburga. Igram z losem, zamiast po prostu powiedzieć: Zostań ze mną, potrzebuję cię... I do tego wyobrażam sobie, że moja córka może to wszystko uratować. Co za dureń ze mnie!

Wybuch profesora był dla Carmen trochę kłopotliwy. Nie wiedziała, jak ma zareagować. Naturalnie rozumiała go. Niemniej Eryk, choć rozbił małżeństwo Maienstedtów, był jej synem.

— Miał pan jakieś wieści ze Sztokholmu? — spytała w końcu.

Konrad wzruszył ramionami.

— Nie! I wcale ich nie pragnę. Pewnie myślą, że będę je ścigał telefonami. Inga musi sobie poradzić sama.

Gospodyni Wylanderów przerwała rozmowę, pojawiając się na tarasie.

— Pani Wylander, tu pani jest! Szybko, niech pani mi-giem wraca do domu. Pilny telefon ze Szwecji. Ma pani natychmiast oddzwonić!

Carmen skinęła głową i już miała wyjść, gdy wtem się zatrzymała.

— Czy coś przekazać?

Mina profesora stała się jeszcze bardziej surowa.

— Nie! — odparł szorstko. — Nic mnie to wszystko nie obchodzi.

Chciała coś dodać, ale Matylda nalegała:

— Niech pani idzie! To naprawdę pilne!

Konrad odprowadził je wzrokiem, a potem padł wyczerpany na fotel. Kapitan tulił mu się do nóg. Pogłaskał psa.

Carmen Wylander zdążyła na popołudniowy lot. Sven odebrał ją z lotniska i natychmiast zawiózł do szpitala.

Wchodząc na OIOM natknęli się na starszego pana w lekarskim kitlu. Był to profesor Henningsen, który operował Eryka i właśnie sprawdzał stan swego pacjenta.

Carmen podbiegła do niego. W zdenerwowaniu zapomniała się przedstawić, profesor jednak, widząc jej wystraszoną minę, od razu pojął, że ma przed sobą matkę Eryka Wylandera.

— Niech pan od razu powie, co z moim synem? — spytała, łapiąc z trudem powietrze. — Mogę do niego wejść?

Henningsen skinął głową.

— Mało brakowało. Przeklęte polowania. Mój ojciec zginął, polując na łosie.

Poszedł przodem, otworzył drzwi do separatki i ponownie się zatrzymał.

— Co to ja jeszcze chciałem... A! Czy pani Maienstedt jest państwa krewną?

Spojrzenie Carmen nagle stwardniało.

— Nie! Czy ona tak twierdzi?

Profesor nie odpowiedział, tylko pozwolił jej wejść do pokoju.

Eryk miał zamknięte oczy i krople potu na czole, cerę bezkrwistą, policzki zapadnięte.

Monitory i kroplówki, do których go podłączono, przerażyły Carmen. Ani ona, ani Eryk dotychczas poważnie nie chorowali, toteż po raz pierwszy widziała aparaturę ratującą życie. Czuła się wyjątkowo nieswojo.

Z wahaniem podeszła do łóżka, gdy tymczasem Sven Rasmussen pozostał na korytarzu, zaglądając do pokoju przez szybę zasłoniętą dotąd żaluzją, którą profesor dla niego podniósł.

Kiedy Carmen otarła Erykowi pot wyciągniętą z torebki białą koronkową chusteczką, otworzył oczy.

— Poznałem cię po krokach — szepnęła. — Myślałem, że majaczą...

Uradowała się, że odzyskał przytomność. Nie zmieniało to wszakże faktu, że było z nim źle, gorzej niż się spodziewała. Wcisnęła mu chusteczkę do ręki.

— Wrócę wieczorem — obiecała.

Tych słów już nie usłyszał, powieki opadły i znowu zapadł w stan pomiędzy otępieniem a snem, w którym wszystko się oddalało — i ból, i lęk o Sarę...

Profesor Henningsen jeszcze raz sprawdził mu puls i wyszedł za Carmen na korytarz. Sven taktownie przystanął w pewnej odległości.

— Przeżyje? — spytała Carmen wprost, patrząc lekarzowi w oczy.

Nie potrzebowała wybiegów, wołała od razu poznać prawdę, żeby w razie czego z góry się przygotować na najgorsze. Przez całe życie była silna, teraz więc także nie pozwoliła sobie na łzy ani paniczny strach.

Henningsen nie odpowiedział od razu. W skupieniu przypatrywał się najpierw swoim dłoniom, potem podniósł wzrok na Carmen.

— Przykro mi. Jego stan jest... wyjątkowo krytyczny.

Krew odpłynęła jej z twarzy; na ułamek sekundy straciła panowanie nad sobą. Kilka razy głęboko wciągnęła powietrze i odzyskała kontrolę.

— Zrobiliśmy, co w naszej mocy — dodał profesor.

Z kieszeni białego fartucha wyciągnął srebrną papierośnicę, którą Eryk i Sara znaleźli przy zajeździe na przełęczu i z którą Eryk nigdy się odtąd nie rozstawał.

— Kula odbiła się od tej papierośnicy, w przeciwnym razie trafiłaby prosto w serce.

Carmen wzięła z jego rąk etui i obracała chwilę, zdziwiona, w palcach.

— Nigdy jej nie widziałam.

— Dostrzega pani ślad po kuli? — Henningsen wskazał wieczko.

Carmen skinęła głową.

— Gdzie ona jest? Chciałabym ją zachować — dodała w odpowiedzi na pytanie zawarte w spojrzeniu profesora.

Z lekkim wahaniem wyciągnął po chwili z kieszeni fartucha foliową torebkę i podał ją matce Eryka. Wzrok jej stwardniał, gdy jej dotknęła.

— Dwie — stwierdziła przeciągle.

Uświadomiła sobie, co to oznacza, a po wyrazie twarzy lekarza poznała, że on także wie, chociaż zachowuje milczenie.

Przez kilka sekund patrzyli sobie bez słowa w oczy, po czym Carmen wrzuciła papierośnicę oraz woreczek z kulami do torebki i zdecydowanym gestem ją zatrzasnęła.

Chciała się pożegnać, lecz profesor Henningsen powstrzymał ją pytaniem:

— Kim jest Sara? Kiedy tylko odzyskuje świadomość, wypowiada to imię.

Carmen podniosła ramiona w geście namysłu i zdziwienia. Sara nie mogła wiedzieć o wydarzeniach na Oestrot, w przeciwnym razie na pewno byłaby przy Eryku w szpitalu.

— Sara... — powtórzyła zaniepokojona. — Gdzie ona jest?

Sven Rasmussen odwiózł Carmen do hotelu. Inga także się tam znajdowała. Po panicznej ucieczce ze szpitala pojechała do hotelu i wzięła z recepcji klucz do pokoju Sary. Nikogo tam nie było, lecz w szafie wisiały rzeczy córki, a na biurku leżał bilet na samolot.

Przypuszczalnie więc nie wyjechała jeszcze ze Sztokholmu, pomyślała Inga.

Nie mogła się teraz dodatkowo martwić o dziewczynę. Jej uwaga koncentrowała się wyłącznie na Eryku i na tym, czy jej uwierzono w historyjkę o przypadkowo oddanym strzale.

Przede wszystkim jednak musiała się upewnić, czy Eryk wyjdzie z tego z życiem.

Przeszła do siebie i pospiesznie się przebrała. Potem zjechała windą na dół i oddała w recepcji klucze do pokoju Sary i swojego.

— Gdyby się pojawiła moja córka, proszę jej przekazać, że jestem w Szpitalu Karolińskim — poinformowała.

Właśnie miała zejść po wyłożonych chodnikiem schodach do przeszklonego wyjścia, gdy w obrotowych drzwiach pojawiła się Carmen. Prowadził i podtrzymywał ją Sven Rasmussen.

W jednej chwili uwolniła się od jego pomocy i zdecydowanym krokiem skierowała w stronę Ingi.

— Czekaj nas rozmowa — rzuciła ledwie hamując gniew.
— Lepiej, żeby się odbyła w cztery oczy.

Inga skurczyła się ze strachu.

— Nie wiem, o... — zaprzeczyła z lękiem w oczach, chcąc po prostu wyminąć Carmen.

— Pójdiesz ze mną — zarządziła twardym tonem matka Eryka i chwyciła ją za ramię, uniemożliwiając jakikolwiek manewr.

Carmen także miała w hotelu biuro, położone tuż obok gabinetu syna. Podeszła teraz energicznie do interkomu łączącego jej pokój z sekretariatem. Inga została przy drzwiach.

— Pani Lindgren — powiedziała po zgłoszeniu się sekretarki — proszę zarezerwować bilet na najbliższy lot do Monachium dla pani Maienstedt. Obojętnie, nawet przez Timbaktu, byle jeszcze dzisiaj.

Przerwała połączenie i siadła za biurkiem.

Jej lodowata wrogość sprawiła, że Inga straciła opanowanie.

— Jestem niewinna... — przekonywała drżącym głosem, po czym zaczęła płakać.

— Nie wierzę ci za grosz — odparła Carmen, nie spuszczać z niej wzroku.

Inga podeszła chwiejnym krokiem do krzeselka przed biurkiem i w poszukiwaniu podpory objęła jego oparcie obiema rękami.

— Nic nie zrobiłam...

— Chcesz ratować skórę. — Carmen powoli potrząsnęła głową. — Boisz się policji.

— Co ty wiesz o mnie i Eryku... — Inga odwróciła głowę.

W jej głosie pobrzmiwały nienawiść i lęk. Ta kobieta za biurkiem to wróg. Może już od dawna, jedynie dotąd ukrywała się pod maską przyjaźni i wielkoduszności. Na pewno tak jest. W rzeczywistości Carmen Wylander tylko czyhała na okazję, by ją rozdzielić z Erykiem. A teraz okazja się trafiła...

Carmen bez słowa postawiła na blacie białą torebkę i wyjęła z niej zawiniątko z kulami.

— Dwie... — rzekła twardym głosem. — Pierwsza mogła być przypadkowa. A druga?

Inga pochyliła się jak po ciosie i rozpłakała gwałtowniej.

— Byłam w szoku — przekonywała. — Strzelba wypadła mi z rąk. Tak bardzo się przestraszyłam... — Zrobiła kilka niepewnych kroków w stronę matki Eryka. — Carmen, chyba nie myślisz... Przecież nie chciałam... — Przerwała i na próżno walczyła z ogarniającą ją paniką. — Już nic nie rozumiem!

— Zamknij się i słuchaj! — rozkazała Carmen.

Wstała i zmusiła Inge, by patrzyła jej w oczy.

— Niemal zabiłaś człowieka. Mojego syna. Dla policji jest to ciągle tylko wypadek na polowaniu. Nie będzie więc śledztwa ani procesu. Ponieważ Henningsen będzie trzymał język za zębami. I ja też.

Inga chciała coś powiedzieć, lecz Carmen nie dopuściła jej do głosu.

— Milcz! I nie myśl, że robię to dla ciebie! Czynię to w moim interesie. Dla dobra własnego nazwiska. Nie pozwolę, żeby twoje błoto przyłgnęło do mojego dobrego imienia. Dodatkowo chronię nazwisko twojego męża, ponieważ jest to także nazwisko twojej córki. — Zamilkła, po czym spytała: — Co z Sarą? Była przy tym? Gdzie ona jest?

Inga miała trudności z ułożeniem odpowiedzi.

— Sara... była na Oestrot. Tyle że uciekła. Ona...

— Wie, co się stało?

Inga pokręciła głową. Już nie płakała, patrzyła przed siebie pustym, jakby wypalonym spojrzeniem.

W Carmen jej widok budził odrazę.

— Spakujesz się teraz i znikniesz — powiedziała szorstko. — Lot masz zarezerwowany.

Inga podniosła głowę. Nie chciała wyjeżdżać. Chciała zostać przy Eryku. Musiała przecież wiedzieć, jak się czuje...

— Ale... — zaczęła.

— Wynoś się! — Słowa Carmen zabrzmiały jak smagnięcie szpicrutą.

Przez ułamek sekundy zmagaly się wzrokiem, po czym Inga odwróciła się i wyszła, trzaskając drzwiami.

Późnym popołudniem stan Eryka nieco się poprawił. Odzyskał przytomność, co jednak oznaczało, że przypomniał sobie szczegóły wydarzeń na Oestrot. Koniecznie musi porozmawiać z Sarą i wszystko jej wyjaśnić. Może gdy się dowie, że jest w szpitalu, zechce do niego przyjść.

Poprosił pielęgniarkę, żeby zadzwoniła do hotelu. Tam jednak dziewczyny nie było. W domu nad Ammersee także nie, jak wynikało z kolejnego telefonu. Siostra zastała jedynie Vincentę i szybko odłożyła słuchawkę.

— Panny Maienstedt nie ma w domu i nic wiadomo, kiedy wróci.

Eryk przymknął powieki. Gdzie, u Boga Ojca, jest Sara?

To samo pytanie stawiali sobie także Carmen Wylander i Sven Rasmussen. Wybadali już portiera, który zamawiał dla

niej wczesnym rankiem samochód z wypożyczalni. Ten sam, którym pojechała na Oestrot. Od tego momentu jakby zapadła się pod ziemię.

Carmen miała jeszcze nikłą nadzieję, że dziewczyna poleciała do domu z Ingą. Może się gdzieś na siebie natknęły.

Tymczasem także to przypuszczenie okazało się mylne. Szofer odwożący Ingę na lotnisko nie widział Sary. Nie wsiadła także do jej samolotu.

— Jeśli się niedługo nie pojawi, pozostaje nam tylko policja — stwierdził przygnębiony Rasmussen, jadąc z Carmen windą do jej gabinetu.

Potrząsnęła głową.

— Sami musimy ją znaleźć.

Zastanowiła się. Przyszedł jej na myśl Marek Loew. Kochał Sarę. Może w rozpaczliwym odruchu zwróciła się do niego. Carmen połączyła się z pensjonatem. Odebrał sam Marek. Wpadł w popłoch, usłyszawszy, że od rana nic można znaleźć Sary.

— Do mnie się nie zgłaszała — rzekł. — Jak tylko to zrobi, natychmiast panią zawiadomię. I wzajemnie, bardzo proszę, niech mi pani da znać, gdyby się odezwała. Nawet w środku nocy, to nie gra żadnej roli.

Carmen obiecała kontakt i wytracona z równowagi odłożyła słuchawkę. Stopniowo zaczynała się poważnie obawiać o dziewczynę. Musiała być dziś rano w strasznym stanie, zaskoczywszy matkę i Eryka w domku myśliwskim na Oestrot. Pod wpływem impulsu mogła popełnić jakieś głupstwo.

— Obawiam się, że musimy jednak włączyć policję — powiedział Sven.

Carmen bezradnie milczała przez kilka sekund. Potem wszakże podniosła rezolutnie głowę. Istniała jeszcze jedna możliwość. Mianowicie że Sara pojechała na lotnisko, po czym kupiła bilet dokądkolwiek. Na pewno chciała jak najszybciej opuścić Sztokholm.

— Mamy tu przecież na miejscu biuro podróży. Możemy ściągnąć z lotniska listy pasażerów i wtedy dowiemy się, czy odleciała i ewentualnie dokąd.

Rasmussen spojrzął na zegarek.

— Biuro jest o tej porze już nieczynne.

— I pan mi to mówi, Rasmussen? — Zmarszczyła czoło.

— Niech mi pan wezwie kogoś, kto się zna na komputerach. Chcę mieć te listy jeszcze dzisiaj.

Sven skinął głową i wyszedł.

Carmen pojechała raz jeszcze do szpitala. Spędziła u Eryka pół godziny. Wprawdzie zagrożenie życia całkowicie nie minęło, niemniej lekarz wykazywał ostrożny optymizm.

Resztę wieczoru przesiedziała w biurze. Starła się zająć pracą, dawno już bowiem stwierdziła, że to najlepsze lekarstwo na lęki i podszepty wyobraźni.

Pomimo to co jakiś czas jej myśli wracały do Eryka i Sary. Jak powiedzieć synowi, że dziewczyna zniknęła?

Rozległo się krótkie pukanie i do gabinetu wszedł Rasmussen z wyrazem podniecenia na twarzy.

Carmen podniosła ręce obronnym gestem.

— Proszę, żadnych złych wiadomości! Moje zapotrzebowanie na dzisiaj zostało całkowicie zaspokojone!

Surowe rysy twarzy przyjaciela Eryka rozjaśniły się uśmiechem.

— Komputery, jak się okazuje, wiedzą więcej niż ludzie. O dwunastej trzydzieści Sara wyleciała do Wenecji, na bilet pierwotnie zarezerwowany dla Tirtowej.

— To Tirtowa nie wyjechała? — spytała zaskoczona Carmen. Kamień spadł jej z serca. Sara żyła i nareszcie trafili na jej trop.

— Wyjechała — powiedział Sven. — Zarezerwowała na swoje nazwisko trzy bilety. Jeden z nich odstąpiła Sarze.

— A więc Sara jest w Wenecji. — Carmen uśmiechnęła się z ulgą. — Tam się jej nic nie stanie. W takim razie mogę być spokojna.

Rasmussen podszedł do biurka i podał jej karteluszek.

— Adres i telefon *madame* Tirtowej.

— Dzisiaj już do niej nie zadzwonię — zdecydowała, spoglądając na zegarek. — To musi poczekać do jutra.

Sven skinął głową.

— Potrzebuje mnie pani jeszcze? — spytał z szacunkiem.

— Nie, dziękuję.

Już przy drzwiach zatrzymała go jednak.

— Sven, chyba muszę się wygadać. Niech nam pan naleje koniaku.

Skwapliwie wyjął z barku ukrytego w regale butelkę i dwa kieliszki, nalał do pełna i przyniósł na biurko. Carmen od razu upiła łyk.

— Poznał pan Sarę? — spytała, kiedy siadał.

Przytaknął.

— Całkowicie różni się od matki — rzekł z naciskiem.

— Eryk ją kocha... — Carmen powstrzymała westchnienie.

Znowu kiwnął głową.

— Czy mam mu powiedzieć, że ją znaleźliśmy? — ciągnęła zamyślona. — I tym samym popchnąć go w jej ramiona? — Odchyliła się na oparcie fotela. — Czy nie powinnam raczej trzymać mojego syna z daleka od tak młodej dziewczyny? Przyniosła mu jedynie nieszczęście...

— To nie ona — przerwał z przekonaniem Sven. — To Inga.

Zastanawiała się przez chwilę, a potem rozpogodziła. Bez wątpienia miał rację.

Dawno już zapadł zmrok, gdy Inga Maienstedt wróciła do domu. Vincenty nie było. Konrad dał jej wolne i wieczorem pojechała do przyjaciółki w sąsiedniej miejscowości. Ponieważ miała tam nocować, wzięła ze sobą Kapitana.

Żał jej było psa. Wyczuwał instynktownie, że w powietrzu czai się nieszczęście, a po wyjeździe pana niepokoił się i skomląc biegał po pustych pokojach. Vincnta nie potrafiła go pocieszyć.

Inga przyjechała taksówką. Zawlekła walizkę i torbę podróżną do salonu, zapalając po drodze wszystkie światła. Potem otworzyła drzwi na taras i włączyła także oświetlenie zewnętrzne. Przez moment stała na dworze, wdychając głęboko nocne powietrze.

Lot ze Sztokholmu do Monachium przetrwała w otępieniu. Teraz jednak w ciszy pustego domu ogarnęła ją niepomowana wściekłość i rozpacz.

Straciła Eryka. Carmen Wylander potraktowała ją jak zbrodniczkę i wyrzuciła za drzwi, a Sara...

Zacisnęła pięści. To Sara była prawdziwą przyczyną wszystkich nieszczęść.

Eryk chciał się ożenić z nią, Inga. Powiedział jej to w dniu powrotu Sary z Marienbergu. A potem opętała go ta rozwydrzona smarkula.

Na pewno tak było. Wprowadziła się do Wylanderów, kiedy ona, Inga, pojechała z Konradem do Hamburga. Przypuszczalnie miała ułatwione zadanie, bo Eryk nie tylko jest mężczyzną namiętnym i łatwo się rozpala, lecz także był wtedy wściekły i rozczarowany z powodu jej podróży do Hamburga.

A może zawróciła mu w głowie młodość dziewczyny?

Nie myśleć o tym więcej, zapomnieć, spać...

Dlaczego w mózgu nie ma kontaktu, żeby mogła po prostu wyłączyć te przytłaczające myśli!

Zawróciła do salonu. Trzęsącymi się dłońmi zaciągnęła sięgające podłogi zasłony na drzwiach wychodzących na taras. Wyłączyła oświetlenie na zewnątrz domu i górną lampę. Wielki pokój rozjaśniało teraz tylko miękkie światło kinkietów.

Dla Ingi wciąż jednak było zbyt jasno. Pragnęła ciemności. Może wówczas zniknęłyby prześladowające ją wizje Eryka, gdy jej mówi, że kocha Sarę, gdy trafiają go obie kule, a koszula na piersiach, zanim padnie na ziemię, zabarwia się krwią. Jego obraz na noszach wkładanych do karetki. Oczekiwanie w szpitalu. A na koniec Carmen Wylander z zimnym, wrogim spojrzeniem: „Dwie kule. Jedna mogła być przypadkowa. A druga?”

Co prawda powiedziała, że nic będzie dochodzenia ani procesu w tej sprawie, lecz co się stanie, jeśli Eryk umrze? Czy Carmen nie zechce jednak postawić jej, Ingi, przed sądem jako morderczyni syna?

Wcisnęła się w róg kanapy i ukryła twarz w dłoniach, zaraz jednak zerwała się na równe nogi i zaczęła krążyć po pokoju.

Wtem zawadziła butem o bagaż i upadła. Wstała oszołomiona i kopnęła ze złością walizkę. Podbiegła do stołu, chwyciła karafkę z koniakiem, podniosła ją do ust, chciwie łykając trunk.

Zadziałało niemal natychmiast. Nogi się pod nią ugięły i opadła na poduszki kanapy.

Odstawiając koniak na stół, odkryła kartkę listowego papieru. Zawierała niewiele słów.

„Droga Ingo. Podjąłem decyzję. Wyjeżdżam do Hamburga. Konrad.”

Wpatrywała się kilka sekund w papier, a potem upuściła go na blat stołu. Ponownie chwyciła karafkę i tym razem wypijała do dna, potem zaś cisnęła szkło na dywan. Na koniec wyłączyła wszystkie światła. Zwinięta w kłębek jak wystraszone i opuszczone dziecko, wtuliła się w róg kanapy i zamknęła oczy.

Nie słyszała, jak przed dom zajechał samochód.

Za jego kierownicą siedział Marek. Zajrzał raz jeszcze do willi Maienstedtów w nadziei, że Sara tymczasem wróciła do domu.

Z daleka widział jasno oświetlony dom i taras. Zaraz potem kolejno zgasły wszystkie lampy.

A więc ktoś jest w domu. Sara, pomyślał Marek. Dzięki Bogu, że się znalazła.

Wysiadł z samochodu i pobiegł na taras. Zobaczywszy, że dwuskrzydłowe drzwi są tylko przymknięte, ostrożnie naciągnął klamkę.

Wąski pas księżycowego światła wydobył z mroku na dywanie walizkę i torbę podróżną.

— Saro? — odezwał się cicho. — To ja, Marek. Wiem, że tu jesteś...

Odczekał kilka sekund, a ponieważ odpowiedziała mu ciszsz, wszedł do pokoju. Szukając bez powodzenia kontaktu, nadepnął na pustą karafkę po koniaku. Potoczyła się po podłodze i uderzyła o ścianę.

Hałas poderwał Inge z kanapy. Zapaliła stojącą obok lampę i kompletnie oszołomiona odwróciła się do Marka.

— Co się dzieje? — spytała bełkotliwie.

Przeraził go jej widok. Jeszcze nigdy nie widział matki Sary w takim stanie.

— Pani Maienstedt, szukam Sary... — wyjąkał.

Dopiero po chwili zamglony umysł Ingi pojął sens jego słów.

— Sara śpi — powiedziała, z trudem się podnosząc.

— Ale... — zaczął Marek.

— Wynos się! Natychmiast! Powiedziałam, wynos się!
— przerwała mu zdenerwowana.

Chwiejąc się na nogach, ścisnęła kurczowo oparcie kanapy-

Jego zatroskana mina wywołała w niej falę bezgranicznej wściekłości. Podeszła, zataczając się, i chwyciła go za ramię.

— Won! — krzyknęła. — Wynos się!

Z nieoczekiwaną siłą wypchnęła go za drzwi na taras. Wytracony z równowagi Marek nie pomyślał o obronie. Potknął się o ogrodowy stół, przewrócił, poderwał z ziemi i zniknął w parku.

Inga zamknęła za nim drzwi na klucz. Wyczerpana wsparła się o framugę i nasłuchiwała, jak uruchamia silnik i odjeżdża.

Przygnębiony i zbyt zdenerwowany po powrocie do domu, by kłaść się spać, Marek szukał ukojenia w stajniach.

Na sygnał telefonu na ścianie natychmiast podbiegł do aparatu. Po drugiej stronie zgłosiła się Carmen Wylander. Ciężki kamień spadł mu z serca na wieść o tym, że Sara odnalazła się w Wenecji u *madame* Tirtowej, aczkolwiek nie rozumiał, co to miało znaczyć.

— Dlaczego poleciała do Wenecji? — spytał zdumiony.
— I kim jest ta *madame* Tirtowa?

— Artystka — odpowiedziała Carmen. — O nic się nie martw. Przy niej Sara jest w dobrych rękach. A teraz dobranoc.

Odłożyła słuchawkę, nim zdążył zadać kolejne pytanie.

Marek poszedł w jej ślady. Czego Sara szuka w Wenecji, pomyślał i wyprostował się. Już on się tego dowie.

Inga Maienstedt nie mogła sobie znaleźć miejsca w ciemnym, pustym domu. Musi stąd uciec... coś zrobić, żeby wszyscy się przekonali, jak podle i poniżająco została potraktowana. Przez Konrada, który ją opuścił. Przez Eryka, który ją oszukał. Przez Sarę, która się stała jej najgroźniejszą rywalką...

Tak, pomyślała, zorganizuję taki finał, że oczy im na wierzch wyjdą...

Pomysł zapadł jej w omroczony alkoholem umysł i kazał działać.

Wciąż się zataczając podbiegła do biurka, gdzie leżały kluczyki do range rovera. Obok znalazła złotą zapalniczkę męża, którą najwyraźniej zapomniał zabrać. Pochwyciwszy obie rzeczy, wyskoczyła z domu, jakby ją gnały furie, zostawiając otwarte drzwi i pozapalane światła.

Kilka chwil później zawył silnik. Inga ruszyła tak gwałtownie, że spod kół prysnął żwir i kępki trawy.

Za cel obrała sobie Marienberg.

Klasztor, jej zdaniem, był odpowiednim miejscem do przeprowadzenia tego, co sobie zaplanowała. Peregrina i jej zakonniczki będą przerażone. A siostra może nawet powie: „Biedna Inga! Nie widziała innego wyjścia, opuszczona przez wszystkich.”

Opuszczona... opuszczona... opuszczona. Słowa waliły jej w skroniach jak młotem, gdy pruća po pustej nocą szosie. Zdradzili mnie i opuścili. Wszystko skończone.

Graniczyło z cudem, że pomimo swego stanu bez szwanku dotarła do Marienbergu. Skręciła przed wjazd do bramy i wyłączyła silnik u zamkniętych wrót.

Wysiadła, otworzyła bagażnik i wydobyła zeń ciężki kanioster z benzyną. Krztusiła się i szlochała, wlokąc go na przód i odkręcając zawór. Dobyła ostatnich sił i wylała benzynę na klapę silnika. Paliwo spłynęło na ziemię, tworząc rozległą kałużę. Raz za razem oblewała samochód strumieniem benzyny, mamrocząc przy tym pod nosem:

— Nie bądź tchórzem! Zrób to teraz... i tutaj. Zobaczą ogień. Ale będzie za późno. Ugaszą go. Ale będzie za późno. Uderzą w dzwony. Ale będzie za późno...

Brzmiało to jak prymitywne zaklęcie.

Wreszcie kanister wysunął się jej z rąk i upadł na ziemię. Inga wyjęła z kieszeni zapalniczkę i próbowała ją uruchomić. Zaraz, pomyślała, zaraz wszystko minie.

Zapalniczka nie zadziałała. Była pusta.

— No, zapal się! — Błagała Inga, naciskając jak szalona dzwignienkę, która powinna wywołać płomień. — No, już!

Kiedy pojęła, że wszystko na próżno, odrzuciła z krzykiem bezużyteczny przedmiot. Siły ją opuściły. Zdołała jeszcze do-
wlec się do samochodu i wpełznąć do środka. Tam się zała-
mała.

Trzy godziny później ją znaleziono.

Siostra furtianka, która co rano w pierwszej kolejności otwierała wrota i wypuszczała ptaki z gołębnika, odkryła range rovera i olbrzymią kałużę benzyny. Przerażona za-
wróciła, by zawiadomić Peregrinę.

Ksieni wstała i zdążyła się ubrać. Wielkimi krokami popę-
dziła przez dziedziniec, gwałtownie otworzyła drzwi samocho-
du. Inga spała rozłożona w poprzek przedniego siedzenia.

Obudziła się, kiedy Peregrina próbowała ją podnieść. W pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie się znajduje. Nieprzy-
tomnym wzrokiem przyglądała się własnej siostrze.

Ta zaś odprawiła ruchem ręki kilka mniszek, które przy-
biegły za nią, a teraz podniecone otoczyły auto. Potem objęła
Inę ramieniem za barki i pomogła jej wsiąść. Siostra, chwie-
jąc się na nogach, przyjęła wsparcie.

— Chciałam umrzeć... Chciałam podpalić auto... ale za-
palniczka nie zadziałała.

Zaczęła płakać i tym razem wzbudziła w Peregrinie na-
prawdę głębokie współczucie.

— Zostaniesz na razie u nas — powiedziała łagodnie,
prowadząc ją do budynku.

Pomogła jej się trochę odświeżyć, zaprowadziła do swoje-
go biura i przyniosła z klasztornej kuchni tacę ze śniadaniem.
Inga przyglądała się wszystkiemu tępym wzrokiem.

Peregrina nalała jej kawy.

— Wypij! — poprosiła. — To ci dobrze zrobi.

— Nie mogę. — Inga pokręciła wolno głową.

- Musisz — upierała się zakonnica.
- Nie chcę. — Zacisnęła z uporem usta.

Peregrina przestała nalegać. Podeszła od tyłu i położyła siedzącej ręce na ramionach.

— Tobie to dobrze — mruknęła Inga z zamkniętymi oczami, odchylając głowę na oparcie krzesła. — Same kobiety... żadnych mężczyzn.

Kiedy siostra nic odpowiedziała, odwróciła się do niej.

— Konrad to diabeł. Nie wrócę już do niego. Nie chcę go więcej widzieć...

Jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Przytuliła się do Peregriny, która odgarnęła kosmyk włosów z jej twarzy.

— Jesteś chora. Potrzebujesz spokoju...

Wyraz twarzy Ingi błyskawicznie zmienił się na podejrzliwy i wrogi.

— Powinam się była spalić w aucie; wtedy miałabym tu już za sobą. Zadzwońabyś do Konrada i powiedziała: „Inga nie żyje.” On by się wówczas spytał: „Jak to się stało?” A ty byś go poinformowała, że oblałam benzyną siebie i samochód i podpaliłam. Na to on by zareagował: „Było do przewidzenia, przecież to wariatka...”

Jedna z zakonnicek, sekretarka Peregriny, przez cały czas sortowała przy biurku w głębi pokoju jakieś dokumenty. Z prowadzonej po cichu w drugim końcu przestronnego pomieszczenia rozmowy dobiegały do niej jedynie strzępki zdań, niemniej tyle wystarczyło, by starszawa siostrzyczka co chwilę spoglądała w kierunku Ingi i swojej przełożonej.

Ksieni podeszła i podpisała kilka listów w teczce przeznaczonej na korespondencję, a potem wręczyła ją zakownicy i wyprawiła z pokoju.

Tymczasem Inga zamarła bez ruchu na krześle.

— Może mi wreszcie powiesz, co się wydarzyło? — westchnęła Peregrina.

— Dzwoniłaś do Konrada? A może do Sary? — Oczy Ingi się zwięzły.

— Nie. — Peregrina uśmiechnęła się łagodnie i pokręciła głową. — Ale ty powinnaś do nich zadzwonić. Na pewno się martwią.

— Na jakim ty świecie żyjesz? — Kąciki ust Ingi opadły.
— Kompletnie nie znasz się na ludziach. Konradowi jest zupełnie obojętne, co się ze mną dzieje. A Sara... To wszystko jej wina! Co ja bym dała za to, żeby nigdy nie była wróciła do domu!

Peregrina posłała jej zaniepokojone spojrzenie, ale o nic nie zapytała, jedynie znowu objęła siostrę za ramiona.

— Chodź, potrzebujesz wypoczynku...

Chciała zaprowadzić ją do pokoju, który tymczasem dla niej przygotowano, ale natrafiła na opór. Inga bała się zostać sama, obawiała się powrotu wspomnień...

— Nie miałam prawa tu przyjeżdżać — wymamrotała ze spuszczoną głową. — Nie potrafisz mi pomóc. Nikt nie może mi pomóc.

— Chodź! — powtórzyła Peregrina. — Musisz wyzdrowieć.

Inga dyszała ciężko, jakby była śmiertelnie zmęczona.

— Masz dobre intencje... ale lepiej mi powiedz, jak się umiera.

Tym razem dała się zaprowadzić do łóżka. Zasnęła nawet na chwilę niespokojnym snem, pełnym uciążliwych koszmarów, a kiedy się obudziła, ujrzała obok siebie Peregrinę.

— Zaśnij jeszcze — powiedziała zakonnica z uśmiechem.

Inga zaprzeczyła ruchem głowy, pewna, że nie odnajdzie we śnie spokoju.

W zamian zaczęła mówić. O Konradzie, o Ellen Vondrowski, o swojej niechęci wobec przeprowadzki do Hamburga. Wciąż te same oskarżenia. Monologując wstała i ubrała się. Nie wspomniała słowem o Sarze ani o Eryku. Nikt nie mógł się tutaj dowiedzieć o tym, co się wydarzyło w Sztokholmie. Nawet siostra.

W nadziei że Inga coś wreszcie zje, Peregrina zabrała ją na powrót do swojego gabinetu. Tymczasem ta siadła na krzesło i ciągnęła swoją litanie winnych i podejrzanych, jakby o niczym innym nie było warto wspominać.

— Kto inny jest winien. Znam to — skomentowała zakonnica. — Jak długo tak myślisz, nic uzyskasz kontroli nad swoim życiem.

Lekka nagana w głosie siostry na nowo pobudziła agresję Ingi.

— I ty także przeciwko mnie! — krzyknęła ze złością.

— Nikt nie jest przeciwko tobie — Peregrina starała się mówić jak najłagodniej. — To ty sama jesteś swoim najgorszym wrogiem.

Pochyliła się i ujęła dłoń siostry.

— Każdemu z nas zostało przydzielone jakieś miejsce — powiedziała z naciskiem. — Na tym miejscu musimy wytrwać, czy się nam to podoba, czy nie. Dorośnij wreszcie, Ingo.

Inga gwałtownym ruchem wyrwała rękę z uścisku. Oczy jej pałały.

— Wyrwać! Wyrwać! Nie jestem jedną z twoich stęchłych relikwii!

Zerwała się z krzesła i podbiegła do wnęki, gdzie na stoliku stała figurka świętej Barbary. Obok leżała Biblia, wokół której Peregrina poustawiała rozmaitych kształtów flakoniki z olejkami świętej Barbary i innymi nalewkami. Często określała żartobliwie ten stoliczek swoim prywatnym relikwiarzem.

Inga pochwyciła jedną z flaszeczek ze złośliwym uśmiechem, widząc, że zaniepokojona siostra pospieszyła za nią.

— Nie ma obawy, nie upuszczę.

Wyciągnęła korek i powąchała zawartość z miną wyrażającą najwyższe obrzydzenie.

— Ohyda! Taką samą pleśnią czuć moje życie!

Peregrina pobladła ze zdenerwowania. Zdecydowanym ruchem odebrała Indze flakonik i postawiła go na stoliku.

— Nie dotykaj!

— Dlaczego? — odparła Inga z nienawiścią. — Chyba nie uważasz, że mój dotyk pokala twoje świętości?!

— Dość tego!

— A i owszem, dość! — Inga podniosła głos. — Masz całkowitą rację, droga siostro!

Z tymi słowami zmiotła zamasztyłym gestem wszystkie flaszeczki ze stolika. Większość z nich, padając na podłogę, rozbiła się.

Tryumfalnym wzrokiem ogarnęła pobojowisko, po czym opuściła bezwolnie rękę i skuliwszy się, wybuchnęła na nowo płaczem.

Peregrina stała przez chwilę jak skamieniała, a potem odwróciła się i szybko podeszła do biurka.

Wiedziała, gdzie odnajdzie Konrada. Poprzedniego wieczoru zadzwonił z Hamburga, podał jej swój aktualny adres z numerem telefonu.

Mieszkał teraz w wynajętym przez Ellen Vondrowski apartamencie dla gości. Odebrała go z lotniska, a kiedy znowu ujrzała to wprawdzie ładnie urządzone, lecz dotąd nieco surowe i bezosobowe wnętrze, spontanicznie ją uściskał.

Ellen udało się tu stworzyć prawdziwie domową atmosferę, w której mógł zamieszkać i pracować. Wszędzie stały kwiaty i zielone rośliny, na kredensie nie brakło misy z owocami, kupiła nawet kilka dodatkowych mebli, by było przytulniej.

Zachwycony odkrył nowe biurko i zestaw komputerowy przed panoramicznym oknem w gabinecie oraz biały fortepian w salonie.

— Ty chyba potrafisz czarować — odezwał się. — Tu jest cudownie.

— Zadowolony? — Uśmiechnęła się. — W każdym razie lepiej tu niż w hotelu, prawda? Możesz zostać, jak długo zechcesz.

Na stole stała butelka koniaku, by mogli wznieść toast za jego przyjazd.

— Moja ulubiona marka — odkrył. — Skąd wiedziałaś?

— Kobieca intuicja — odparła tylko, idąc po kieliszki.

Wykorzystał ten moment, żeby zażyć kolejną porcję tabletek.

Kiedy Ellen wróciła i nalewała koniak, bolesny skurcz w piersiach minął. Mógł się znowu uśmiechać. Uniosła kieliszek.

— Za co pijemy?

— Za życie — odrzekł. — I za nas.

Za nas. Ładnie brzmi, stwierdziła w duchu. Jakby mnie chciał zaliczyć do swojego życia.

Gdyby się tylko mogła dowiedzieć, co go skłoniło do tak szybkiego powrotu. Czy Inga robiła trudności? Nie chciała pytać o to wprost.

— Są jakieś wieści ze Szwecji? Co słyhać u żony i córki? Twarz Konrada przebiegł cień.

— Nie odezwały się dotąd. Inga pewnie nie ma czasu. Rozumiesz, kongres... Czy ja wiem zresztą...

Zamilkł na chwilę. Nie, nie zdoła opowiedzieć Ellen o Eryku. Jeszcze nie teraz.

— A Sara... — ciągnął, wzruszając ramionami. — Dzieci dzwonią tylko wtedy, kiedy czegoś potrzebują.

Ellen została z Konradem na noc. Zostawiła też w firmie wiadomość, że następnego dnia nie przyjdzie do pracy.

Spali długo, potem zjedli śniadanie w łóżku, a koło południa Ellen wyszła, żeby w delikatesach kupić coś lekkiego na zimny bufet. Wieczorem mieli pójść do restauracji.

Po powrocie zastała Konrada przy fortepianie, zatopionego w grze. Podeszła na palcach i zdjęła folię z kanapek na tacy. Odwrócił głowę i uśmiechnął się do niej, jeszcze przez chwilę nie przerywając grania.

— Czy pani mnie zaangażuje? — spytał wesoło, obracając się ku niej.

Odstawiła tacę i objęła go za szyję.

— Jesteś najbardziej młodzieńczym człowiekiem, jakiego spotkałam.

— To wszystko twoja wina. — Przyciągnął ją do siebie. — Jeszcze wczoraj byłem zgrzybiałym starcem.

Mówił prawdę, Ellen Vondrowski miała na niego dobry wpływ. W jej obecności czuł się silny, zdrowy — i kochany.

Kiedy się całowali, zabrzmiał przenikliwy sygnał telefonu. Z niechęcią podszedł do aparatu.

— Maienstedt, słucham... A, to ty, Peregrino?

Ellen zauważyła, że się zdziwił, a nawet lekko zeszywniał. Chciała wyjść z pokoju, ale ruchem ręki poprosił, by została.

— Inga jest od wczoraj u mnie — relacjonowała zakonnica swym niskim, jak zwykle spokojnym głosem. — Nie czuje się dobrze. Przeżyła szok.

Odczekała chwilę na odpowiedź, lecz Konrad się nie odezwał.

— Coś się musiało wydarzyć w Szwecji — dodała. — Nie wiesz czasem co?

— Nie — odparł zaniepokojony.

— Proszę, przyjeźdź! Natychmiast! — W słowach Peregriny pobrzmiwało błaganie.

Westchnął głęboko.

— Przyjadę — obiecał i odłożył słuchawkę.

Wpatrywał się przez moment w telefon, a potem uniósł wzrok na Ellen.

— Tak mi przykro, Ellen. Muszę jechać do Ingi.

Skinęła głową. — Oczywiście — odpowiedziała cicho, lecz widać było, że czuje się dotknięta.

Otoczył ją ramieniem.

— Chyba rozumiesz? Źle z nią. Nie mogę jej zostawić samej. Czułbym się jak ostatni drań.

— Nie wolno ci tak o sobie myśleć — odparła szybko.

Naturalnie, że go rozumiała. Po prostu taki był, o sobie myślał na końcu. Zawsze znalazł się tam, gdzie go potrzebowali. Przecież właśnie dlatego go kochała.

— Jedź! — Jej wzrok wyrażał pełnię oddania. — Zarezerwuję ci lot.

— Dzięki! — rzeki Konrad z ulgą.

Mieszkanie *madame* Tirtowej przypominało Sarze scenografię do komedii salonowej z lat dwudziestych.

Pomimo to uważała, że — z całym tym natłokiem foteli i sof, prawdziwych antyków, weneckich luster i kryształowych żyrandoli oraz aksamitnych draperii i kwiatowych dekoracji — jest urocze.

Odkryła też rzeźby w ściennych niszach, a w atelier fantazyjnie zestawione obrazy — pociemniałe ze starości oleje,

pożółkłe fotografie i wiele kolorowych oraz czarno-białych szkieł. Te ostatnie przedstawiały figurki w kostiumach z różnych epok.

W szafach wisiały tam wszelkie możliwe stroje. Teraz buty wały się po podłodze, a kapelusze, apaszki i torby zalegały otomanę, na której siedziała wiekowa dama.

Przed nią stała Sara z wysoko podpiętymi włosami, w szerokiej spódnicy haftowanej w stokrotki. Górę okrywał jeszcze jej własny blezer.

Tirtowa założyła jej szeroki lakierowany pasek i zapięła ozdobną klamrę.

— Uszyłam sobie tę spódnicę czterdzieści lat temu — opowiadała z zadowoloną miną. — Rita Hayworth nosiła coś takiego w jednym ze swoich filmów.

Sara ujęła w dłonie rąbek spódnicy i podniosła w górę. Potem okręciła się w kółko, aż wokół jej nóg utworzył się falujący krag. Starsza pani z ulgą zauważyła, że dziewczyna się uśmiecha, najwyraźniej uradowana swoim nowym wyglądem.

— Zupełnie inne uczucie niż w dżinsach, prawda? — zaśmiała się, przeszukując stertę butów na podłodze, póki nie wyciągnęła pary białych sandałów na korkach. — Te też mają z pół wieku...

Sara wsunęła nogi w pantofle.

— Jakby robione na miarę. — Zawiązała na kostkach białe jedwabne tasiemki.

Tirtowa podkreśliła elegancję stroju lekką bluzeczką w kolorze bladej cytryny i na koniec wcisnęła dziewczynie w rękę czarno-zieloną lakierowaną torebkę.

— Tu masz wszystko, czego ci potrzeba: plan miasta, pieniądze i klucze do domu.

— Pani nie zechce mi towarzyszyć? — spytała rozczarowana Sara, wkładając bluzkę w spódnicę.

Tirtowa podeszła do sekretarzyka i zapisała na kartce własny adres oraz nazwę restauracji na placu Świętego Marka. Miały się tam pod wieczór spotkać.

— To twój pierwszy dzień w Wenecji — powiedziała tęsknym tonem starej kobiety. — W taki dzień trzeba się nabie-

gać, pogubić... Trzeba wypytywać rzesze żebraków i małych chłopców o drogę na plac Świętego Marka, a każdy z nich wskaże inny kierunek...

Zachichotała i ucałowała dziewczynę w oba policzki.

— Idź już! Wenecja czeka.

Sara z wdzięcznością oddała całusa i starannie schowała karteczkę z adresem do torebki.

— Będę czekała w restauracji — dodała Tirtowa, popychając ją do drzwi. — Każdy kot w Wenecji cię tam doprowadzi.

Swoją podbój zaczęła Sara najpierw od krętych, nieco ponurych uliczek, wiodących w bok od kanałów. Przechodziła po starych, na poły zrujnowanych mostkach z przepięknymi kamiennymi balustradami i śledziła bieg gondoli i motorówek, przepływających dołem. Zeszła z drogi pewnemu gondolierowi w tradycyjnej czerni i płaskim słomianym kapeluszu, ozdobionym wstążkami, który słał jej nazbyt ogniste spojrzenia, by wreszcie po długiej wędrówce dotrzeć nad Canale Grande.

Pospacerowała w tłumie kłębiącym się wokół kramów na rynku Rialto, gdzie sprzedawcy głośno i z temperamentem zachwalali owoce i warzywa, drób, jajka, torebki i buty, swetry, kolorowe letnie sukienki na ramiączkach i wszelkiego autoramentu różności.

Od pierwszej chwili nie czuła się w tym mieście obco. Odwrotnie, miała wrażenie, że napotyka coś dobrze znajomego i cudownego. Już poprzedniego dnia, tuż po przyjeździe, odkryta to powinowactwo, które w miarę przedłużania się wędrówki ciągle rośnie.

Oczywiście dostrzegała ślady zniszczeń, przypomniała też sobie obiegową opinię, że Wenecja umiera.

Uznała jednak, że to czysty absurd. Miasto żyło w radości zamieszkałych tu ludzi, w pięknie wyłaniających się jakby wprost z laguny ulic i placów.

Przyjechała zrozpaczona, pozbawiona wszelkich iluzji i ten ból jak ostry kamień jeszcze w niej tkwił, lecz tutaj, tak to przynajmniej odbierała, stał się chyba łatwiejszy do zniesienia.

Podpłynęła kawałek wodnym tramwajem po Canale Grande i patrząc w toń, w której odbijały się fasady pałaców i kościołów po obu stronach oraz błękitne niebo nad nimi, pomyślała, że dobrze się złożyło, iż tu trafiła; tutaj kiedyś jej się uda na powrót odnaleźć siebie.

Przy moście Akademickim opuściła *vaporetto* i pieszo dotarła do placu Świętego Marka.

Zachwyciły ją gołębie, tak oswojone, że wyjadały turystom z ręki okruchy chleba, ziarno i co tylko im dawano. Kopuła bazyliki odbijała ostatnie promienie słońca, a przewyszająca ją znacznie dzwonnica robiła wrażenie oblanej czerwonym złotem.

Madame Tirtowa i Jules Dussere czekali już, gdy Sara weszła do restauracji w pobliżu Pałacu Dożów. Siedzieli na zewnątrz, podziwiając Bacino di San Marco, a przed każdym z nich stało *espresso coretto*. Tirtowa uściskała dziewczynę na powitanie i usadziła na foteliku obok siebie.

Oczywiście najpierw musiała opowiedzieć, gdzie była i co widziała. Jadła więc lody i składała relację tak chętnie, że nie było wątpliwości, iż Wenecja zawojowała jej serce.

Starsza pani uśmiechała się z zadowoleniem. Bardzo polubiła Sarę. Cieszyła się, że ma ją przy sobie i pewnie jeszcze na trochę zatrzyma. Najchętniej wcale by jej nie puściła.

Wcześniej rozmawiała na ten temat z Julesem. Zapropo- nował jej coś, co się jej bardzo spodobało i co natychmiast chciała urzeczywistnić. Przyjaciel obiecał jeszcze tego wieczoru podjąć odpowiednie działania. Sara będzie zasko- czona, gdy się o wszystkim dowie! Ale na to jest jeszcze czas...

Jules Dussere spojrzął na zegarek, a potem na starszą damę.

— Mam jeszcze spotkanie w Palazzo Pisani. Szczerze liczę na to, że się tam pojawisz.

— Nie zmienię zdania — odparła. — Obejrzę wystawę dopiero w dniu wernisażu.

Sara wiedziała, o czym mówią. W Palazzo Pisani organi- zowano wystawę najpiękniejszych kostiumów, elementów sce-

nograflie, lalek i szkiców autorstwa Tirtowej. Otwarcie miało nastąpić za dwa dni.

Podczas jej pobytu w Sztokholmie Jules wykonał isticie szychową pracę przy wyborze eksponatów, a teraz naturalnie płonał z niecierpliwości, by jej to wszystko pokazać. Dlatego odmowa sprawiła, że lekko posmutniał.

— Zmusić cię przecież nie mogę — westchnął.

Kiedy go jednak obdarzyła czułym uśmiechem i przeprosiła, natychmiast humor mu się poprawił. Wstał, przechylił się przez stół i pocałował ją w policzek. Potem pożegnał Sarę i odszedł, lawirując między rzędami stolików.

— Dwadzieścia pięć lat nieprzerwanej przyjaźni — powiedziała Tirtowa cicho z wdzięcznością w głosie, śledząc odchodzącego wzrokiem.

Kiedy Sara nic nie powiedziała, odwróciła się ku niej. Dziewczyna nie słuchała. Wpatrywała się w wodę, która o zmierzchu przybrała niemal barwę atramentu, i miała znowu tak nieszczęśliwą minę, że Tirtowa najchętniej utuliłaby ją w objęciach. Żeby tylko wiedziała, co tak dręczy to śliczne stworzenie!

— Saro? — Dotknęła lekko ramienia dziewczyny. — Czy wciąż jesteś pewna, że nie chcesz zadzwonić do domu?

Zapytana kiwnęła bez słowa głową.

— Twoja matka się zamartwia... — naciskała *madame*.

Twarz Sary przybrała twardy wyraz.

— Nie mam matki.

Tirtowa pogładziła ją po ręce.

— Przede wszystkim masz mnie — rzekła serdecznie i z ulgą zauważyła, że mina dziewczyny złagodniała.

Sara uśmiechnęła się do starszej kobiety i prędko ucałowała jej policzek.

— Jedno można stwierdzić z całą pewnością — powiedziała żartobliwie Tirtowa. — Życia to ty się nie boisz. Bez bagażu, bez biletu, sama na lotnisku... I trafiasz dokładnie tam, gdzie powinnaś. Gdybym się kiedyś znalazła w ślepym zaułku, postąpiłabym tak samo. W każdym razie nie próbowałabym pouczać losu.

Przez kilka sekund patrzyły sobie w oczy w milczącym porozumieniu, a potem Tirtowa objęła Sarę ramieniem.

— Spójrz na nas obie. Czyż los nie urządził tego najlepiej?

Eryka Wylandera przeniesiono z sali pooperacyjnej do separatki w prywatnej klinice. Czuł się o wiele lepiej i profesor Henningsen z ulgą zakomunikował Carmen, że bezpośrednio zagrożenie życia minęło.

Tego przedpołudnia przyjął matkę na wpół siedząc w łóżku, wciąż jeszcze blady, jednak z bystrym spojrzeniem. Ucałowała go na powitanie.

— Wyglądasz dużo lepiej — stwierdziła.

— A czułbym się jeszcze lepiej — odparł, marszcząc brwi — gdybym wiedział, gdzie jest Sara. Przecież nie mogła się zapaść pod ziemię!

Przykucnęła na brzegu łóżka, wpatrując się w swoje dłonie.

— Coś przede mną ukrywasz! — Chwycił ją za ramiona. — O co chodzi? Czy jej się coś stało, mamó?

Strach w jego głosie unaoczniał Carmen, że nie powinna go dłużej utrzymywać w nieświadomości.

— Jest w dobrych rękach — odparta, mimo wszystko nieco ogólnikowo.

Obrócił się ku niej tak, że musiała nań spojrzeć.

— Gdzie?

— W Wenecji — westchnęła matka. — *Madame* Tirtowa wzięła ją do siebie.

— Jadę tam natychmiast!

Złapał ręką uchwyt zamocowany nad łóżkiem, chcąc się podnieść. Nie posłużył mu jednak ten wysiłek. Rana pooperacyjna dała o sobie znać kłującym bólem i chory opadł bezwolnie na poduszki.

— Widzisz! — powiedziała Carmen. — Tego właśnie chciałam uniknąć. Musisz się jeszcze zdobyć na kilka dni cier-

pliwości. Oprócz tego mam wrażenie, że Sarze przyda się ten czas.

Może miała rację. Może jednak każdy dzień, który mijał mu beczynnym, dostarczał dziewczynie powodu, by się od niego coraz bardziej oddalać.

— Mamo! — spojrzął na Carmen nieszczęśliwym wzrokiem. — Nie mogę stracić Sary. Ja ją kocham.

Jakby tego nie wiedziała! Nie po raz pierwszy przeklinała szatański układ, który wymyślił los. Dlaczego właśnie córka Ingi Maienstedt musiała wyzwolić w Eryku to uczucie!

Po wyjściu matki położył się wygodnie i zamknął oczy. Z ulgą przyjął wiadomość o obecności Sary u projektantki kostiumów. Przynajmniej nie była sama, a Tirtowa ze swoją serdecznością i wielkodusznością mogła dla niej stanowić prawdziwą podporę.

Mimo to podjął decyzję, by najprędzej, jak tylko będzie możliwe, polecieć do Wenecji. Za dwa, trzy dni odzyska na tyle siły, żeby wyjść ze szpitala. Profesor Henningsen nie może go tu zatrzymać wbrew woli.

Eryk znał dobrze Wenecję. Wylanderowie mieli hotel także tam, toteż odwiedzał miasto kilka razy w roku.

Próbował sobie wyobrazić Sarę w Wenecji. Czy się jej podoba? Już Sztokholm ją zachwycił, więc z pewnością uległa nieodpartej magii Serenissimy. Czy popłynęła już jedną z czarnych jak noc gondoli? Najpiękniejsze wrażenie daje taka przejażdżka wczesnym rankiem lub późnym wieczorem, kiedy po mieście nie uganiają się tabuny turystów. W tych godzinach, w porze wytworności i elegancji, Wenecja roztacza cały swój tajemniczy czar.

Postanowił, że któregoś dnia odbędzie taką rundę z Sarą. Pójdzie z nią do kościoła Santa Maria dei Miracoli i na tamtejszą dzwonnice, by jej rzucić do stóp całe miasto. Powędruje z nią spod Pałacu Dożów przez Most Westchnień i zjedzą kolację w Palazzo Gritti...

Ach, Sara... Sara... Czy wyczuwa, że o niej marzy? Znał *palazzo* Tirtowej i starał się skoncentrować teraz na nim wszystkie swoje myśli. Podobno zdarza się, że można odebrać

impuls nawet z odległości setek kilometrów, gdy ktoś usiłuje tak intensywnie nawiązać duchowy kontakt. W każdym razie można to sobie wyobrazić i przez to zyskać odrobinę pociechy...

Mniej więcej w tym czasie Sara siedziała ze starszą damą na szezlongu w atelier, a z wielkiego okna roztaczał się widok na Canale Grande. Miała na sobie kolejną sukienkę, którą Tirtowa wygrzebała ze swoich doprawdy przepastnych szaf. Na jej czarnym tle pyszniło się bogactwo barwnych letnich kwiatów, a wycięcie przy szyi otaczał biały koronkowy kołnierzyk.

Madame wyjęła właśnie z trzymanej na kolanach szkatułki wysadzaną drogimi kamieniami broszkę i przyłożyła na próbę do sukni Sary. Dziewczyna wyjęła ją z jej dłoni.

— To dla mnie o wiele za cenne. Pani powinna ją dziś założyć. Jeszcze nigdy nie widziałam czegoś tak pięknego.

Był to dzień otwarcia wystawy.

Tirtowa ubrała się już na tę uroczystą okazję w kostium z kosztownej czarnej koronki i taki sam kapelusz o szerokim rondzie. Wyglądała, zdaniem Sary, przepięknie.

— Tę broszkę — rzekła stara dama, odpinając ozdobe od sukienki dziewczyny — zrobiła pewna kobieta o nazwisku Belperon. Była moją przyjaciółką. Wykonywała pojedyncze egzemplarze, wyłącznie dla przyjaciół. Tego już nie zdążyła wykończyć. — Wskazała palcem konkretne miejsce. — O, widzisz? Tutaj brakuje kilku kamyczków... Jej serce zatrzymało się, gdy nad nią pracowała. Czy to nic zadziwiającego? — podniosła głowę z uśmiechem. — Wiesz co? Przypnij mi tę broszkę, pójdę w niej na wernisaż.

Sara ostrożnie wpięła klejnot w czarną koronkę i Tirtowa wstała, żeby się obejrzeć w dużym lustrze na ścianie.

— Nie mogę się doczekać — wyznała. — To obłęd! Najpierw broniłam się przed tą wystawą, a teraz niecierpliwie się jak panna młoda na weselu. — Okręciła się przed lustrem i wyciągnęła ręce. — Czyż życie nie jest zadziwiające?

Sara nie odpowiedziała. Siedziała na szeszlengu i wpatrywała się przed siebie ze zwieszonymi ramionami.

Tirtowa zobaczyła ją w lustrze i opuściła ręce.

— Koszmar powrócił — odezwała się boleśnie zaskoczona.

Sara spojrzała w jej kierunku i prawie niezauważalnie skinęła głową.

— Czy on ma jakieś imię? — badała ostrożnie dalej starsza pani.

Gdy dziewczyna wciąż milczała, dodała energicznie:

— Nazwij go po imieniu, to zniknie.

— Nigdy nie zniknie — odparła Sara z lękiem, przełykając ślinę.

— Zobaczmy. — Podeszła do młodej przyjaciółki i ujęła ją za ręce. — Pokonałam już niejeden koszmar.

— Nie, temu pani nie da rady. Jestem uwięziona razem z nim... Tam w środku... — Wskazała palcem głowę. — Podnosi się i opada...

A potem wyrzuciła wreszcie wszystko z siebie.

— Sprowadza mnie do Sztokholmu. Powiada, że kocha. A kilka godzin później znajduję go z moją matką.

Tirtowa nawet nie próbowała ukryć przykrego zaskoczenia. Zrozumiała oczywiście natychmiast, że Sara mówi o Eryku Wylanderze. Przecież to dzięki niemu poznała to miode stworzenie i od razu wyczuła, że między nimi chodzi o dużo więcej niż tylko o sympatię.

— Któregoś dnia będziesz mogła płakać, Saro, i wtedy koszmar minie. — Siadła obok dziewczyny i otoczyła ją ramieniem.

Wystawa miała zostać otwarta wczesnym popołudniem, toteż przedtem obie panie zjadły lekki posiłek. Tirtowa ledwie trochę skubnęła, lecz zauważyła z zadowoleniem, że Sarze dopisuje apetyt.

— Może jeszcze trochę *suppa inglese*? — spytała, gdy dziewczyna odsunęła pusty talerz.

— Nie, dziękuję — Sara pokręciła głową.

— Już się bałam, że mi się zagłodzisz... — Staruszka zaśmiała się cicho. — Lepiej?

Za odpowiedź otrzymała kiwnięcie głową i uśmiech. W tym momencie rozległ się dzwonek u drzwi i uśmiech Sary zamarł. Zbladła i bezradnie popatrzyła na starszą przyjaciółkę.

— Powiedz szczerze — odezwała się tamta. — Za każdym razem, kiedy słyszysz dzwonek, myślisz, że to Eryk?

— Nie... — Dziewczyna uniosła ramiona. — A może jednak... Nie wiem, czy w ogóle myślę. Jestem śmiertelnie przeżona.

Tirtowa odłożyła serwetkę.

— Mam otworzyć?

Sara zaczerpnęła głęboko powietrza. Ciagle jeszcze się bała.

— Nie, ja pójdę — powiedziała.

Kiedy szła do foyer, znowu zabrzmiał dzwonek, tym razem dłużej, bez przerw. Zamilkł dopiero, gdy dziewczyna nagłym ruchem otworzyła drzwi.

To nic Eryk stał za nimi. To był Marek.

Sara wpatrywała się w niego kilka sekund, jakby zobaczyła ducha. Potem doznania się skryształizowały: zaskoczenie, ulga, ale i odrobina rozczarowania.

Marek przyjechał samochodem, nieogolony i niedospany, wyruszył bowiem jeszcze po ciemku.

— Marek, ty wariacie! — zawołała Sara i rzuciła mu się na szyję.

Jak dobrze go było znowu widzieć, mimo wszystko. Pocałowała go w usta, a on przytulił ją do siebie. Odzyskał Sarę! Dla tego warto by było jechać bez przerwy trzy dni i trzy noce... albo jeszcze dłużej...

Po przyjeździe do Wenecji wyszukał tani hotel na przedmieściu Mestre, a potem popłynął statkiem do domu Tirtowej.

— Zawsze marzyłem o powrocie do Wenecji — powiedział nonszalancko, by ukryć wzruszenie.

Sara nie wypuszczała go z objęć. Dobry, kochany, wierny Marek, pomyślała spoglądając mu w twarz.

— Jak mnie tu znalazłeś?

Posłał jej krzywy uśmiech i wyjął z kieszeni zdjęcie. Przedstawiało Sarę w mundurku uczennicy z Marienbergu.

— Chodziłem od domu do domu i pokazywałem twoją fotografię.

Zaśmiała się krótko.

— Wejź!

We foyer pojawiła się gospodyni. Nasłuchiwała głosów przy wejściu i upewniła się, że to nie Eryk.

— Marek Loew — przedstawiła Sara przyjaciela z dzieciństwa, biorąc go pod ramię.

— Witam. W Wenecji i w domu. — *Madame* Tirtowa wyciągnęła rękę na powitanie.

Obrzucił starszą damę taksującym, a nawet lekko podejrziwym wzrokiem. Potem jednak uśmiechnął się i nieznacznie skłonił. Pani tego domu uczyniła na nim widoczne wrażenie, a jeszcze większe — serdeczne przyjęcie, jakie go spotkało.

Ona także oceniała go bez skrępowania. To, co dostrzegła, zyskało jej aprobatę. Dlatego pociągnęła go w głąb foyer.

— Pojawiasz się, chłopcze, jak na zawołanie. Wychodzimy dzisiaj na przyjęcie, a dla Sary brakuje odpowiedniego kawalera. Moi przyjaciele to wszystko starsi panowie. No, ale dzięki tobie problem sam się rozwiązał. — Jej spojrzenie przemknęło po wymiętych spodniach i rozdeptanym obuwiu Marka. — To znaczy... Czy masz tu jakieś inne buty poza tymi trampkami? — Gdy potwierdził, badała dalej: — A może też jakąś białą koszulę i ciemne spodnie?

— Ile czasu mi pani daje? — Zareagował natychmiast.

Promieniał z radości. Opiekunka Sary zdawała się go akceptować, a dziewczyna pocałowała w usta...

— Oczekujemy pana za godzinę — zadysponowała po królewsku Tirtowa i wykonała zgrabne w tył zwrot.

— Będę punktualnie! — zawołał, skacząc po kilka schodów w kierunku wyjścia. Zaraz potem trzasnęły główne drzwi, wiodące prosto na nabrzeże.

Starsza kobieta ujęła Sarę pod rękę.

— Czy on wie o tamtym?

Sara wzruszyła ramionami. Nie wspominała Markowi o niczym.

Tirtowa westchnęła ze współczuciem:

— Ale się domyśla. Biedaczysko!



Marek potrzebował mniej niż godziny, żeby wziąć prysznic, ogolić się i przebrać. Załatwił wszystko w mgnieniu oka i co prędzej wodną taksówką przybył do *madame*. Potem we troje pojechali do Palazzo Pisani.

Jules już tam był i kierował robotnikami, którzy okazałymi roślinami w terakotowych donicach i bukietami kwiatów dekorowali sale, gdzie zgromadzono dorobek długiej kariery zawodowej Tirtowej.

Wystawa zapowiadała się jako wielki sukces. Naturalnie światowej sławy projektantka kostiumów teatralnych od dawna była znaną postacią w Wenecji, toteż już pierwszego dnia pojawiło się wielu zwiedzających, by podziwiać lalki w fantastycznych strojach, elementy legendarnych scenografii i liczne szkice.

Wernisaż jest również zawsze wydarzeniem towarzyskim, tak więc obok artystów, studentów i naukowców nie zabrakło przedstawicieli weneckiej socjety, uznanych piękności i rekinów finansowych.

Zapobiegliwy Jules sprowadził dla honorowego gościa fotel na kółkach. I doprawdy nie był to ostatni krzyk mody w tym względzie, lecz stylowy pojazd z przełomu stuleci, na którym Tirtowa swobodnie krążyła pomiędzy gośćmi, witając starych przyjaciół i przyjmując kwiaty oraz komplementy.

Cieszyła się z całego serca każdą chwilą.

Był szampan i delikatne przekąski z Antico Martini, a sale Palazzo Pisani, ozdobione freskami i marmurowymi posadzkami, lustrami i żyrandolami z weneckiego szkła, stanowiły znakomite uzupełnienie mieniających się barwami kostiumów Tirtowej.

Sara nic mogła się nasycić tymi wspaniałościami. Co chwila stawała przed którymś manekinem, gładziła czubkami palców aksamit lub jedwab, podziwiała hafty i biżuterię.

Tirtowa przyglądała się z radością jej fascynacji owym obcym światem. W jakiś przedziwny sposób, jak się zdawało, dziewczyna znakomicie tutaj pasowała. Starsza dama miała nadzieję, że Sara też to tak odbiera.

Marek również z początku pozostawał pod wrażeniem wernisażu. Z upływem czasu jednak czuł się coraz bardziej nieswojo. Sara wydawała mu się całkowicie odmieniona, co oczywiście przypisywał wpływowi artystki. Co za głupota — nikomu nic nie mówiąc polecieć sobie do Wenecji! Ta Tirtowa musiała ją kompletnie opętać. Najwyższy czas uwolnić dziewczynę spod jej uroku!

Zwiedzający powoli wychodzili. Sale pustoszały. Jules Dussere odprowadzał kilku prominentnych gości aż za próg.

Madame Tirtowa, siedząc w swoim ruchomym fotelu, trzymała w ręku przepiękny bukiet kwiatów, wręczony na pożegnanie przez dawnego wielbiciela. Miała teraz czas, by przyjąć się kostiumom. Ileż wspomnień budziły!

Gestem przywołała Sarę.

— Spójrz na to! — Wskazała zamaskowaną lalkę w złotej szacie, z przewieszoną przez ramię torebką wysadzaną klejnotami. — Z „Don Giovanniego”. Sakiewka donny Elwiry. Co to były za nerwy, kiedy zniknęła tuż przed premierą...

Zaśmiała się i skierowała wózek dalej.

— Wiesz co? W następnym życiu chciałabym zostać śpiewakiem. Tylko, broń Boże, nie tenorem! Chciałabym zaśpiewać partię Don Giovanniego...

Wdzięcznym ruchem odrzuciwszy głowę do tyłu, zanuciła:

— „*La ci darem a mano...*”

Niezadowolenie Marka wzrosło, gdy zobaczył, z jakim podziwem Sara spogląda na wiekową przyjaciółkę. Zgoda, jest na swój sposób fascynującą starszą damą i potraktowała go niezwykle uprzejmie. Niemniej uważał, że przesadza z egzaltacją. Czy Sara tego nic widzi?

Chwytał ją za ramię, podczas gdy Tirtowa, ciągle nucąc, przemierzała wózkiem szerokie przejście obstawione po obu stronach manekinami.

— Saro, proszę — odezwał się błagalnym tonem. — Wróć ze mną! Do domu.

— Nic patrz na mnie tym wzrokiem zbitego psa! — Roześmiała się mu w twarz. — Czego ode mnie chcesz? Mój dom jest tutaj!

— AJe twoi rodzice... — zaczął, ale nie dała mu dojść do słowa.

— Skoro robisz taką minę, to zostanę tu na zawsze! — rzuciła nadąsana i tym samym poważnie go uraziła. Znowu...

— No to powodzenia! — wydusił wściekły i biegiem ruszył do wyjścia.

Sara odprowadziła go wzrokiem, a potem podeszła do Tirtowej, która z pewnej odległości z zainteresowaniem śledziła całą scenę, lecz jej nie skomentowała.

Dziewczyna pochyliła się i otoczyła ją ramieniem.

— Kiedyś pozna pani mojego ojca — powiedziała. — Na pewno go pani pokocha. Gdyby tu był, zagrałby dla nas walca.

Starsza pani wstała i położyła bukiet na siedzeniu. Ze śmiechem zaczęła wyśpiewywać melodię jakiegoś walca i wykonała kilka *pas*.

Sara podjęła melodię i zawirowała po sali z rozpostartymi ramionami, coraz gwałtowniej, coraz bardziej zapamiętale.

Wtem zdało się jej, że słyszy dźwięk skrzypiec. Nie, to cała orkiestra grała teraz walca i porywała ją w taneczny wir. Uniosła spódnicę tak, by omiatała gołe łydki, słuchała wymagowanej muzyki i tańczyła dalej, całkowicie zatopiona w porywającym rytmie.

Naraz zbudziły się do tajemniczego życia także wystrojone w kostiumy lalki. Podniosły ręce, kiwały się na boki, a niektóre nawet pochylały w ukłonie przed Sarą.

Oczywiście zdawała sobie sprawę z tego, że to tylko złudzenie wywołane tańcem. Może odrobinę zakręciło się jej w głowie i dlatego wszystko wokół się poruszało.

Mimo wszystko dobrze było wierzyć w ożywione manekiny i nasłuchiwać nieistniejącej muzyki.

Madame Tirtowa także przetańczyła jeszcze kilka taktów. Zatrzymała się dopiero, gdy poczuła, że jej serce wypada z rytmu. Na jedno, dwa uderzenia zapada cisza, a potem odzywa się pospieszne dudnienie. Serce, mały, trzepoczący się w piersi stuletni ptaszek, jak je czasami nazywała.

Znała te objawy — po kilku sekundach lub minutach mijały, a puls wracał do normy. Trzeba tylko usiąść.

Walcząc z dusznością, wymacała drogę do wózka i chwyciwszy bukiet, opadła na siedzenie.

Teraz, z lekko odchyloną głową, czekała.

Nie mijało. Serce znowu stanęło, ruszyło nierównym rytmem, a potem biło tak wolno, jakby jc ktoś zagonił na śmierć.

Szkoda, pomyślała nie do końca przytomnie, chętnie spędziłabym jeszcze trochę czasu z Sarą...

Miała wrażenie, że sala pogrąża się w mroku, że ktoś na rozświetlone słońcem okna zaciąga zasłony. Nie czuła strachu.

Czyż nie mówiła zawsze, że woli, żeby jej serce przestało bić nie z żalu, lecz z radości? I to życzenie się właśnie spełnia...

Odchyliła głowę na oparcie i zamknęła oczy.

Dzięki, pomyślała jeszcze. Kwiaty wyslizgnęły się z rąk i upadły na posadzkę.

Sara wracała już, walcząc przez salę w kierunku wózka, gdy dostrzegła leżący bukiet. Przeżona stanęła na mgnienie oka, a potem rzuciła się ku artystce.

W jednej chwili zrobiło się wokół tak cicho, że słyszała pulsowanie własnej krwi. Muzyka zamilkła, a lalki zastygły na swoich miejscach.

— *Madame Tirtowa...* — wyjąkała, ujrawszy nieruchomą postać na wózku. Uklękła i ujęła bezwładną dłoń.
— *Madame Tirtowa...* miałyśmy tańczyć...

Rozpłakała się w poczuciu bezsilności.

5

Dzień, w którym odprowadzano do grobu *madame* Tirtową, był pochmurny i deszczowy, jakby cała Wenecja przywdziała żałobę po kimś dla tego miasta szczególnym.

Orszak żałobny tworzyły trzy gondole.

W pierwszej, kierowanej przez dwóch gondolierów, znajdowała się przykryta krzyżem z białych róż trumna, a za nią brodaty pop w czarnym ornacie.

Następną wypełniały niezliczone wieńce i wiązanki.

Trzecia wiozła Sarę, Jules'a i Marka.

Dziewczyna podtrzymywała za łokieć starego notariusza i gładziła jego dłonie. Wydawał się całkowicie załamany, a i jej łzy płynęły nieprzerwanie po policzkach, miała bowiem wrażenie, że oto utraciła kogoś, kogo znała i kochała przez całe życie.

Na jednym z mostów chór cerkiewny gminy prawosławnej w Wenecji śpiewał rekwiem. Kiedy gondole wolno przepływały pod przęsłami, z dłoni śpiewaków na trumnę posypały się białe róże. Wiatr jeszcze długo niósł nad wodą nieziemsko piękne dźwięki wspaniałych głosów, by towarzyszyły zmarłej w ostatniej drodze.

Tirtową pochowano w prawosławnej części cmentarza San Michele, niedaleko grobów jej sławnych rodaków — Siergieja Diagilewa oraz Igora Strawińskiego, którego „Ognisty ptak” stanowił jej ostatnią, jakże porywającą inscenizację.

Zgodnie z życzeniem zmarłej pogrzeb był skromny, bez pompatycznych uroczystości żałobnych. Właściwie za jej trumną miał iść tylko Julcs, no i teraz Sara... Notariusz jednak uznał, że w tych ciężkich chwilach dziewczynie powinien towarzyszyć Marek. Sam wrócił z cmentarza prosto do siebie, by bez świadków opłakiwać i wspominać kobietę, którą przez ćwierć wieku bezgranicznie uwielbiał.

Marek podążył za Sarą do *palazzo* Tirtowej.

Przyjaciele i wielbiciele zmarłej nadsyłali kwiaty, które dziewczyna kazała ustawiać w atelier. Od śmierci *madame* znajdował się tam również intarsjowany stoliczek z ukwieconą ikoną Matki Boskiej Kazachskiej. Sara siadła teraz przed nią i zapaliła dwie grube białe świece. Czarny koronkowy szal, który miała na głowie podczas pogrzebu, przewiesiła przez oparcie krzesła. Splotła dłonie i zagłębiła się w myślach o zmarłej przyjaciółce. Pewną pociechą stanowił fakt, że śmierć miała lekką, niemniej strasznie jej Sarze brakowało.

Marek utkwiał spojrzenie w jej opuszczonej głowie.

— Wiesz co? — odezwał się wreszcie. — Wracajmy jeszcze dziś...

Atmosfera w tym starym, cichym domu przygnębiała go i był przekonany, że Sarze także nie posłuży dalsze w niej przebywanie.

Rozległ się dzwonek u wejścia.

— Otworzysz? — spytała, nie zmieniając pozycji. — Pewnie znowu przynieśli kwiaty.

Skinął głową i zbiegł po schodach do holu.

Tym razem jednak przed drzwiami nie stał posłaniec z kwiaciarni.

Był to Eryk Wylander.

Tego ranka niespodziewanie pojawił się w biurze matki. Podpisywała właśnie kilka listów, które przyniosła jej pani Lindgren. Obie kobiety kompletnie zaniemówiły na jego widok.

— Eryku, czyś ty zwariował?! — Carmen pierwsza odzyskała równowagę i zerwała się z fotela. — Twoje miejsce jest w łóżku!

Objął ją i pozwolił się ucałować w policzki, potem zwrócił się do sekretarki:

— Potrzebuję biletu na samolot do Wenecji. Niech mi pani, proszę, wyszuka najbliższe połączenie.

Kobieta skinęła głową i wyszła do sekretariatu, skąd przez otwarte drzwi wkrótce dobiegły Eryka odgłosy rozmowy telefonicznej z biurem linii lotniczych.

Carmen wróciła za biurko i podała synowi złożony kartonik czerpanego papieru z czarną obwódką.

— Jeśli z tego powodu wybierasz się do Wenecji, to chyba jest już po pogrzebie.

Zaskoczony przeczytał zawiadomienie o śmierci.

— Tirtowa! A jednak to było zbyt wyczerpujące dla małej ptaszyny...

Zamilkł na moment, pogrążony w myślach.

— Powiedziała kiedyś, żebym dobrze pilnował Sary — wspomniał — bo inaczej zniknie równie nieoczekiwanie, jak się pojawiła. A teraz została tam sama.

Raptem spojrzął bystro na matkę.

— Muszę przy niej być.

— Za wcześniej — Carmen przyglądała mu się z troską.
— Potrzebuje czasu.

Nie dał się odwieść od zamiaru. Tego ranka sam się wypisał ze szpitala, chociaż profesor Henningsen zgłaszał poważne zastrzeżenia. Świeża blizna przysparzała mu oczywiście bólu, lecz uważał, że jest dość silny, by znieść lot do Wenecji.

— Sara mnie potrzebuje — oznajmił matce. — A ja jej.

Tak więc po wylądowaniu dotarł wodną taksówką do *palazzo* Tirtowej i to, jak się zdaje, w najbardziej odpowiednim momencie. Jakim prawem jest przy niej Marek Loew!

Marek zaś wpatrywał się w Eryka jak w zjawę z zaświatów.

— Pan Wylander? Co pan tu robi?

Eryk, który już go minął w drodze na schody, bąkając jakieś konwencjonalne słowa powitania, odwrócił się raptem.

— Sara...

Marek zamknął drzwi wejściowe.

— Jest w atelier — powiedział wbrew swej woli i pośpiesznie podążył za nim na piętro.

Sara poderwała się na widok Eryka na równe nogi i gwałtownie zbladła. Przez chwilę patrzyli na siebie bez słowa, a potem Wylander odwrócił się do Marka.

— To, co mam do powiedzenia Sarze, jest przeznaczone tylko dla jej uszu.

Młodzieniec podszedł z ociąganiem do drzwi, lecz zatrzymały go słowa dziewczyny:

— Marku, zostań, proszę cię!

Zabrzmiało to jak wołanie o pomoc.

— Saro... — Eryk zrobił krok w jej stronę, lecz się odsunęła.

— Jeśli masz do powiedzenia coś, czego Marek nie powinien słyszeć, to ja także nie chcę tego wiedzieć!

— Proszę, Marku, zostaw nas samych! — naciskał Eryk.

Dziewczyna jednak podbiegła do przyjaciela i chwyciła go za rękę.

— Co dotyczy mnie, dotyczy także jego — zawołała i jednym tchem dodała: — Marek i ja... pobieramy się!

Jej słowa trafiły Eryka z taką siłą, że zupełnie nic zauważył, z jakim zdumieniem przyjął je rzekomy narzeczonny.

Na kilka chwil zapadła cisza. A potem Eryk obrócił się na pięcie i wyszedł. Słychać było, jak przemierza przedpokój, jak jego kroki zamierają na schodach. Potem trzasnęły drzwi wejściowe.

Sara spuściła głowę. Ona także chciała pospiesznie wyjść, ale Marek ją zatrzymał obracając za ramiona twarzą do siebie.

— Co tu się właściwie dzieje? O co chodzi z tym małżeństwem?

Kiedy nie odpowiadała, wzmocnił uścisk.

— Czy ja się wreszcie dowiem, co się wydarzyło w Szwecji?!

Umknęła mu wzrokiem i pokręciła w milczeniu głową.

— Co zaszło między tobą i Erykiem?

— Nie pytaj, proszę. Nie chcę o tym więcej myśleć. Naprawdę...

Uwolniła się z jego rąk i przeszła do przyległego salonu. Dogonił ją, kiedy siadała na szezłongu. Wyglądała tak nie-

szczęśliwie, a wyraz jej oczu był tak błagalny, że zrezygnował z wszelkich pytań, w zamian poprosił tylko:

— Jedźmy do domu!

Odchyliła głowę na oparcie.

— Nic nie rozumiesz. Ja tutaj czuję się jak w domu. Nie potrafię tego wyjaśnić, ale chcę tu zostać. Mój dom jest tutaj.

Ukląkł przed nią i wziął ją za rękę.

— Jeśli nie żartowałaś z tym małżeństwem... — Twarz mu złagodniała, a w oczach ujawniła się cała głębia uczucia. — Saro, wiesz, że w ten sposób uczynisz mnie najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Kocham cię. Będę cię strzegł. Spełnię każde twoje życzenie, wystarczy, że spojrzysz...

Nie broniła się, kiedy ujął jej twarz w dłonie i pocałował. Dobrze wiedzieć, że ją kocha. To pomoże pozbyć się z myśli koszmaru. Marek jest miły i uczciwy. Czyż dawniej się nawet w nim nie podkochiwała?

Dawniej, przemknęło przez głowę. W innym życiu...

— Mam tylko jedną prośbę—wyprostowała się. — Chciałabym przespać w tym domu jeszcze jedną noc. Rano będziemy mogli wyjechać.

Kiedy chciał protestować, położyła mu palec na ustach, a potem pocałowała tak słodko, że dosłownie rozplynał się z zachwytu.

— Okay, wobec tego jedziemy jutro rano. — Rozejrzał się z ociąganiem. — Naprawdę chcesz tu samotnie nocować? Nie będziesz się czuła nieswojo?

— Nie będę sama — wyjaśniła z lekkim uśmiechem.

W duchu jej nic dowierzał, ale nie wyrzekł ani słowa. Powiedziała: rano. To więcej, niż się spodziewał.

Eryk wypadł z *palazzo* jak burza. Po kilku krokach się jednak uspokoił. Musi jeszcze raz porozmawiać z Sarą, tym razem w cztery oczy. Może wówczas uda mu się ją nakłonić do słuchania, może ją przekona...

Trzeba tylko poczekać, aż wyjdzie Marek Loew.

Rozejrzał się i podszedł kawałek dalej do przystani przy sąsiednim domu. Stał za ledwie go skrywającym występem muru. Miał tylko nadzieję, że Marek prędko wyjdzie...

Nie czekał długo. Niespełna piętnaście minut później ujrzał wychodzącego młodzieńca. Nie obejrzał się, skinął na wodną taksówkę, natychmiast wsiadł i odwrócił się plecami do Eryka.

Po kilku chwilach ten ostatni ponownie przekraczał próg *palazzo*. Już na schodach dobiegły go dźwięki fortepianu. Poszedł ich śladem i znalazł Sarę w salonie. Zamyślona wygrała tęskną melodyjkę.

Siedziała odwrócona plecami do drzwi. Oparty o framugę, mógł przez chwilę chłonać jej widok.

Niebo się przejaśniło i słońce zajrzało do pokoju przez okno, przy którym stał fortepian. Sara podniosła głowę i zobaczyła w podniesionej kłapie odbicie Eryka. Natychmiast zdjęła ręce z klawiatury.

— Graj dalej — poprosił miękko.

Dziewczyna zerwała się gwałtownie i uciekła w odległy kąt salonu. Dogonił ją i przytrzymał za ramiona.

— Nie wyrzucaj mnie! Posłuchaj, co mam do powiedzenia! Każdy oskarżony ma prawo się bronić.

Sara musiała walczyć z dwoma wrogami. Jednym był ten mężczyzna, drugim — jej serce.

— Nie masz prawa nawet przebywać tutaj! — wykrztusiła drżącym głosem i wyrwała mu się. — Wynoś się!

— Posłuchaj...

— Precz!

Pokręcił głową.

— Dopiero gdy ci wyjaśnię...

Znowu mu uciekła. Teraz drżała na całym ciele.

— Kolejne kłamstwa, czy tak? — Głos się jej załamał.

— Nic widziałem się więcej z twoją matką. To, co było między nią a mną, skończyło się.

— Za późno! — zawołała, wybuchając szlochem.

Chciała wybiec z pokoju, ale Eryk jednym skokiem znalazł się przy niej i zablokował drzwi.

— Musisz mnie wysłuchać — błagał.

Odepchnęła go łkając.

— Nie dotykaj mnie!

Znów starał się ją zamknąć w objęciach. Broniła się zawzięcie.

Miała dużo siły, więcej niż Eryk świeżo po opuszczeniu szpitala. Kolejny cios Sary przewrócił go na kanapę, ale nie uwolnił jej z uścisku jego ramion.

Zagryzając wargi, okładała go pięściami i tym sposobem rozerwała mu koszulę. Jej oczom ukazała się czerwona, jeszcze nie zaleczona blizna.

— Co to jest? Co ci się stało? — Nie spuszczała wzroku z rany.

— Nic takiego. — Starał się ją uspokoić.

— Co ci się stało? — Z uporem ponowiła pytanie.

Wreszcie ugiął się i powiedział prawdę.

— Twoja matka... strzeliła do mnie.

Przez kilka sekund czuła się jak sparaliżowana.

— Moja matka? — powtórzyła bezdźwięcznie.

Spojrzała w oczy Erykowi i zrozumiała, że nie skłamał. To nie był chwyt, żeby ją skłonić do ustępstwa. Poza tym blizna stanowiła niezbitą dowód.

— Chciała cię zabić? — Głos Sary wciąż brzmiał nieswojo, dźwięczało w nim przerażenie.

— Nic wiedziała, co robi...

Eryk był zbyt przywoity, by oskarżać Inge. Przed wszystkim zaś nie chciał tego czynić ze względu na Sarę.

— Wiesz, co mnie uratowało? — Uśmiechnął się nagle.

— Ta nasza papierośnica, znaleziona pierwszej nocy koło zajazdu na przełęczy.

Oczy Sary wypełniły się łzami. Rzuciła się na Eryka, całowała jego tors, zraszając skórę słonymi kroplami.

— To ja jestem wszystkiemu winna — jąkała, szlochając.

— To moja wina. Gdybym nie przyjechała...

Kompletnie straciła nad sobą kontrolę i dlatego tym razem nie broniła się, gdy Eryk zamknął ją w ramionach.

— Nikt nie ponosi za to winy — zapewnił z przekonaniem. — To, co było między mną i twoją matką, to długa historia. Po prostu mnie wysłuchaj.

Pokręciła gwałtownie głową.

— Nie, nie teraz... To wszystko nie jest ważne.

Objęła go z całej siły.

— Mało brakowało, a byś nie żył. Nigdy bym cię już nie zobaczyła.

Objęła dłońmi jego twarz i przycisnęła wargi do ust Eryka.

— Chcę, żebyś mnie kochał.

Ze szlochem wtuliła głowę w zagłębienie jego szyi.

— Powinnam była wsiąść w samolot do Ameryki... albo do Japonii.

Głodził jej drżące plecy.

— I tak bym cię wszędzie znalazł. Nawet na końcu świata.

— Naszej miłości nie sprzyjają gwiazdy — wymamrotała z rozpaczą.

— Masz na myśli to zadrapanie? — roześmiał się cicho.

Starał się zbagatelizować ranę. Musiał doprowadzić do tego, żeby Sara przestała płakać.

— Nic byłbym prawdziwym Wylanderem, gdybym przeszedł przez życie bez szram. Mój pradziadek pojedynkował się z powodu kobiety. Mój dziadek otarł się o śmierć, gdy wyciągał z przerębli jakąś łyżwiarkę...

— A twój prapradziadek? — spytała machinalnie.

Wykorzystał ten moment na pocałunek.

— Ta historia prześladowałaby cię w snach.

Podciągnął ją w górę, położył na sobie i zaczął pieścić. Pomagała mu zdjąć sukienkę. Już nie budowała barier — nie teraz, nie dziś.

Chciała, żeby się z nią kochał. Eryk był przekonany, że ją odzyskał i wszystko będzie dobrze.

Zmierzchało, gdy ją opuścił, przyrzekłszy, że nazajutrz się zjawi i polecą do Sztokholmu.

Jego także poprosiła, by jej pozwolił samotnie spędzić jeszcze jedną noc w *palazzo* Tirtowej. I on z oporami się na to zgodził. Najchętniej nie wypuściłby już dziewczyny z ramion i ze swojego życia.

Wieczorem przyszedł Jules Dussere. Przyniósł ze sobą paczkę listów, przewiązaną czerwoną wstążeczką. Każdy

z nich opatrzony był kolorowym znaczkami i przeważnie niebieską nalepką poczty lotniczej.

Sara wyszła z nim przed dom, na przystań. Stała u jego boku, gdy wrzucał listy do wody. Zachował wszystkie i często do nich wracał, ostatni raz czytał je dzisiaj. A teraz, jego zdaniem, nadszedł czas, by się z nimi rozstać. Po jego śmierci nie powinny nikomu wpaść w ręce.

— // *ne faut jamais dire adieu* — mruzczał do siebie.
— *Toujours au revoir*.

Rozumiała te słowa: Nigdy nic mów „żegnaj”, zawsze „do widzenia”.

Wrzuciła do wody białą różę.

— Do widzenia — szepnęła łamiącym się głosem.

Wspólnie śledzili wzrokiem kwiat i obwiązaną paczuszkę, najpierw niesione prądem, wreszcie pogrążające się w wodzie.

Jules otoczył Sarę ramieniem.

— Kochała zabawę, uwielbiała wielkie bale, lecz nigdy nie zostawała do końca, zawsze znikała na długo przed nim.

Przytuliła policzek do dłoni Jules'a i tak weszli do domu.

Kiedy następnego dnia przed południem Eryk wysiadł z wodnej taksówki, by zabrać Sarę, wyszedł mu na spotkanie stary notariusz.

— Pan Wylander? — Upewnił się i gestem zaprosił Eryka do środka.

— Sara jeszcze nie gotowa?

W domu Jules Dussere ze współczującym uśmiechem wyjął z kieszeni kopertę.

— To dla pana. Sara wyjechała.

— Nie! — W Eryka jakby piorun strzelił.

Jules spoglądał na niego z wyrazem żalu w oczach.

— Przykro mi.

— Gdzie ona jest? — Eryk obracał w dłoniach wciąż zapieczętowaną kopertę.

Pomarszczona twarz Jules'a wyrażała głęboki smutek.

— Dała mi dla pana tylko ten list.

Gwałtownym ruchem rozerwał kopertę, wyjął arkusik i odwrócił się plecami do notariusza. Gdy po przeczytaniu, z trudem panując nad sobą, ponownie zwrócił ku niemu twarz, miał minę człowieka, który — całkowicie pewny swego przyszłego szczęścia — nagle ujrzał marzenia w gruzach.

— Nie powinien pan w tej chwili jechać za Sarą — powiedział cicho Jules. — Niech pan nie próbuje narzucić losowi swojej woli. Proszę zaufać upływowi czasu. Jeśli Sara jest panu przeznaczona, życie przywiedzie ją do pana, nawet gdy teraz siedzi w samochodzie z innym.

Oczy Eryka lśniły czernią.

— Nigdy pan nie walczył o kobietę? — syknął.

Jules Dussere podniósł obie dłonie gestem poddania.

— Walczyłem. I przegrałem.

Konrad Maienstedt dotarł do Monachium późnym wieczorem. Mimo to pojechał od razu do Marienbergu. Inga już spała. Także następnego dnia robiła wrażenie tak nieszczęśliwej i wyczerpanej, że postanowił wracać z nią nad Ammersee dopiero trzeciego dnia po południu.

Rozmowa z nią, jak się okazało, była do tej pory niemożliwa. Ukryta się za barierą milczenia, a Konrad z długoletniego gorzkiego doświadczenia wiedział, że perswazja w takich razach mija się z celem.

Podczas gdy żona szykowała się do podróży, profesor wyszedł z Peregriną na dziedziniec, gdzie stał zaparkowany range rover. Uścisnął jej rękę.

— Dziękuję ci — powiedział serdecznie. — Sądzę, że jesteś jedyną osobą, która była w stanie jej pomóc.

— Nie, nie mogłam jej pomóc, Konradzie — odparła z powagą. — Nie wiem, czy ktokolwiek to potrafi.

Chciała cofnąć rękę, lecz szwagier jej nie puścił.

Wyglądał na zmęczonego i chorego, więc ogarnęła ją fala współczucia.

— Jesteś pewien, że chcesz spróbować jeszcze raz? Nie wolałbyś się znaleźć w Hamburgu?

Przez chwilę zastanawiał się w milczeniu, a potem zaczerpnął głęboko powietrza.

— Zdecydowałem się na przeprowadzkę do Hamburga, nawet wbrew woli Ingi. Ale dopiero wtedy, gdy się lepiej poczuje. Jestem jej to winien.

Gdzieś na górze trzasnęły drzwi. Inga zeszła po kamiennych schodach. Starannie umalowana, wyglądała lepiej niż w ciągu kilku ostatnich dni. W dobrym humorze wzięła męża pod rękę.

— Możemy jechać.

Puściła jego ramię i z uśmiechem pocałowała Peregrinę w policzek.

— Do następnego razu. Było cudownie. Klasztorny spokój dobrze mi zrobił...

Zabrzmiało to tak powierzchownie uprzejmie, jakby się żegnała z gospodarzami jakiejś udanej weekendowej eskapady. Jakby się w ogóle nic nie wydarzyło.

Peregrina przełknęła ślinę. Przelotnie musnęła wargami czoło siostry.

— Uważaj na siebie — poprosiła z naciskiem.

Konrad jeszcze raz uścisnął jej rękę.

— Dzięki — powiedział wzruszony.

Potem podszedł do auta i otworzył przed Ingą drzwi od strony pasażera. Pozwoliła sobie pomóc przy wsiadaniu. Jeszcze przed sekundą gładka, uśmiechnięta mina uległa całkowitemu przeobrażeniu.

— Co ci powiedziała? — rzuciła podejrzliwie. — Mów! Na pewno mnie oczerniała.

Konrad nic na to nie odrzekł. Zamknął drzwi auta i obszedł samochód. Po chwili zapalił silnik i odjechał. W lusterku dojrzał machającą im Peregrinę.

Podróż do domu przebiegła niemal w milczeniu. Inga, skulona na siedzeniu, wyglądała przez okno. Konrad kilkakrotnie próbował nawiązać rozmowę, ale jego wysiłki za każdym razem okazywały się bezowocne, żona bowiem odpowiadała monosylabami. Paliła tylko papierosa za papierosem i promieniowała zimnym, wrogim niepokojem.

Ucieszył się więc, gdy zajechali przed dom.

Inga wysiadła pierwsza, zanim jej zdążył pomóc. Przepuścił ją przodem do holu, a kiedy w milczeniu skierowała się ku schodom na piętro, spytał:

— Potrzebujesz czegoś? Przynieść ci herbaty?

Pokręciła bez słowa głową, z dziwnym uśmiechem wyjęła z kieszeni spódnicy i podała mu jego zapalniczkę. Potem szybko wbiegła na górę, znikając w sypialni.

Profesor westchnął i rozpoczął niespokojną wędrówkę po salonie.

Myślał o Ellen. Brakowało mu jej radosnej kobiecości. Czy rzeczywiście pojmowała to, że jest teraz u boku Ingi? A może nie chciała go tylko dodatkowo obciążać? Jak wiele można w ogóle żądać od takiej kobiety jak Ellen?

Może jestem durniem, myślał, że wciąż się czuję odpowiedzialny za Inge. Owszem, jest chora. Ale czy chory ma prawo niszczyć życie innym?

Stanął koło telefonu zastanawiając się, czy powinien zadzwonić do Ellen. Po chwili spostrzegł kartkę, na której Vincenta zapisała, że Carmen Wylander w Sztokholmie prosi, by oddzwonił.

Z obawą wystukiwał numer telefonu. Czy coś się stało Sarze? Inga twierdziła, że córka została w Sztokholmie. Na pozostałe pytania o powód własnego nagłego wyjazdu nie udzielała odpowiedzi. Dlaczego jednak nie zadzwoniła Sara?

Konrad Maienstedt dowiedział się tego z rozmowy z Carmen. Długo zwlekała z wyłożeniem kawy na ławę, potem jednak doszła do wniosku, że powinien dowiedzieć się całej prawdy.

Czyn Ingi go przeraził. Próbowwała zastrzelić Eryka Wylandera...

Ciężko dysząc odchylił się na oparcie fotela. W piersi czuł tępy ucisk. Lewą ręką wymacał w kieszeni marynarki tabletki. Dzięki Bogu miał je przy sobie. Były niemal wszędzie — w laboratorium, w samochodzie, w sypialni i w kieszeniach rozmaitych ubrań.

— Jak się Eryk teraz czuje? — spytał, ciągle walcząc o powrót do równowagi.

Odpowiedź Carmen brzmiała pocieszająco. Miał wrażenie, że łatwiej mu już oddychać.

— Wypisali go ze szpitala. Wie pan, pomyślałam sobie, że Inga może panu nie powiedzieć prawdy... — Ściszyła głos. — W gruncie rzeczy powinna się poddać leczeniu psychiatrycznemu. Wydaje mi się, że jest ciężko chora.

Potem poruszyła temat Sary. Właściwym sobie spokojnym i rzeczowym tonem poinformowała, że dziewczyna nagle opuściła Sztokholm. O strzałach do Eryka nic wic, natomiast dowiedziała się o romansie między nim i matką. To wystarczyło. Profesor nie powinien się denerwować. Sara jest w Wenecji pod opieką *madame* Tirtowej, starszej damy, światowej sławy projektantki kostiumów, znanej w środowisku filmowym i teatralnym. Ona najlepiej zatroszczy się o jego córkę.

Po tej rozmowie Konrad dobrą chwilę siedział w fotelu, utkwivszy nieruchomy wzrok w przestrzeń. Potem poszedł na górę do sypialni żony. Od dawna spali osobno. Zapukał krótko i wszedł. Inga zaciągnęła story we wszystkich oknach, toteż pokój tonął w półmroku. Drzwi do łazienki stały otworem. Sączyło się stamtąd światło i dobiegał szum suszarki do włosów.

— Sara jest w Wenecji — zawołał w głąb sypialni.

Inga pojawiła się na progu łazienki z suszarką w ręku. Miała na sobie jasny frotowy szlafrok.

— Co mówiłeś?

— Sara jest w Wenecji — powtórzył.

Wyłączyła suszarkę i zaczęła wycierać jeszcze wilgotne włosy ręcznikiem. Wyminęła męża, podchodząc do starego kryształowego lustra.

— Dzwoniła? — rzuciła z pozoru obojętnie.

Konrad stanął z tyłu za nią.

— Nie. Dowiedziałem się od Carmen.

Dostrzegł w lustrze, że się przestraszyła. Na moment opuściła ręce, powieki jej zatrzepotały. Potem wróciła do wycierania włosów, lecz przyspieszyła tempo.

— Carmen jest do mnie wrogo usposobiona — odezwała się ostrym tonem, ale wzrok zachował czujność. — Co ci naopowiadała?

Konrad wyczerpany opadł na fotel.

— Ingo, co się stało, to się nie odstanie. Dajmy temu spokój. Nie wydaje mi się, żeby rozmowa na ten temat miała jakiś sens.

Odłożyła ręcznik i raptownie odwróciła się w jego stronę.

— Wszystko zasypać, pogrzebać, przyklepać! Tego właśnie chcesz. Ale nie dlatego, że przebaczasz. Nie, po prostu tak jest wygodniej. Mnie na przykład pogrzebałeś już w momencie, gdyśmy się pobrali.

Przestań, pomyślał umęczony. Dłużej nie wytrzymam. Ściskanie w okolicy żołądka nasiliło się do poziomu bólu promieniującego na lewe ramię i bark. Zamknął oczy i rozpoczął walkę o oddech.

Nie widziała tego. Znowu przeglądała się w lustrze.

— Tę piękną, młodą dziewczynę, która wierzyła, że właśnie zaczyna życie. Pogrzebałeś ją. — Głos nabrał tonów hysterii. — Cóż, teraz wiem, co mam zrobić. Pójdę na policję i powiem im wszystko. Chcę mieć proces. Chcę, żeby się wszyscy dowiedzieli, co się stało.

Tymczasem Konrad za plecami Ingi wygrzebał z kieszeni i pospiesznie połknął dwie tabletki. Nabrał już takiej wprawy, że nawet nic musiał popijać.

— Pozostaje tylko pytanie — zaśmiała się złośliwie — czy ty będziesz zeznawać na moją korzyść czy przeciw mnie.

Jak zwykle lekarstwo rozszerzające naczynia zadziało prawie natychmiast. Konrad poczuł się lepiej i mógł już oddychać, nie czując bólu.

Podeszła do fotela, oparła ręce o poręcz i pochyliła się z pałającym wzrokiem nad mężem.

— A może byłbyś raczej jednym z oskarżycieli?

Ona jest naprawdę chora, pomyślał. Ale jak jej pomóc?

— Ingo, proszę! — Chwycił ją za ręce. — Nie jestem twoim wrogiem. I nigdy nie byłem.

Na ułamek chwili ciemność, w którą coraz głębiej zapadała, rozjaśniła się. Dostrzegła uczciwą i ciągle jeszcze pełną życzliwości twarz męża. Opuściła głowę i jak przestraszone dziecko wybuchnęła płaczem.

— Gdzie Sara? — spytała Carmen Wylander, kiedy syn wkroczył do jej gabinetu w Sztokholmie. — Myślałam, że ją przywieziesz.

— Ja też tak myślałem — odparł ponurym głosem i rzucił ciemną marynarkę na krzesło.

Wstała i wyszła zza biurka.

— W ogóle się z nią nie widziałeś? — spytała nieprzyjemnie zaskoczona.

— Owszem, widziałem.

Gwałtownym ruchem wyciągnął z kieszeni list Sary.

— I o to właśnie chodzi. Dziś rano przyszedłem po nią. Wtedy wręczono mi ten list.

— Mogę przeczytać? — Wyciągnęła rękę.

Wzruszając ramionami podał jej kopertę.

— Może ty coś z tego zrozumiesz. Ja nic nie pojmuję.

Carmen włożyła okulary i przebiegła oczami kilka linii napisanych przez Sarę. Tymczasem Eryk zapalił papierosa. Szybkim krokiem przemierzał pokój, zaciągając się nerwowo. Kiedy matka opuściła list, odwrócił się do niej.

— I co? Rozumiesz? Ona mnie kocha, a ponieważ mnie kocha, to prosi, żebym o niej zapomniał.

Carmen bez słowa złożyła papier, wsadziła z powrotem do koperty i oddała synowi.

Minę miał tyleż zagniewaną, co nieszczęśliwą.

— Boję się, że ją straciłem — wyznał, gasząc papierosa i natychmiast zapalając następnego. — Jeśli mi nie przebaczyła teraz, to nie przebaczy już nigdy.

— To nie ma nic wspólnego z przebaczeniem — odezwała się zamyślona matka.

— Więc z czym? — spytał gorzko. — Wiem przecież, że mnie kocha. Jestem tego pewny.

Podszedł do okna i wyjrzał na ulicę.

— Nigdy nie sądziłem, że kiedykolwiek będę tak szczęśliwy jak z Sarą. Nie znoję jej utraty. Powiedz, co mam robić!

Carmen w milczeniu obserwowała syna, a teraz wzruszyła ramionami.

— Nic. Zupełnie nic.

— Mamo! — odwrócił się raptownie. — Nie wiesz, co ryzykuje!

Wiedziała, oczywiście. Ale równie dobrze wiedziała, że winę za obecną sytuację ponosi także Eryk. Co jednak da, jeśli mu o tym przypomni? Sam się przecież dawno do tego przyznał.

Zaczynała się poważnie martwić o syna.

Miłość oznaczała dla niego przedtem jedynie podniecającą erotyczną przygodę i jako matka czasem się zastanawiała, czy mu to na dłuższą metę wystarczy.

Brak uczuciowego przywiązania Eryka do kochanek — a miał ich w życiu kilka — nie podobał się Carmen. W końcu ona także była kobietą i nigdy by się nie zadowoliła rolą wyłącznie łóżkowej partnerki.

Potem jednak pojawiła się Inga i Eryk po raz pierwszy ujawnił głębsze uczucie. Ten związek nie uwolnił wszakże Carmen od trosk. Od początku się obawiała, że któregoś dnia to wszystko zakończy się katastrofą.

I oto katastrofa nadeszła, jeszcze gorsza, niż sobie wyobrażała.

Potrafiła jednak także zrozumieć Sarę. Szok wynikający z odkrycia, że własna matka była kochanką Eryka, utkwiał głęboko. Czy dziewczyna się kiedykolwiek z niego wyleczy?

Carmen prosiła Svena Rasmussena, żeby się nieco zatroszczył o Eryka, czymś go zajął, zainteresował. Dlatego z ulgą dowiedziała się, że syn przyjął propozycję przyjaciela i po południu razem wybierają się na Oestrot, na ryby. Wszystko było lepsze od tej beznadziejnej apatii, która go ogarnęła po powrocie z Wenecji.

Oprócz wędek mężczyźni zabrali też z domku myśliwskiego strzelby. Uwiązali łódkę przy brzegu i poszukali miejsca na szkiełach, a potem Rasmussen przeczyścił i załadował na nowo broń. Uczyniwszy to, sięgnął po zabraną ze sobą pier-

siówkę i pociągnął z niej łyk. Następnie podał płaską butelkę przyjacielowi.

Wyrwany z zamyślenia Eryk łyknął spory haust i spojrzał na przyjaciela smutnym wzrokiem.

— Wiesz, co ci powiem, Sven? Zazdroścę ci. Powiniennem być pójsć w twoje ślady. Rodzina, dzieci...

— Ja ci tam kłód pod nogi nie rzucałem — rzekł Rasmussen z krzywym uśmiechem.

— Co racja, to racja. — Eryk zachował powagę. — Zawsze mi się wydawało, że to dla mnie nie ma znaczenia. A teraz, kiedy mógłbym sobie wyobrazić, że... — przerwał i zwiesił głowę.

— A teraz co?

— Boję się, że ją straciłem — wyznał, nie podnosząc oczu. — Wychodzi za innego.

Kiwnął parokrotnie głową, jakby do swoich myśli.

— Mogłem się tego spodziewać. Psiakrew, Sven, mam za swoje! Powiniennem być od razu porozmawiać z Ingą. Wtedy obleciał mnie tchórz, a teraz to się mści. Utraciłem Sarę.

— Poddajesz się? — spytał z niedowierzaniem Rasmussen. — Zanim jeszcze na dobre zaczęłaś o nią walczyć? Eryku, nie poznaję cię! — Szturchnął go po przyjacielsku w bok.

Eryk podniósł wzrok.

— Cholera, masz rację! — wykrzyknął zdumiony i uśmiechnął się. — Muszę o nią walczyć.

Wstał i przeciągnął się. Cała apatia nagle opadła, jak z zadowoleniem zauważył przyjaciel.

— Jedno jest pewne. Nie opuszczę tego padołu, nim nie spłodzę przynajmniej trzech synów! — zawołał Eryk i zaczął się wspinać po skalistej ścieżce do domku.

— Piszę się na ojca chrzestnego! — zapowiedział rozweselony Rasmussen i dogoniwszy go, huknął Eryka w plecy. — Najwyższy czas!

Konrad Maienstedt zapisywał właśnie wyniki obserwacji w laboratorium, gdy Inga wyszła na dwór w eleganckiej, czar-

nej wieczorowej sukni z dopasowanym koronkowym bolerkiem, z kunsztownie upiętymi włosami i starannym makijażem.

Mąż spojrział na nią ze zdziwieniem.

— A więc jednak wybierasz się do opery?

— Od tygodni zabiegałam o bilet na to przedstawienie — odparta ostro. — Nie zmarnuję go teraz.

Pokręcił głową.

— Nie rozumiem cię, Ingo. Wiesz, że dziś wieczorem wraca Sara...

— Kiedy Marek dzwonił, byli dopiero na przełęczu Brenner — wpadła mu w słowo. — Mogą przyjechać późno.

Konrad spojrział jej prosto w oczy.

— Boisz się tego spotkania.

Drwiąco wzruszyła ramionami.

— Stałabym jej tylko na drodze do szczęścia. Jak każdemu. Ty też ledwo mnie znosisz. Gdyby w tobie drzemał choć ślad uczucia — dodała prowokującym tonem — nie byłbyś w stanie mnie ścierpieć.

Pominał milczeniem jej agresywne słowa.

— A jeśli cię poproszę — zastosował najmiłszy ze swoich uśmiechów — żebyś nie wychodziła, żebyś została?

Na moment opadło z niej napięcie, ale zaraz na powrót zapaliły się w oczach złośliwe ogniki.

— Chciałbyś wznowić szeroko oklaskiwany spektakl pod tytułem „Szczęśliwi Maienstedtowie” — powiedziała z ironią w głosie. — Mamy sobie usiąść w altance i w migotliwym świetle lampionów wyczekiwać przyjazdu naszej ukochanej Sarusi oraz skakać z radości na myśl o przyjęciu inauguracyjnym w naszym nowym domu w Hamburgu. — Roześmiała się ze złością. — Dziecinna igraszka, bo przy układaniu listy gości będzie mi służyć radą przyjaciółka od serca, Ellen Vondrowski... Z tobą na środku maneżu, jako z pogromcą demonstrowującym tresurę dzikich zwierząt bez pejsza... niemal Bóg Ojciec we własnej osobie!

Konrad wstał. Był blady, wokół ust miał siną obwódkę.

— Kiedy zaczęłaś mnie tak nienawidzić? — spytał bezbarwnym głosem.

Inga odrzuciła głowę w tył.

— Może zawsze cię nienawidziłam — odparła, odchodząc.

Wysokie obcasy stukały po płytkach, którymi wyłożona była drożka. Chciał pójść za nią, lecz już nie zdołał.

Łapiąc z wysiłkiem powietrze, opadł na fotel i gwałtownym ruchem rozerwał kołnierzyk koszuli. Z wykrzywioną bólem twarzą przycisnął rękę do piersi, drugą zaś wyciągnął z kieszeni spodni tabletki i natychmiast połknął.

Skurcz powoli mijał. Konrad nic ruszał się jeszcze przez kilka chwil z fotela, odchylił głowę na oparcie i łapczywie nabierał powietrza w płuca.

Nie miał się co oszukiwać. Ataki stawały się coraz silniejsze i coraz częstsze. Najwyższy czas położyć się do szpitala.

Sara i Marek dojechali do przedgórza Alp w okolicy Aramersee pod wieczór. Było jeszcze jasno, toteż chłopak, rzuciwszy okiem na drogowskaz, stwierdził:

— Za jakieś pół godziny będziemy na miejscu.

Sara nie odezwała się. Rzucił jej szybkie spojrzenie.

— Zmęczona?

W odpowiedzi otrzymał jedynie milczące zaprzeczenie ruchem głowy.

Im bliżej domu, tym bardziej nieswojo się czuła. Czemu nic została w Wenecji! I dlaczego, u Boga Ojca, powiedziała, że chce wyjść za Marka!

Obserwowała jego profil, silne dłonie na kierownicy suzuki i czuła się, jakby wpadła w pułapkę. Przecież go wcale nie kocha!

Ale może to właśnie dobrze. Kiedy się kocha, można zostać zranionym. Miłość każe cierpieć. Miłość powoduje rany, które się źle zrastają i pozostawiają brzydkie, bolesne blizny.

W małżeństwie z Markiem to się jej nie przydarzy.

Jego głos przerwał rozważania.

— Jest jeszcze coś do jedzenia?

Sara sięgnęła ręką na tylne siedzenie i postawiła sobie na kolanach dużą torbę podróżną. Przejrzała jej zawartość i pokręciła głową.

— Nie ma.

— Jak znam Vincentę — stwierdził z cichym śmiechem — to u was stół się ugina od portugalskich przystawek.

Odstawiła torbę na miejsce i splótła ręce na karku.

— Chyba zwariowałam, że z tobą wracam. Sama nie wiem, czego tu szukam.

— Jeśli wolisz przenocować u mnie — odezwał się natychmiast — to jutro wpadniemy po twoje rzeczy.

— Nie. — Westchnęła głęboko. — Muszę przez to przejść.

Kiedy zajechali przed dom Maienstedtów, Marek chciał jej towarzyszyć, ale poprosiła, żeby jechał prosto do siebie. Umówili się na telefon następnego dnia.

Nic spodobało mu się to, lecz jak zawsze ustąpił.

Konrad Maienstedt siedział nad jeziorem w towarzystwie Kapitana i to właśnie pies pierwszy zauważył przyjazd Sary. Zerwał się z radosnym skomleniem i podbiegł do pani.

Sara także już dostrzegła ojca i rzuciła się ku niemu.

— Saro, dziecinko! — szepnął z miłością na jej widok.

Przytuliła się do jego pleców.

— Tatusiu...

Długo nie przerywali uścisku. Konrad gładził dłonie córki.

— Nareszcie wróciłaś...

O nic nie pytał, niczego jej nie wyrzucał. Naprawdę najcudowniejszy ojciec na świecie.

— Już sobie wyobrażałem, że mnie potrzebujesz. — Uśmiechnął się. — A tymczasem jest odwrotnie. To ja do ciebie tęskniłem. — Spojrzenie mu spochmurniało. — Wiesz chyba, co się stało?

Skinęła głową i siadła obok niego na trawie. Przez chwilę spoglądali w milczeniu na jezioro skrzące się w ostatnich promieniach słońca.

Dziewczyna nachyliła się i zanurzyła rękę w wodzie. Kiedy ją wyjęła, lśniły na niej perłowym blaskiem drobne krople.

— Pamiętasz, jak się bawiliśmy w posypywanie jeziora gwiazdami? — zagadnęła, a ojciec skinął w zamyśleniu.

Zebrała kilka kamyczków i wrzuciła jeden za drugim do wody. Krople pryskały w górę, a w miejsce kamienia pojawiały się drobne kręgi. W promieniach zachodzącego słońca wyglądało to rzeczywiście tak, jakby w wodzie rozbłyskiwały gwiazdy.

— Cóż, inne gwiazdy były dla ciebie za daleko — roześmiał się cicho ojciec. — Ciągłe mnie zamęczałaś tą zbyt wielką odległością do gwiazd i pytaniami, dlaczego tak jest.

Oczy Sary rozszerzyły się tęsknotą.

— No więc, dlaczego tak jest? Powiedz, czemu jest tak daleko do gwiazd?

Z czułością oparł czoło o jej głowę. Pochwyciła jego dłoń.

— Muszę ci coś powiedzieć. Wychodzę za Marka. Już niedługo.

Spojrzał na nią zaskoczony.

— Za Marka? Myślałem, że kochasz...

Zamilkł i zagryzł wargi.

— Jesteś taka młoda. Czemu ci tak spieszą?

— Muszę się stąd wyrwać — szepnęła i nagle opuścił ją łagodny nastrój. — Matka i ja nie możemy już mieszkać pod jednym dachem.

— Może pojedziesz ze mną do Hamburga? Wyjeżdżam jutro rano.

— Nie będę uciekać.

Otoczył ją ramieniem.

— Nie gniewaj się na mnie za to pytanie, ale czy małżeństwo z Markiem nie jest formą ucieczki?

Odpowiedzi nie było. Położyła głowę w zagłębieniu między ramieniem i szyją ojca, a kiedy ją przytulił, kilkakrotnie uderzyła pięścią w jego pierś, walcząc o zachowanie równowagi. Przegrała tę potyczkę i zanosła się cichym szlochem.

Wrócili do domu po zachodzie słońca. Kapitan odprowadził ich do drzwi, a potem jeszcze zniknął w krzakach, węsząc za jakimś tropem.

W salonie panował półmrok. Story w oknach były zaciągnięte. Konrad włączył górne światło i ujrzał Ingę.

Wciąż miała na sobie wieczorową suknię, ale nie pojechała do opery. Siedziała na wyściełanym taborecie przy kominu. Obok na podłodze leżało koronkowe bolerko.

Sara zatrzymała się w drzwiach. Patrzyły na siebie przez ogromny pokój bez słowa, bez mchu. W końcu to Inga opuściła głowę i skrzyżowała ręce na piersiach, jakby zmarzła i próbowała się rozgrzać.

W duszy Sary coś pękło. Wydawało się jej, że nienawidzi matki, lecz zbyt długo ją kochała, by teraz nienawidzić. Tę piękną matkę, którą jako dziewczynka darzyła niezmiennym podziwem. O Boże, co się z niej zrobiło!

— Mamo! — zawołała zduszonym głosem i podbiegła do Ingi. — Zimno ci!

Podniosła z ziemi bolerko i narzuciła je matce na ramiona, a potem zamknęła ją w uścisku.

Konrad podszedł z drugiej strony i także ją objął, głaszcząc jej dłonie. W owej chwili narodziła się w nim nadzieja, że może jednak jeszcze wszystko będzie dobrze.

Ale nic nie było dobrze.

Nazajutrz przed południem Inga zajrzała do skrzynki i przywłaszczyła sobie list Eryka do Sary.

Konrad porannym samolotem poleciał do Hamburga. Od tej pory nękał ją nieustanny niepokój. Wszystko się jej wymykało z rąk. Wszyscy ją opuszczali. Całe życie rozpadało się na kawałki. Utraciła Eryka, a teraz chyba także Konrada. Ellen Vondrowski przyjmie go z otwartymi rękami.

A Sara?

Inga zacisnęła wargi w wąską linię. Sara zapewne najbardziej jej nienawidzi. Poprzedniego wieczoru tylko udawała, żeby uspić jej podejrzania. Sara jest córką Konrada, ci dwoje zawsze się trzymali razem. Na pewno dziewczyna będzie ją tu szpiegowała i donosiła ojcu w Hamburgu o wszystkich poczynaniach matki, dorzucając parę kłamstw.

Jeszcze przed wejściem rozerwała kopertę, adresowaną do Sary znajomym charakterem Eryka. Przeczytała list i wsadziła go do kieszeni spodni.

W domu położyła pocztę na biurku, by przejrzeć ją później, a list Eryka do Sary przeczytała raz jeszcze.

— Nigdy jej nie dostaniesz — wymamrotała pod nosem, zgniotła kartkę w kulkę i przysunęła sobie telefon.

— Z panem Wylanderem, proszę — odpowiedziała po zgłoszeniu się telefonistki z Grand Hotelu w Sztokholmie.

Zaraz potem usłyszała głos Eryka.

— To ja, Inga. Powiem ci tylko jedno — mówiła, nie dając mu dojść do słowa. — Zostaw w spokoju moją córkę! I oszczędź sobie listów, bo ona ich i tak nie dostanie. Żadnego.

Przerwała połączenie.

Eryk nie odłożył jeszcze słuchawki, dopiero po chwili, kręcąc głową, położył ją na widełki.

— Inga? — spytała matka, odwracając się od okna w jego biurze.

Gdy potwierdził, zmarszczyła czoło.

— Że też ma czelność...

— Przejęła list, który napisałem do Sary — przyznał się ze smutkiem.

Carmen energicznie podeszła do biurka.

— Wysłuchaj mnie uważnie choć raz. Gwiazdy najwyraźniej nie sprzyjają twojemu uczuciu do Sary... — Chciała mówić dalej, ale przerwał jej w pół słowa.

— Nie wierzę w przychylność bądź złe zamiary gwiazd. Wiem tylko jedno: kocham Sarę.

Nieco później, gdy Carmen poszła omówić jakąś sprawę z Rasmussenem, znowu odezwał się telefon.

Tym razem dzwoniła Sara. Czuła, że popełnia błąd, że to kompletna głupota, ale chciała po prostu usłyszeć jego głos. Na pewno już wrócił do Sztokholmu.

Kiedy odebrał z krótkim „Wylander”, ogarnęła ją fala ciepła. Jakże go kocha! Jak straszliwie za nim tęskni! Scisnęła w rękę słuchawkę i nie odważyła się wydusić ani słowa. Co mu zresztą powie? Napisała przecież wszystko, co trzeba.

— Sara? — Usłyszała jego pytający głos.

Milczenie po drugiej stronie zdradziło mu, że to ona.

— Cieszę się, że zadzwoniłaś.

Usłyszał szumy i trzaski na linii i dorzucił pośpiesznie:

— Saro, proszę, nie odkładaj słuchawki! Napisałem do ciebie list. Ale Inga... twoja matka go przejęła. Saro... napisałem, że cię kocham...

Teraz wydało mu się, że słyszy jej oddech, ale nie odzywała się w dalszym ciągu. A potem połączenie zostało przerwane. Po prostu odłożyła słuchawkę.

Sara spuściła głowę. Ten telefon do Eryka był błędem. Tylko wszystko skomplikował. Ale przynajmniej wie, że jest w Sztokholmie, pod opieką Carmen i Svena Rasmussena. Ma też swoją pracę w hotelu. I dobrze. Jej, Sarze, nie pozostało nic poza torturą myśli...

Powoli wróciła do swojego pokoju.

Przy biurku zastała matkę przeglądającą pamiętnik, który ojciec podarował jej w dniu powrotu z Marienbergu.

Nie zapisała w nim ani linijki. Bo i kiedy?

Nowe przeżycia, które na nią spadły jak burza — miłość do Eryka, ich wariacka, cudowna podróż na południe, lot do Sztokholmu i wszystko, co się tam wydarzyło — trzymały ją w takim napięciu, że nie znalazła ani chwili, by je zanotować.

Wszystko przeminęło z prędkością lawiny.

Tylko na pierwszej stronie, zaraz za okładką, Sara przyklepiła obrazek prawosławnego krzyża, znaleziony w domu Tirtowej.

Inga nie czuła się w najmniejszym stopniu zażenowana tym, że myszkuje w rzeczach córki.

Zamknęła energicznie zeszyt.

— Śmieszny ten pamiętnik. Rzeczywiście jesteś córeczką swojego tatusia. Kim właściwie była ta Tirtowa?

— Osiadła w Wenecji, na mieliznie życia, Rosjanką — odrzekła Sara.

Może opowiedziałyby więcej o swojej przyjaciółce, lecz matka nic wykazała zainteresowania. Odłożyła tomik na stół.

— Dobrze, że wychodzisz za Marka. Możesz wziąć moją suknię ślubną.

Obraz matki, którą Sara kochała i podziwiała, blakł z minuty na minutę, stawał się z wolna omamem, jakby go w rzeczywistości nigdy nie było...

— Dzięki — odparła szorstko. — Chcę mieć własną suknię.

Inga spacerowała swobodnie po pokoju. Zdjęła z regału krasnalową i przyglądała się jej z odrazą. Sara wyjęła jej figurkę z rąk. Matka nie stawiała oparu. Wbiła wzrok w córkę.

— Kiedy to się zaczęło między tobą a Erykiem?

— Już się skończyło. Zapomniałam — rzuciła dziewczyna z dalekim, smutnym uśmiechem. — A ty, mammo, nie możesz o tym zapomnieć?

Inga wybuchnęła histerycznym śmiechem.

— Pasowalibyście do siebie. Eryk bez serca i ty bez serca! Sara nie spuszczała z niej oczu.

— Ty za to masz serce, prawda, mammo? I dlatego ukradłaś jego list?

Przez chwilę Inga nie wiedziała, jak zareagować. A więc dzwonią do siebie, Eryk i ta mała...

— Tak ci powiedział? — Wygięła pogardliwie wargi.

— Jak twoim zdaniem miałabym skraść list, którego nie było?

— znowu się roześmiała. — Czekasz na list od Eryka? Biedactwo! Mężczyźni tacy jak on... Lubią być kochani. Ale nie wyobrażaj sobie, że on pokocha ciebie. Byłaś dla niego zabawką, tak samo zresztą jak ja.

Nie, pomyślała Sara. Mnie kocha, nawet jeśli nie chcesz tego przyznać. A jednak musiałam go opuścić. Prawdopodobnie ty tego w ogóle nie rozumiesz... Dla ciebie liczy się tylko zwycięstwo, obojętnie czym kosztem.

Inga ugięła się pod spojrzeniem córki.

— Co się tak na mnie gapisz? Mówię prawdę. Nie patrz tak na mnie! — Głos jej się załamał.

— Żal mi cię, mammo — powiedziała Sara zupełnie szczerze.

Cały czas wpatrywała się w matkę, aż ta z jękiem odwróciła się na pięcie i wybiegła z pokoju. Sara podeszła do magnetofonu i włożyła kasetę. Rozległa się melancholijna, wolna melodia.

Nar och ses vi igen, pomyślała. Było to zdanie z lekcji szwedzkiego, a znaczyło mniej więcej: Kiedy cię znowu zobaczę?

Podeszła do okna i zapatrzyła się w widok na dworze.

Nie, nie będzie *revoir*.

Godzinę później Inga zniosła z góry walizkę i torbę. Vincenta, która akurat podlewała kwiaty w przedpokoju, spojrzała na nią ze zdziwieniem.

— Ależ proszę pani! Nie uprzedzała pani, że wyjeżdża.

— Lecę do Hamburga — rzuciła Inga, jakby to była najnormalniejsza rzecz pod słońcem. — Do męża. Muszę przy nim być.

Gospodyni, kręcąc głową, śledziła, jak wychodzi z domu i czeka na zewnątrz na taksówkę, która ją miała zawieźć na monachijskie lotnisko.

Inga podjęta tę decyzję zupełnie spontanicznie. Nie podda się bez walki. Konrad nadal jest jej mężem, jedynym człowiekiem, który jej pozostał. Z jakiego powodu miałyby go dostać ta Vondrowski?

Konrad ma dobre serce i łatwo ustępuje, na pewno nie wygoni własnej żony...

W rzadkich momentach uczciwości wobec siebie samej Inga przyznawała, że oczekuje od niego rzeczy niemożliwych do spełnienia. Mimo to dotąd nie wyciągnął z tego żadnych konsekwencji. Tym razem też nic nie robi. Już ona się postara temu zapobiec.

Sara obserwowała odjazd matki przez okno. Nie pożegnała się z nią, ale z ulgą przyjęła informację Vincenty, że Inga poleciała do Hamburga. Trochę tylko przygnębiała ją samotność.

Wprawdzie umówili się z Markiem na telefon, lecz Sara postanowiła bez namysłu, że pojedzie do niego do pensjonatu.

Znalazła go przy boksach dla koni. Nie zajmował się wszakże zwierzętami, lecz majsterkował przy oldtimerze dla Sary. Nareszcie natrafił na odpowiednią kierownicę; właśnie zdą-

żył ją zamontować. Kiedy dziewczyna nadeszła, leżał pod samochodem i dokręcał jakieś śrubki.

Usłyszawszy jej głos, natychmiast wyczołgał się spod auta.

— Pojutrze możemy wziąć ślub — powiedział rozpromieniony. — I będzie po sprawie.

Sara głaskała powoli łeb ciekawskiego konia, który wyjrzał z boksu.

— Aż tak strasznie mi się nie spieszy.

— A mnie tak! Inaczej znowu się rozmyślisz! — Wytarł pobieżnie ubrudzone smarem ręce w jakiś stary gałgan.

Sara przyglądała się pięknemu antykowi, przesuwając czubkami palców po lakierze. Marek podskoczył przestraszony, gdy zniehacka nacisnęła klakson. Rozległ się głośny, kwaczący dźwięk.

— Rozmawiałem z ojcem. Mogę rozbudować dla nas strych. Do tego czasu zamieszkamy w moim pokoju.

Chciał pocałować dziewczynę w usta, ale odwróciła głowę w bok i jego wargi trafiły na policzek.

— Nic musimy tu zostawać — bąknęła nerwowo. — Jedźmy gdzieś, Marku. Na przykład do Ameryki.

— A może do Szwecji? — spytał w rzadkim napadzie zgryźliwości.

— Nie! — zaprzeczyła tak gwałtownie, że natychmiast pożałował swych słów.

Spuściła głowę. Dotknął jej policzka i zmusił, by spojrzała mu w oczy. Nagle zrobił się poważny, niemal surowy.

— Nie będziemy uciekać, przed nikim — odezwał się zdecydowanie. — Chcę prawdziwego ślubu, w tutejszym kościele w obecności naszych rodzin.

— Ale nie w bieli — zaprotestowała, kierując wzrok na skórzane obicia auta.

Ponownie odwrócił jej twarz ku sobie.

— Właśnie w bieli — odparł pewnym głosem i pocałował dziewczynę.

Zrozumiała, o co mu chodzi: chciał zignorować przeszłość. Kochał ją taką, jaka jest. Wspaniały, dobry Marek! Oddała pocałunek ze świadomością, że oto zamknęła się pułapka, którą sama na siebie zastawiła.

Nie została długo. Wymówiła się planowaną wizytą w Marienbergu. Peregrina nie wiedziała o zbliżającym się ślubie i Sara pomyślała, że lepiej będzie zawiadomić ją osobiście niż przez telefon.

W gabinecie przełożonej dwie siostry zajmowały się porządkowaniem wielkiej szafy na dokumenty, toteż ciotka wyprowadziła Sarę na zewnątrz. Idąc długim kamiennym korytarzem pod krzyżowymi sklepieniami, siostrzenica podzieliła się z nią nowiną. Peregrina stanęła i przyjrzała się dziewczynie. Nie wyglądała jej zdaniem dobrze, a przede wszystkim nie jak szczęśliwa naręczona. Dokładnie mówiąc, wyglądała na przeraźliwie nieszczęśliwą.

— Na pewno masz wiele powodów, żeby wyjść za Marka — rzekła ostrożnie. — Mnie interesuje tylko jeden: kochasz go?

Kiedy Sara nie odpowiadała, błędząc wzrokiem po kamiennych ścianach, byle nie spojrzeć ciotce w oczy, ta skinęła głową.

— Twoje milczenie jest także odpowiedzią.

Gestem znamionującym bezradność Sara odgarnęła kosmyk włosów z twarzy.

— Mężczyzna, którego kocham... — zaczęła niepewnie. — Uciekłam od niego.

Peregrina ściągnęła ciemne brwi.

— I chcesz go ukarać w ten sposób, że wychodzisz za innego? Ależ przez to karzesz przede wszystkim samą siebie. Dam ci, dziecko, radę: wracaj do domu i odwołaj ten ślub!

Sara wtuliła głowę w ramiona. Zrobiło się jej zimno mimo swetra z długimi rękawami.

— Za późno.

— Skoro jest za późno, to po co tu przyjechałaś? — spytała Peregrina, jak to ona, bez ogródek i owijania w bawełnę. — Co chcesz ode mnie usłyszeć?

Sara patrzyła na nią pustym wzrokiem.

— Nie miałam pojęcia, jak skomplikowane jest życie. Dlaczego nikt mnie nie uprzedził?

— Nie ma nic skomplikowanego w poślubieniu niewłaściwego mężczyzny — stwierdziła zakonnica w nadziei, że

ostre słowa przywróca dziewczynę do rzeczywistości. — To jedynie głupota.

Sara nie odpowiedziała. Trzymając się za ręce przewędrowały cały krużganek, a na jego końcu ciotka otoczyła siostrzenicę ramieniem.

Gdybyż jej potrafiła pomóc!

Konrad Maienstedt zaraz po przyjeździe do Hamburga wprowadził się do separatki w klinice profesora Ruhlanda. Zadbała o to Ellen Vondrowski. Uświadomiła mu, jakim brakiem odpowiedzialności się wykazał, do tego stopnia ignorując swoje zdrowotne problemy. Przecież odpowiada — po pierwsze za siebie, po drugie za Sarę, a po trzecie za instytut badawczy, który potrzebuje jego pełnego zaangażowania.

To zadecydowało.

Był sam w szpitalnym pokoju, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Pielęgniarka, która mu przed kilkoma minutami mierzyła ciśnienie, prosiła, żeby nie wychodził, ponieważ potrzeba jeszcze kilku dodatkowych badań.

Nim zdołał zawołać: „Wejść”, ktoś nacisnął klamkę i w pokoju pojawiła się Inga.

Prosto z lotniska pojechała do apartamentu gościnnego i nikogo w nim nie zastała, toteż z budki telefonicznej połączyła się z siedzibą koncernu Vondrowskiego. Tam dowiedziała się, gdzie szukać męża. Do kliniki przyjechała taksówką.

Konrad ledwo wierzył własnym oczom.

— Ingo! Skąd się tu wzięłaś? Skąd wiesz, że tu jestem?

Wydawała się zupełnie odmieniona, łagodna, kochająca i zatroskana.

— Idziesz na operację serca i nic mi nic mówisz. Przecież jestem twoją żoną...

Nie odpowiedział, przyglądał się jej badawczo. Czy rzeczywiście myśli to, co mówi? Czy też znowu odgrywa jedną ze swych niezliczonych ról?

Gdy podeszła do łóżka i siadła na jego brzegu, jej uśmiech sprawiał wrażenie otwartego i szczerego.

— Przecież mnie potrzebujesz, Konradzie. Kiedy cię operują?

— Nie wiem...

Położyła mu ręce na ramionach.

— Proszę, Konradzie, choć raz bądź poważny.

— Jeszcze tylko około dwóch tysięcy wstępnych badań — wyjaśnił mruklawie — a potem mogą już zacząć mnie kroić na kawałki.

Przyjrzał się jej uważnie.

— Jesteś całkiem blada. Stało się coś?

Zaczerpnęła powietrza i odpowiedziała dziarsko:

— To z powodu tych szpitalnych zapachów. Zawsze wtedy robię się blada jak trup.

Nic protestowała, kiedy ją do siebie przyciągnął, odwrotnie, przytuliła się czule do jego piersi. Konrad był wciąż jeszcze wytracony z równowagi, lecz jednocześnie rosła w nim oszałamiająca nadzieja, że tym razem Inga nie udaje. Przyszła tu z własnej woli i najwyraźniej postanowiła posklejać ten związek.

— Masz rację. — Roześmiał się. — Od szpitalnych zapachów można trafić do szpitala.

Puścił ją i włożył buty, ustawione pod łóżkiem.

— Chodź! Urwijmy się stąd! Urządzimy sobie elegancki wieczór w Hamburgu.

— A operacja? — zaprotestowała z troską.

Machnął ręką i włożył marynarkę. W głębi ducha bał się zabiegu, toteż przyjazd Ingi potraktował jako doskonały pretekst, by uciec choćby na chwilę przed tym wszystkim, co profesor Ruhland miał zamiar z nim wyprawiać.

— Tyle czasu ją odsuwałem na później, więc teraz też mi się nie spieszy. To, że do mnie przyjechałaś, jest o wiele ważniejsze.

Podniósł ją z łóżka i znowu zamknął w uścisku. Zamknęła oczy, kiedy ją całował. Przynajmniej jego nie utraciła. Nie wszystko w jej życiu zamieniło się w ruinę.

A przyszła tu z duszą na ramieniu. Co by zrobiła, gdyby ją wyrzucił, gdyby ważniejsza dla niego stała się Ellen Vondrowski? Nagle dobroć i cierpliwa wyrozumiałość męża wydały się

jej jedyną podporą. Potrzebowała go. Był jej obronną twierdzą.

Pamiętała, że dopuściła się wobec niego strasznych rzeczy, lecz chciała to teraz naprawić. Żeby od niej tylko nie odszedł!

W administracji Konrad zapowiedział, że jest zmuszony opuścić klinikę na kilka dni. Tak, oczywiście, wróci, gdy to tylko będzie możliwe. Potem wziął żonę za rękę i z dumną miną wyszedł na wolność. Taksówką pojechali do gościnnego apartamentu nad Alsterą.

A tutaj cud się powtórzył. Cud, który zdaniem Konrada przydarzył się Indze.

Ponownie stała się taka jak przed laty — łagodna, radosna i chętna do pieszczot.

Zamówił telefonicznie dwa bilety do teatru „Thalia”, gdzie tego wieczoru grano popularną komedię z gwiazdorską obsadą.

Inga przygotowała z produktów znalezionych w lodówce i spiżarni skromny posiłek, urozmaicony winem. Potem nadzedł czas, by się przebrać do teatru.

Konrad, już gotowy do wyjścia, wystukiwał na fortepianie jakąś melodyjkę, gdy żona, zawinięta tylko w ręcznik kąpielowy, z mokrymi włosami, wyszła z łazienki.

— Wiem, że się grzebałam — odezwała się ze skruchą — Teraz pójdzie już raz-dwa.

Konrad przyglądał się jej. Nieumalowana, bez zwykłych błyskotek, wyglądała niezwykle pociągająco. Kiedy wyciągnął ramiona, podeszła bliżej. Zabrał ręcznik, którym zaczęła wycierać włosy, i posadził ją sobie na kolanach.

— Zamoczysz się — zaprotestowała.

Roześmiał się tylko i mocno ją przytulił.

— Pamiętasz faceta, który kiedyś powiedział, że jesteś dla niego o wiele za piękna?

Wierciła się w jego objęciach.

— Zamoczę ci koszulę...

— Mam zapasową...

Jego głos był niższy niż zazwyczaj, z lekką zadyszka.

— Sztuka się zaczyna! — Bez przekonania podjęła jeszcze jedną próbę przywołania męża do rozsądku. Na próżno.

Konrad całował jej mokre włosy.

— Najlepszy jest drugi akt — powiedział czule.

Potem jego usta zsunęły się na szyję i nagie ramiona.

— Niewykluczone jednak, że będą musieli grać bez nas.

Nie obejrzelni ani drugiego, ani żadnego aktu. Zostali w domu i zachowywali się tak, jak u zarania ich miłości.

Inga topniała w ramionach Konrada. Rozkoszowała się jego dotykiem, pocałunkami, jego silną męskością. On z kolei upajał się świadomością, że odnalazł kobietę, która niegdyś znaczyła dlań wszystko.

W jakimś momencie — dzień zamienił się już w miękki, perłowy zmierzch — zadzwonił telefon.

Leżeli w skłębionej pościeli. Inga przytuliła się ciasno do Konrada i całowała jego nagi tors. Długo nic odbierali, aż wreszcie Konrad odwrócił się i chwycił słuchawkę z nocnego stolika.

Dzwoniła Sara.

Stała przy ściennym telefonie w stajniach przy pensjonacie i niecierpliwie czekała na zgłoszenie.

— Jeśli ojciec nie przyjedzie, ślubu nie będzie — powiedziała do Marka, który stał za nią.

Wcześniej ustalili, że się pobiorą jeszcze w tym tygodniu. To znaczy Marek zaproponował, a Sara się zgodziła.

Raptem sama nie chciała długo czekać. Wraz z małżeństwem zapadnie klamka i może wówczas odnajdzie wreszcie wewnętrzny spokój.

Marek pocałował ją w kark. Odsunęła się odrobinę. Twarz jej się rozjaśniła, gdy po drugiej stronie usłyszała głos ojca.

— Tato...

— Sara? — upewnił się zdziwiony i uradowany.

Inga przysunęła się znowu bliżej i łaskotała go. Próbował delikatnie odepchnąć jej rękę, więc pochyliła się i zaczęła obgryzać mu ucho.

— Pobieramy się w piątek — powiedziała Sara.

— Kiedy? — spytał zaskoczony. — Tak szybko? Wracamy najbliższym samolotem. — Roześmiał się. — Już jestem w smokingu. Do zobaczenia, dziecinko.

Odłożył słuchawkę i spojrzał na Inge.

— Sara i Marek biorą ślub w piątek. Cieszysz się?

Skinęła rozpromieniona, a potem wtuliła się znowu w jego objęcia i już jej nie puścił.

— Śnię — odezwał się cicho. — Dawniej potrafiliśmy znakomicie śnić na jawie.

— Jeszcze to udoskonalimy. — Położyła mu głowę na piersi. — Zaczniemy wszystko od początku...

W tej chwili Inga wierzyła w to, co mówi. I Konrad też. Dostali jeszcze jedną szansę.

— A Hamburg? — spytał z ociąganiem.

Zamknęła oczy. Język wędrował po jego torsie, wywołując drobne dreszcze.

— W Hamburgu takie można śnić...

Były to najpiękniejsze słowa, jakie mógł od niej usłyszeć!

Carmen Wylander odwiedziła syna na jachcie zakotwiczonym w małej przystani przed domem.

Kiedy schodzili z pokładu, wzięła go za rękę.

— Chodź, postawię ci drinka.

— O piątej po południu? — podniósł ze zdumieniem brwi.

— No, chodź! — nalegała, biorąc go pod ramię.

Cofnął się o krok. Zbyt dobrze znał matkę, by nie podejrzewać, że nic bez kozery wpadła niespodziewanie do niego. Zazwyczaj zapowiadała wizyty telefonicznie.

— Oszczędź mi tych tortur — poprosił.

Roześmiała się, zgadując, że ją przejrzał.

— Gdybym była mądrzejsza, trzymałabym język za zębami.

— Wiesz coś o Sarze — stwierdził raczej, niż zapytał.

Carmen skinęła głową.

— Ślub w piątek.

Sama dopiero co się dowiedziała. Zadzwoiła do Matyldy i gospodyni zdradziła jej datę.

Eryka trafiła ta wiadomość jak grom z jasnego nieba. Liczy na to, że Sara poczeka jeszcze kilka tygodni. Skąd ten pośpiech?

— Muszę się z nią zobaczyć. — Zagryzł wargi.

Carmen wiedziała, że nie ma za bardzo sensu go powstrzymać, lecz mimo wszystko próbowała.

— Twoje uczucie do Sary nie przyniosło ci do tej pory szczęścia. O mato nie zapłaciłeś za nie życiem. Nie prowokuj następnej katastrofy.

— Mamo, ja ją kocham — odparł.

Z westchnieniem zrezygnowała z dalszego przekonywania syna.

Jeszcze tego samego wieczora poleciał do Monachium, lecz poskromił niecierpliwość i dopiero nazajutrz po południu poszedł do Maienstedtów.

Otworzyła mu Vincenta, Sary nie było w domu.

— Poszła na zakupy — poinformowała Portugalka.
— Wyjechała wcześniej rano, więc właściwie lada chwila powinna się zjawić. Jeśli pan zechce poczekać, panie Wylander...

Wróciła pół godziny później. Kupiła ślubną suknię. Wyjęła z samochodu koronkowe marzenie, ukryte w plastikowym worku ochronnym.

Vincenta wyszła z kuchni na dźwięk kroków dziewczyny na marmurowej posadzce holu.

— Ktoś do ciebie przyszedł. — Gospodyni wyciągnęła rękę, by odebrać pokrowiec z suknią. — Daj, zaniosę ją na górę.

— Kto to taki?

Ostrożnie kładła Portugalce na wyciągniętych rękach szeszczące białe cudo z nieodłącznym welonem.

— Pan Wylander — odpowiedziała Vincenta i Sara natychmiast odebrała jej suknię.

— Gdzie on jest?

— W altance.

Dziewczyna obeszła dom, niczym tarczę ochronną dzierżąc przed sobą ślubny strój.

Eryk spacerował po altance niecierpliwie w tę i z powrotem. Nawet nie tknął przyniesionej przez gospodynię szklanki soku.

Usłyszawszy kroki Sary, wyszedł jej naprzeciw.

— Zjawiasz się o dwa dni za wcześnie — rzekła, patrząc mu w oczy. — Ślub jest pojutrze.

Nie zareagował na jej ironię.

— Pojutrze byłoby za późno — odparł poważnie.

Przyglądała mu się chłodnym wzrokiem.

— Za późno? Na co?

— Żadnego ślubu pojutrze nie będzie — stwierdził stanowczo. — Kocham cię, Saro.

Całe jej sztuczne opanowanie legło w gruzach. Na twarzy odbiło się wszystko, co naprawdę odczuwała: smutek, beznadzieja — i miłość.

— Kochasz Sarę, której już nie ma. Zmieniłam się. I proszę, Eryku, nie przychodź tutaj już nigdy.

Zabrzmiało to tak definitywnie, że nie potrafił się przeciwstawić. Rzucił dziewczynie ostatnie, długie spojrzenie; zapamiętał, z jaką determinacją przyciska do siebie suknię i wraca do domu.

Konrad i Inga Maienstedtowie przyjechali tuż przed północą.

Kiedy taksówka mijała posiadłość Wylanderów, Inga odwróciła głowę. Na piętrze, w pokoju Eryka, paliło się światło, włączono także oświetlenie zewnętrzne.

A więc jest w domu.

Poczuła, że wstrząsa nią dreszcz. Zwinęła dłonie w pięści.

I co z tego, pomyślała. Co mnie to obchodzi?

Wiedziała jednak, że się oszukuje.

Swoboda hamburskich dni pozostała za nią. Już na lotnisku w Monachium opadł ją znajomy niepokój. Nie potrafiła się przed nim bronić. Czy można zresztą zapobiec nocy i ciemnościom?

Przekroczywszy próg domu, miała wrażenie, że powraca do starego, znielowanego więzienia. Czasami mogła je opuszczać — i wtedy czuła się wolna. Tak było, gdy spotkała Eryka. Lecz ta wolność okazała się złudna, a Eryk wtrącił ją z powrotem za kraty. Natomiast Konrad...

Inga spojrzała ukradkiem na męża. Wyglądał na obrzydliwie zadowolonego. Strażnik więzienny, który ją tu trzyma w niewoli...

Śledziła go wzrokiem, gdy szedł na górę do pokoju Sary. Czyżby się chciał z nią jeszcze przywitać?

Ja nie, pomyślała. Z powodzeniem mogę poczekać do jutra.

Wyszła na taras i wpatrzyła się w jasno oświetlone okna pokoju Eryka.

Sara spała. Nie zauważyła powrotu rodziców. Nie obudziła się nawet, gdy przy jej łóżku stanął ojciec.

— Saro? — szepnął.

Odwróciła się tylko na drugi bok i spała dalej.

Spoglądał na nią przez chwilę ze wzruszeniem, potem pochylił się i pocałował córkę w policzek. Na palcach wyszedł z pokoju.

Schodząc na dół, usłyszał głos Ingi i podświadomie wyciszył kroki.

Opierała się o drzwi do salonu, rozmawiając przez telefon.

— Eryku, musimy się zobaczyć...

Odpowiedź była krótka i lodowata.

— Już nie.

— Dlaczego? I tak nic dostaniesz Sary.

Trzask w słuchawce uzmysłowił jej, że Eryk odłożył swoją.

Błędnym spojrzeniem ogarnęła pokój. Opuściła słuchawkę i odwróciła się na pięcie.

U stóp schodów z poszarzałą twarzą stał mąż.

— Ingo... — zaczął bezbarwnym głosem.

A więc wszystko po staremu — tajemnice, kłamstwa, przytyki. Jakimżc głupcem się okazał...

Nic odpowiedziała. Minęła go pospiesznie, wybiegając z domu.

Jakiś czas kręciła się bez celu nad brzegiem jeziora, próbując opanować rozdygotane nerwy. Nie udało się. Drżała jak w gorączce.

Muszę się zobaczyć z Erykiem, myślała. Muszę się z nim rozmówić. Przecież ta sprawa z Sarą się skończyła. Będzie ją sobie musiał wybić z głowy, skoro wychodzi za Marka. Zresztą i tak cała ta afera to tylko śmieszne nic. Właściwie zupełnie bez znaczenia. Nic wobec siedmiu lat ze mną. On do mnie wróci...

Kiedy dotarła do willi Wylanderów, pokoje pogrążone były w ciemności. Paliły się tylko lampy na zewnątrz. Obeszła dom, by wejść od tarasu. Drzwi zamknięto.

Szarpnęła za klamkę.

I wtedy w szybie ujrzała nagle odbicie wyłaniającego się z mroku Eryka. Obróciła się błyskawicznie i rzuciła ku niemu. Ujęła w dłonie jego twarz.

— Jakiś ty zimny. Poszedłeś nad wodę... Chodź, to cię ogrzeję.

Uchwycił jej nadgarstki i odsunął od siebie.

— Idź stąd. Nie chcę cię więcej widzieć.

Jak natrętna kotka nie data się odpędzić. Otoczyła go ciasno ramionami i usiłowała pocałować.

— Eryku! Nie mogę bez ciebie żyć. Nie odpychaj mnie! Kocham cię. Ty także mnie kochasz...

Nie chciał jej sprawiać bólu, ale nie mógł poradzić sobie inaczej. Był zmuszony użyć siły, żeby się od niej uwolnić.

Inga uderzyła w tarasowe drzwi.

— Potrzebuję cię — wyjąkała, wybuchając płaczem. — Eryku...

Kiedy otwierał zamek, chciała za nim wejść, ale odsunął ją i wszedłszy, zatrzasnął za sobą drzwi.

— Odejdź! Powiedziałem przecież, że cię nie chcę widzieć.

Patrzyła nań przez szybę i z jego miny odczytała coś, co ją unicestwiło: litość i odrazę.

Marek Loew obudził się w dniu swego ślubu bardzo wcześnie. Radość i podniecenie nie dały mu już zasnąć. Dziś Sara zostanie jego żoną, spełni się od dawna pielęgnowane marzenie.

Volkswagen oldtimer był gotów, naprawiony, złożony z niezliczonych trudno osiągalnych części. Poprzedniego wieczoru podjechał nim pod kościół i przybrał czerwonymi balonami w kształcie serca, a na chłodnicy zamocował podkowę. Samochód czekał teraz ukryty za belami słomy.

Jak wyjdą z Sarą z kościoła, usunie słomę i da jej auto w prezencie ślubnym.

Wstał z łóżka, ponieważ i tak nie był w stanie zasnąć. Wziął prysznic i ubrał się od razu w szary ślubny frak. W tym stroju, z usztywnionym gorsem koszuli, wydał się sobie niezwykle elegancki.

I niezwykle szczęśliwy.

Ciągnęło go do kościoła, mimo że czasu pozostało jeszcze sporo. Chciał dopatrzeć, czy wszystko zostało już przygotowane do ceremonii.

Z satysfakcją obrzucił wzrokiem udekorowany kwiatami ołtarz i bukietki zdobiące ławki. Nad wejściem stajenny z pensjonatu wieszał girlandę z gałązek jedliny, przybijając mocnymi uderzeniami gwoździe do muru.

Marek pokręcił się chwilę po świątyni, sprawdził długie białe świece w lichtarzach, zapalił jedną przed ołtarzem Matki Boskiej i podenerwowany wrócił do domu.

Ślub został wyznaczony na jedenastą. Została jeszcze godzina! Jak on ją wytrzyma?!

U Maienstedtów także trwały ostatnie przygotowania.

Sara miała już na sobie suknię. Haftowany gorset przylegał ściśle do ciała, podkreślając szczupłą, dziewczęcą talię. Szeroka spódnica przechodziła w niewielki tren. Na głowę założyła wianek z różowych i białych sztucznych różyczek. Ślubna wiązanka — wspaniały bukiet białych róż i orchidei, przywieziony przez Peregrinę — czekała w salonie na fortepianie.

Jedynie pasek nie dawał się opanować, przy każdym ruchu Sary guziki natychmiast się rozpinały. Yncenta właśnie

starała się zaradzić kłopotowi, bez namysłu zszywając oba brzegi.

Sara niecierpliwie przeglądała się w lustrze, gdy do pokoju weszła Inga. Podała córce szkatułkę z biżuterią.

— Weź, co chcesz — powiedziała.

Ona także ubrała się już na uroczystość — w wąską czarną sukienkę. Potem jeszcze narzuci na nią biały, naszywany cekinami jedwabny żakiet do bioder i będzie błyszczała przy każdym ruchu.

Sara rzuciła okiem do wnętrza skrzyneczki, a potem na swoje odbicie w lustrze.

— Nie założę biżuterii — zdecydowała.

Inga zatrzasnęła wieczko.

— Jak uważasz — rzekła urażona.

Vincenta zakończyła ostatni ścieg i odcięła nitkę. Obie z matką wyszły z pokoju.

Sara na chwilę została sama. Jeszcze pół godziny i czas jechać do kościoła. Przyglądała się sobie w lustrze i nie poznawała się w tej bladej, obcej, poważnej pannie młodej.

Kapitan, który przemknął za Ingą do pokoju, cicho zaskomlał. Czuł, że dzisiejszy dzień nie jest zwyczajny, i to go niepokoiło.

Na regale za dziewczyną stała figurka krasnalowej. Chciała ją usunąć, ale nie zrobiła tego. Nie weźmie jej też do Marka. Tam będzie Sarą Loew, z domu Maienstedt, która nie postawi w pokoju ogrodowego krasnala, kupionego innego dnia, w innym życiu.

Na schodach wiodących na balkon z ogrodu usłyszała kroki. Ktoś bez pukania otworzył drzwi i wszedł.

Eryk.

Patrzył bez słowa na jej ślubny strój. Ona także się nie odezwała.

Wtem stało się coś, co szarpnęło ją za serce.

Eryk płakał.

Widziała, jak jego oczy napełniają się łzami, jak te łzy powoli spływają po policzkach, a on nawet nie próbował ich wytrzeć, tylko nie spuszczał z niej wzroku. Była taka śliczna — i wychodziła za mąż za innego.

Nie, pomyślała nagle z pełną świadomością. Nie, nie i jeszcze raz nie!

W tej chwili coś w niej umarło i coś się na nowo narodziło.

A właściwie nie narodziło się na nowo, było bowiem zawsze obecne; nie potrafiła tego w sobie zabić.

Oto mężczyzna, którego kocha, jedyny, z którym chce spędzić życie — obojętne, jak się ono ułoży.

To błąd i głupota, chcieć nadać życiu inny bieg, sprzeciwiać się losowi. Należy się oddać w jego ręce.

6

— Saro! — zawołał Konrad Maienstedt, we fraku z białą kamelią w butonierce, przystając u stóp schodów. — Saro, już czas!

Nerwowo spojrział na zegarek, a potem poszedł na górę po córkę.

— Saro, bo się spóźnimy... — napominał, otwierając drzwi.

W progu stanął jak wryty.

Pokój był pusty, ślubna suknia razem z wiankiem z różyczek leżała na podłodze.

— Saro... — szepnął boleśnie zdumiony.

Z tyłu zbliżały się po schodach spieszne kroki. Inga.

Rzuciła się ku ciśniętej na ziemię sukni. Mocno zszyty przez Vincentę pasek został na szwie po prostu rozcięty.

Nic powiedziała ani słowa, głos uwiązał jej w gardle. Intuicyjnie wiedziała, co się wydarzyło. Sara nie zostawiłaby narzeczonego w ostatnim momencie, przed ołtarzem. Musiał tu być Eryk. Uciekła razem z nim.

Marek czekał tymczasem przed wiejskim kościółkiem. Goście weselni, jego rodzina i przyjaciele zaczęli powoli okazywać zaniepokojenie. Przed kwadransem przybył proboszcz; zaszył się teraz w zakrystii.

Christina, siostra Marka, elegancka i dorosła w długiej do ziemi sukni i upiętych blond włosach, przepchnęła się do brata.

— Zastanawiam się — syknęła półgłosem — czy czekamy nie przed tym kościołem, co trzeba, czy też nie na tę pannę młodą.

Pokręcił ze śmiechem głową i pocałował ją w policzek. Twarz mu się jeszcze bardziej rozjaśniła, gdy na podjazd przed kościołem wjechał wreszcie range rover Maienstedtów, przybrany girlandą z białych goździków i jedliny.

— Nareszcie — westchnął i odwrócił się do przyjaciół, wystrojonych jak jeden w jeździeckie uniformy, z białymi różami przywiązanymi do szpicrut.

— Oddział, zbiórka! — wydał radosny rozkaz.

Ustawili się rzędem po obu stronach schodów, tworząc szpaler z podniesionych w górę szpicrut.

Samochód stanął i rozpromieniony Marek wybiegł na spotkanie.

Konrad Maienstedt, który wysiadł z auta, podszedł do niego zdecydowanym krokiem.

— Bardzo mi przykro, Marku — zaczęła.

Młodzieniec machnął z uśmiechem ręką. Nie ma znaczenia, że Sara się trochę spóźniła. Nie trzeba za to aż tak uroczyście przepraszać. Usiłował zajrzeć do auta.

— Gdzie ona jest?

Niedoszły teść spojrzął na niego ze współczuciem.

— Posłuchaj, chłopcze. Sara nie przyjdzie.

Zapadła martwa cisza. Wszyscy wpatrywali się w obu mężczyzn. Koledzy Marka opuścili szpicruty.

— Sara nie przyjdzie — powtórzył narzeczony drewnianym głosem. Czerwienił się i bladł na przemian. Powoli docierało do niego, co to oznacza.

Maienstedt położył mu rękę na ramieniu.

— Bardzo mi przykro — szepnął jeszcze raz.

Marek nie odpowiedział. Nagłym ruchem zrzucił rękę ojca Sary. Z kamienną twarzą patrzył, jak ten wsiada do auta i odjeżdża. Wtedy wreszcie osłupienie zamieniło się w niepomowaną wściekłość.

Ze zduszonym okrzykiem cisnął na ziemię jasnoszary cylinder i rzucił się ku belom słomy, pod którymi stał ukryty ślubny prezent dla Sary.

Spośród zastygłych z przerażenia zebranych weselników nikt nie odezwał się słowem.

Marek zaś jak szalony odrzucał bele na boki, póki nie ukazało się z pietyzmem ustrojone auto, obwiązane jak olbrzymia bombonierka szeroką czerwoną szarfą, z podkrową na chłodnicy na szczęcie.

Pociągnął za koniec wstęgi, lecz nic udało mu się jej rozwiązać. Jedynie podkrowa się obluźowała. Chwycił ją i z całej siły uderzył. Przednia szyba prysnęła w kawałki. Potem przyszła kolej na reflektory, osłonę chłodnicy... Niszczył, co popadło.

Sara nie przyjdzie..., Sara nie przyjdzie. Te trzy słowa dudniły mu nieustannie w głowie. Koniec, kropka — na zawsze.

W końcu wyczerpany przystanął. Oddychał ciężko, a do pierwotnej, wszechogarniającej wściekłości zaczęła się wkraść rozpacz.

Wyprostował się chwiejnie i spojrzał na swoich skamieniałych weselnych gości. Był zdruzgotany, niczego sobie w owej chwili nie życzył tak bardzo jak śmierci.

Siedzieli w salonie willi Maienstedtów. Vincenta przyrządziła małą przekąskę, ale nikt nie miał apetytu. Tylko Inga piła czerwone wino. Na fortepianie leżała ciągle ślubna wiązanka Sary. Kwiaty powoli więdły.

W pewnej chwili Inga wstała i zaczęła się nerwowym krokiem przechadzać po pokoju.

— Tak mi żal Marka — odezwała się płaczącym tonem. Peregrina energicznie uderzyła dłonią w stół.

— Coś wam powiem, moi mili. Modliłam się, żeby to małżeństwo nie doszło do skutku.

Inga odwróciła się gwałtownie do siostry.

— Jasne, że trzymasz stronę tej dziewczyny. W końcu to pod twoimi skrzydłami wyrosła na taką, jaka jest...

Konrad rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie. Czy ona zawsze musi szukać zwady? Zapalił cygaro i zaciągał się nim nerwowo.

— W gruncie rzeczy Peregrina ma rację — wtrącił.
— Powiniennem być temu wcześniej przeszkodzić.

— Ale na to jesteś zbyt wielkim tchórzem! — Głos Ingi ciał jak szkło. — Gdybyś naprawdę kochał Sarę, zapobiegłbyś temu, co się zdarzyło dziś. To takie do ciebie podobne! Od siedmiu lat Eryk jest moim kochankiem, a ty w ogóle nie reagujesz. Powinieneś być ingerować dużo wcześniej. Najpierw odebrał ci żonę, teraz córkę.

— Ingo! — upomniała ją zaszokowana Peregrina.

Inga jednak nie dała się powstrzymać. Cała jej wściekłość skierowała się przeciw mężowi. Utkwiła w nim płonący wzrok.

— Teraz myślisz, jak by tu się pogodzić z Erykiem. Nie masz za grosz dumy. Dla mnie pojednanie nic istnieje. Nie z Erykiem. Ani z Sarą. I nie z tobą! — Po czym rzuciła się do drzwi i trzasnęła nimi za sobą z całej siły.

Konrad chciał za nią iść, lecz Peregrina położyła mu uspokajająco rękę na ramieniu i pokręciła głową. Siadł więc na powrót i spojrzał na szwagierkę. Po wybuchu Ingi czuł się wyjątkowo niezręcznie.

— Jutro wyjeżdżam — powiedziała po chwili milczenia.

— Proszę, zostań jeszcze parę dni — odezwał się niemal błagalnie. — Inga cię potrzebuje.

Zaprzeciżyła przygnębiona ruchem głowy.

— Tak będzie lepiej.

— Masz dla mnie jakąś radę?

— Zawrzyjcie pokój — westchnęła ciężko.

Jego uśmiech wyraża! mieszanię ironii i smutku.

— Ciągłe zawieramy pokój. Jak na przykład przed kilkoma dniami w Hamburgu. I wciąż na nowo wszczynamy wojnę. Już nawet nie wiemy, kiedy panuje jedno, a kiedy drugie. Dawno powiniennem być położyć temu kres.

— Ale tego nie zrobiłeś — stwierdziła rzeczowo.

Uniósł bezradnie ramiona.

— Miałem ją zostawić na pastwę losu? Na pastwę samej siebie? Ona by siebie zniszczyła. A mnie zostałyby wieczne wyrzuty.

— Jest jeszcze Sara — przypomniała szwagierka.

Umęczona twarz Konrada rozjaśniła się lekko.

— To najlepsze, co mamy z Ingą wspólnego.

Peregrina skinęła potakująco. W jej pięknych jasnych oczach pojawił się jakby cień smutku.

— Gdybym swego czasu o ciebie walczyła, mogłaby być moją córką.

Drgnęła lekko, gdy położył rękę na jej dłoni. Chciała ją pospiesznie cofnąć, ale ścisnął ją mocnymi palcami.

— Być może wszystko by się wtedy inaczej ułożyło — szepnął.

Spuściła głowę.

— Nikt nie umknie swojemu losowi...

Wprawdzie był to banał, lecz doskonale pasował do sytuacji.

Wzięli samochód Eryka i pojechali na południe.

Ich celem była — jakżeby inaczej — Wenecja.

Eryk zwinął dach swojego sportowego samochodu i Sara skrzyżowała ręce na karku, wystawiając twarz na słońce i pęd powietrza. Miała na sobie tę samą białą lnianą sukienkę z angielskim haftem, którą założyła pierwszego wieczoru po powrocie z Marienbergu. Od czasu do czasu spoglądał na jej rozwiane włosy i czuł się wtedy tak szczęśliwy, że chciało mu się krzyczeć.

Odzyskał ją.

— Czy teraz można powiedzieć, że ze szczętem zwariowaliśmy? — spytała w pewnej chwili.

— W ciągu ostatnich dziesięciu lat nie zrobiłem niczego równie rozsądnego! — roześmiał się w odpowiedzi.

— Jesteś moim wybawcą — oświadczyła z udawanym patosem. — Wybawicielem z opresji. Nie wolno ci mnie już nigdy opuścić.

Spowaźniał i dotknął jej nagiego ramienia.

— Już nigdy cię nie opuszczę — obiecał.

Nagle wzrok Sary padł na srebrne ślubne pantofelki, które ciągle jeszcze miała na nogach. Wszystko odbyło się

w takim pośpiechu! Eryk pomógł jej zdjąć suknię, w biegu wskoczyła w tę lnianą, w ostatniej chwili przypomniała sobie o torebce z dokumentami, porwała ją ze stołu i zewnętrznymi schodami wybiegli z domu. Trzymając się za ręce popędzili przez park do Wylanderów. Tam Eryk w okamgnieniu wepchnął do kieszeni pieniądze i papiery — i wyjechali.

Graniczyło z cudem, że nikt ich nie zauważył.

Teraz Sara zsunęła z nóg pantofelki i z rozmachem cisnęła je za siebie.

— Lepiej w jednej kiecce na grzbiecie, za to z właściwym męzczyzną — oświadczyła.

Posłał jej za to całusa.

Tego dnia dojechali tylko do starego zajazdu na przełęczy Stelvio, gdzie już spędzili jedną pamiętną noc. A ponieważ Eryk puścił wreszcie kierownicę, mogli się bez przeszkód tulić i całować. Toteż czynili to zapamiętale, jakby chcąc powetować sobie utracony czas.

Gospodyni uśmiechnęła się pod nosem z pełnym zrozumieniem, kiedy wszedłszy do jadalni z dzbankiem mleka, ujrzała ich znowu splecionych w objęciach. Nalała dwa kubki.

— Państwo tu już kiedyś byli, prawda?

— Tak, kilka tygodni temu. — Rozpromieniła się w odpowiedzi Sara.

— Coś tu wtedy państwo zostawili. Przechowałam to. Pomyślałam, że może państwo do nas jeszcze kiedyś wpadną.

Wyszła, a Eryk z Sarą wykorzystali chwilę samotności na kolejny pocałunek.

Oderwali się od siebie dopiero, gdy gospodyni znowu wkroczyła do sali. Niosta pod pachą krasnala z latarnią. Postawiła go ostrożnie na stole.

— Nasz krasnal!

Sara z uśmiechem pogłaskała figurkę po brodatej głowie nakrytej czerwoną czapeczką z pomponem.

Eryk także się roześmiał. Jego zwariowana, zachwycająca dziewczyna odzyskała w końcu ukochanego krasnala!

— Polubiłam go z całego serca — przyznała się gospodyni.

— To niech go pani zatrzyma. — Sara przesunęła spontanicznie figurkę w jej stronę, patrząc na Eryka. — My mamy teraz siebie!

Korpulentna kobieta o miłej, grubo ciosanej twarzy szczerze się wzruszyła. Nie tyle z powodu nieoczekiwanego podarunku, co na widok otwarcie okazywanych uczuć. Tak rzadko się widuje naprawdę szczęśliwych ludzi!

— Cieszę się państwa szczęściem — powiedziała serdecznie. — Jesteście taką piękną parą!

Zabrała krasnala i życząc dobrej nocy, zostawiła młodych samych. Ledwie zdążyła zamknąć drzwi, padli sobie w ramiona. Z półki nad oknem przyglądał się im z zainteresowaniem czarno-biały kot.

Następnego dnia byli już w Wenecji. Sara odczuła to jak powrót do domu.

Zostawili samochód na Piazzale Roma i gondolą popłynęli na plac Świętego Marka. Stamtąd powędrowali pieszo przez uliczki i place Serenissimy — jako jedna z wielu ciasno splecionych, co krok przystających, by się pocałować, zakochanych par w Wenecji. Nikomu to tutaj nie przeszkadzało, nikt nie zwracał na nich specjalnej uwagi.

Chyba śnię, pomyślała Sara. Wróciłam tutaj, jestem z Erykiem. Co za szczęście znów go oglądać, czuć jego bliskość, słyszeć głos.

Szczęście... Szczęście... Szczęście...

Sen trwał i jak to w marzeniach bywa, ze skrzydlatą lekkością odsłaniał coraz to nowe cuda.

Eryk pierwszy odkrył mały sklepik jubilerski w pobliżu pomnika Colleonego. Wszedł do środka, gdy Sara oglądała wystawę, a po chwili go opuścił z zawiniętą w papier paczuszką. Chciała się koniecznie dowiedzieć, co w niej jest, ale uciekł jej ze śmiechem. Pobiegła za nim, lecz był szybszy. Za każdym razem, kiedy już, już go doganiała, unosił pakiecik wysoko w górę, tak że nie mogła go osiągnąć. Polowanie zaczynało się więc od nowa, po uliczkach i zaułkach, przez mostki i placyki. Zdyszany Eryk zatrzymał się wreszcie przy budce z lodami.

— Dwa razy poproszę — wysapał.

Tymczasem Sara ziapata paczuszkę i pospiesznie rozwinęła opakowanie. W małym pudełeczku na czerwonym aksamicie leżały dwie obrączki.

Przyglądała się im głęboko wzruszona, a potem skierowała wzrok na Eryka. Znowu miała powód, by go pocałować.

Kilka kroków dalej znaleźli kram z delikatnymi koronkami, a między nimi szeroki biały szal, do złudzenia przypominający welon.

— Potrzebujesz czegoś takiego, kiedy będziesz chciała wejść do kościoła — wyjaśnił Eryk. — Kobiety we Włoszech nakrywają wtedy głowę i ramiona. — Roześmiał się. — A ty zapewne zechcesz kiedyś ze mną zwiedzić jakiś kościół, prawda?

Stali na ruchliwym placu przed bazyliką Santa Maria dci Miracoli. Eryk nalegał, by wreszcie skończyła jeść lody.

Mieli obrączki, Sara ubrana była w białą sukienkę i także baletki, które kupili poprzedniego dnia, jeszcze przed przekroczeniem granicy austriackiej, znalazł się nawet biały szal wyglądający jak welon. A więc brakowało jedynie księdza...

— Znasz historię o szwedzkim marynarzu i córce doży? — spytał nagle Eryk.

— Opowiedz, ale tylko jeśli się dobrze kończy.

— Szwedzki marynarz i córka doży! Nic by z tego nie wyszło, gdyby się w sprawę nie wtrąciła Matka Boska Cudowna.

Spojrzał na fasadę świątyni.

— Nie widać tego na pierwszy rzut oka, ale za tymi starymi murami zdarza się od czasu do czasu jakiś cud.

Jakby na potwierdzenie jego stów rozległ się nagle dźwięk dzwonów Santa Maria dei Miracoli, a na placyku pojawił się ksiądz w komży.

Eryk ujął Sarę za rękę i pospiesznie pociągnął za sobą. Zagadnął kapłana już na schodach przed portalem.

Był to zażywny starszy pan o ostrym profilu Rzymianina i oczach zdradzających mądrość i poczucie humoru.

Sara zdziwiła się, że Eryk tak płynnie mówi po włosku. Nie rozumiała ani słowa z szybko prowadzonej rozmowy.

Duchowny skinął kilkakrotnie głową i uśmiechnął się szeroko.

— *Scusi, signore* — powiedział i wszedł przed nimi do kościoła.

W środku wyłowił z ławek cztery osoby. Po krótkiej wymianie zdań przeniosły się pod główny ołtarz, na wyściełane krzesła po obu jego stronach.

Ta czwórka także się uśmiechała i przypatrywała z sympatią Erykowi i Sarze.

Eryk nakrył głowę dziewczyny szalem, ponownie ujął ją za rękę i poprowadził do ołtarza.

Rozległy się dźwięki organów i kaptan wyszedł z zakrystii.

Przyglądał się młodym z ojcowskim uśmiechem i ze względu na to, że byli obcokrajowcami, zrezygnował z kazania, ograniczając się tylko do ceremonii zaślubin.

W Marienbergu Sara uczyła się łaciny, toteż zrozumiała odwieczne pytanie, czy chce kochać i szanować stojącego obok niej mężczyznę w zdrowiu i chorobie, w bogactwie i biedzie, na dobre i złe, póki ich śmierć nie rozłączy.

— Tak — odpowiedziała, patrząc Erykowi w oczy.

To samo pytanie kapłan skierował teraz do niego.

— Tak — powiedział Eryk głośno i zdecydowanie.

Reszta obrzędu — wymiana obrączek, błogosławieństwo księdza ogłaszającego ich mężem i żoną — przemknęła Sarze jak za mgłą.

Rzeczywisty był tylko stojący obok Eryk i obrączka, którą jej włożył na palec. Nie widziała wyraźnie jego twarzy, bo ze wzruszenia się rozpłakała, a gdy wsuwała mu większy z pierścieni, ręce jej lekko drżały.

Kapłan pobłogosławił ich ponownie znakiem krzyża nad głowami. Eryk zaś otoczył Sarę ramionami i pocałował.

Potem Sara ucałowała oszołomionego duchownego i czterech świadków, którzy ściskali jej i Erykowi ręce, życząc wszelakiego szczęścia.

Potężna, uroczysta melodia organów towarzyszyła im do drzwi kościoła.

Przed świątynią Sara przytuliła się do piersi Eryka.

Mój mąż, pomyślała.

Moja żona, pomyślał.

Szcześnie zyskało dwa imiona: Eryka i Sary...

— Pamiętasz, co powiedziałaś wczoraj, kiedy się u ciebie zjawiłem? — spytał, patrząc w ukochane oczy.

— Nic nie powiedziałam — odparła, obejmując go za szyję. — Czułam tylko, jak mi serce przestało bić.

Z uśmiechem pokręcił głową.

— Nieprawda, powiedziałaś: „Pomóż mi zdjąć suknię”. A potem z niecierpliwością: „Weź nożyczki i przetnij pasek. Vincenta mnie zaszyła”.

Roześmieli się oboje na to wspomnienie.

Jak przystało na zakochanych i świeżo poślubionych w Wenecji, wynajęli gondolę i kazali się wieźć płataniną pograżających się stopniowo w mroku kanałów. Eryk otoczył Sarę ramieniem. Jej głowa spoczęła na jego barku, gdy rozmarzona przyglądała się fasadom mijanych domów. Nagle wyprostowała się. Nad Canale Grande zobaczyła hotel, który się jej z miejsca spodobał. Nosił nazwę „Luna”.

— Stop! — zawołała. — Wygląda na miłe miejsce. Zaproś mnie tu na kolację! Umieram z głodu.

Eryk stłumił śmiech.

— Nie wiem, czy tu się da zjeść — stwierdził, pozorując wątpliwości. — Nie wygląda mi na to. Poszukajmy czegoś innego.

— Nie! — Sara wyduła dolną wargę. — Ten hotel mi się podoba. Chodź, Eryku! Pogonię kucharza, jak nie znajdzie dla nas nic jadalnego.

Poprosili, żeby gondolier przybił do hotelowego nabrzeża i Sara wyskoczyła z łodzi. Eryk ledwo zdążył zapłacić za wycieczkę, tak niecierpliwie ciągnęła go w stronę schodów wiodących do wejścia.

Portier w uniformie rozpoznał Eryka natychmiast i szykował się do żywołowego powitania, gdy ten dał mu znak, by nie ujawniał prawdy.

Zdumiony Włoch ograniczył się więc do otwarcia przed obojgiem z głębokim ukłonem drzwi. Ramię w ramię wkroczyli do foyer.

Sara rozejrzała się wokół.

— Widzisz, jak tu szałowo — szepnęła zachwycona na ucho Erykowi.

Zachował niewzruszoną minę, tylko w oczach załśniły iskierki z trudem skrywanego rozbawienia.

Po lewej stronie od wejścia znajdowało się stanowisko recepcjonisty. Na ich widok zza mahoniowej lady poderwał się starszy mężczyzna o okrągłej rumianej twarzy, okolonej burzą siwych loczków.

— *Il direttore!* — zawołał podniecony do koleżanki i żywo gestykulując wybiegł im na spotkanie.

— *Signore* Wylander, któregoś dnia życiem przypłacę te pańskie niespodziewane wizyty! Składam wymówienie...

— Eryku, o co chodzi?

Szerokim gestem wziął ją pod ramię.

— Carlo, pozwoli pan, że przedstawię moją żonę. Saro, to jest Carlo, najlepszy recepcjonista w całych Włoszech. Gdyby nie on, musiałbym zamknąć „Lunę”.

— Ten hotel należy do ciebie? — zdumiała się.

Carlo przyglądał się jej z zachwytem, niby ucieleśnionemu aniołowi.

— *Signora* Wylander... — jękając się, ścisnął jej dłonie, jakby ich nigdy nie miał wypuścić.

— Niech się pan uspokoi, Carlo. — Roześmiał się Eryk. — Moja żona jest głodna.

— Głodna... Małżonka szefa jest głodna — powtarzał jak katarynka.

Jakże tak niebiańska istota mogłaby odczuwać podobnie przyziemne potrzeby?

— Oczywiście, tak jest — zreflektował się. — Natychmiast temu zaradzimy.

Do apartamentu Eryka na najwyższym piętrze odprowadził ich niemal orszak: boy, dwie pokojówki, kelner obsługujący piętro, a za nimi — zaalarmowana przez Carla administratorka „Luny” z wielkim bukietem Bóg wie gdzie zdobytych pospiesznie kwiatów.

— *Che belle fiore!*... — powiedziała Sara, przyjmując z jej rąk wiązanekę — Jakie piękne kwiaty...

— Dla jeszcze piękniejszej signory Wylander — odparła rozpromieniona starsza pani.

Przydźwigała wazon i napełniła go wodą, tymczasem pokojówki uzupełniały w łazience zapas świeżych ręczników, mydła i innych kosmetyków. Opiekun piętra skontrolował zawartość wbudowanego w ścianę barku.

Chwilę później ukazał się Carlo we własnej osobie, pchając wózek, na którym pod srebrnymi pokrywkami można się było domyślić najsmakowitszych kąsków z kuchni „Luny”. Całości dopełniały ciastka, owoce i chłodząca się w srebrnym wiaderku butelka szampana.

— Dziękuję, Carlo — skwitował Eryk. — Myślę, że to na początek wystarczy.

Zachwycony Włoch skłonił się i przepędził z pokoju administratorkę, pokojówki i kelnera.

Zaledwie znaleźli się za drzwiami, gdy Sara zniecka wskoczyła Erykowi na plecy.

— Ty paskudo! — zawołała. — Co oni sobie o mnie pomyślą? Czy tak wygląda żona szefa?

Ześlizgnęła się na ziemię, omiotła wzrokiem dość zmaltretowaną w trakcie podróży i wędrowki po mieście lnianą sukienkę oraz baletki.

— Prezentuję się jak ulicznica! Dlaczego mi nie powiedziałeś, że...

Więcej oskarżeń nie padło, Eryk bowiem zdusił wszelkie obiekcje długim pocałunkiem, pociągając ją jednocześnie na kanapę i wciskając w poduszki.

Sara podparła się łokciami.

— Cóż, muszę cię niestety ukarać — mruknęła z ustami przy ustach męża. — Nie zaspokoję głodu tymi wspaniałościami z wózka... Tylko tobą. Pożrę cię, co do kosteczki.

Przy ostatnich słowach zaczęła obsypywać jego twarz i szyję pocałunkami.

— Byle nie za szybko — poprosił z zamkniętymi oczami — żebym i ja coś z tego miał.

Dużo później, gdy odprężeni po przeżytej rozkoszy leżeli obok siebie w szerokim podwójnym łóżku, niebo nad zbudowanym na dachu tarasem ich apartamentu rozświetliły fajer-

werki. Drzwi były otwarte, toteż pierwsze rakiety zalały pokój blaskiem złotych słońc.

— Idź złoto do złota — szepnął Eryk, całując Sarę.

Następne wybuchły na niebie szmaragdową zielenią gwiazd.

Sara uniosła się na łóżku i pochyliła nad Erykiem.

— Esmeralda kocha Esmeralda...

Przyciągnął ją do siebie, gdy zaraz potem apartament zaróżowił się poświatą kolejnych rakiet.

— Róża więźnie w róży krzewie... — szepnął i już jej nie puścił.

W pokoju Sary Konrad zastał Ingę. Włożyła na siebie ślubną suknię i wianek córki. Na stole stał pełny kieliszek czerwonego wina.

Krygowała się właśnie przed lustrem, gdy zbulwersowany zatrzymał się w drzwiach.

— Pamiętasz nasze wesele? — spytała. — Ja cała w bieli, twoja dziewicza łabędzica z diademem i welonem... a ty strąciłeś mi na suknię kieliszek z czerwonym winem. O, tak...

Wzięta ze stołu kieliszek i powoli rozlała jego zawartość po białej spódnicy. Potem zaczęła się śmiać.

Konrad patrzył na nią przez chwilę bez słowa, po czym odwrócił się na pięcie i wyszedł. Jej śmiech dobiegał go jeszcze na schodach.

Pojechał do swojego długoletniego domowego lekarza i przyjaciela, doktora Speidla.

Lekarz nie skończył jeszcze przyjmować pacjentów, chociaż godziny przyjęć dawno minęły.

— Czy Inga była u ciebie? — zapytał Konrad, gdy usiadł przy jego biurku.

Wzrok Speidla zza okularów stał się czujny.

— A tak twierdzi?

Konrad uniosł ręce w geście poddania.

— Tyle kłamie, że sama traci w tym orientację.

— Czy to dla ciebie coś nowego? — skrzywił się Speidl.

— Nie. Nowość polega na tym, że ja już tego nie potrafię znieść — przyznał Konrad z ociąganiem. — Dawniej mnie to bawiło, nawet budziło sympatię... Teraz zaś nawet jej głos wywołuje we mnie odrazę. Wiem, że powinienem jej współczuć. Powinienem...

Przerwał i na chwilę ukrył twarz w dłoniach.

— To straszne, co mówię, ale coraz częściej łapię się na tym, że czuję narastającą nienawiść.

— Myślisz o rozstaniu? — spytał Speidl prosto z mostu.

Konrad opuścił ręce.

— Wiem tylko jedno, że tak dalej być nie może. W Hamburgu czuję się jak dezertier... Ale jestem szczęśliwy. Oddycham swobodnie. Jak tylko wracam do domu, brakuje mi powietrza, duszę się.

Przyjaciel pokiwał głową. Przewidywał nadejście takiej chwili, widział, jak się zbliża, a w głębi serca nawet rad by ją przyspieszył. Nie należał jednak do tych, którzy narzucają innym swoje zdanie, zwłaszcza w takich sprawach. Dlatego do tej pory milczał. Koniec końców to Konrad musi sam podjąć decyzję, a do tego potem z nią żyć.

— Inaczej mówiąc, zdecydowałeś się na Ellen Vondrowski — stwierdził Speidl.

— Ale co będzie z Ingą? — W głosie Konrada dźwięczała niepewność.

Przyjaciel chwilę milczał, potem powiedział to, co od dawna uważał za słuszne i konieczne:

— Wyjaśnij wszystko, zrób z tym wreszcie porządek. A może nie masz na tyle odwagi?

Cisza. Konrad kilka razy odetchnął głęboko i ze spuszczoną głową wstał.

Czy to rzeczywiście tchórzostwo nim powoduje, że mimo wszystko ciągle na nowo próbuje wytrwać u boku Ingi? A może się obawia ją zostawić, bo wie, iż sama nie poradzi sobie z życiem?

Speidl także się podniósł. Zdjął lekarski fartuch, narzucił bluzę, obszedł biurko i położył rękę na ramieniu Maienstedta.

— Niechętnie mnie słuchasz, ale nie dbam o to. Zrób coś wreszcie ze swoim sercem. Nie wyglądasz dobrze.

- W Hamburgu byłem u profesora Ruhlanda...
- I nie wziął cię natychmiast na operację? — przerwał mu Speidl.
- Chciał... — przyznał Konrad niechętnie.
- Jedź do Hamburga, do Ruhlanda. — Speidl chwycił go za ramiona. — Cała reszta ułoży się sama.
- Chyba masz rację... — mruknął Maienstedt.
- Przyjaciel poczęstował go lekkim kuksańcem.
- No to w drogę, człowieku!
- A co z Sarą? — zaproponował Konrad. — Póki nie wróci, nie mogę wyjechać. Trzeba jej niejedno wytłumaczyć.
- Podoba mi się ta wasza dziewczyna. — Lekarz roześmiał się. — Pokazała wam, gdzie pieprz rośnie. Nic jej nie musisz tłumaczyć. Sądziś, że jest ślepa i głucha?

Sara i Eryk spędzili w Wenecji jeszcze dwa cudowne, niezapomniane dni, a potem wrócili nad Ammersee.

Eryk zadzwonił do Sztokholmu i dowiedział się, że matka tymczasem także wyjechała do Niemiec.

Otworzyła im Matylda.

— Pańska matka jest na tarasie — poinformowała. — Przypuszczam, że śpi.

Na palcach podeszli do wyściełanej ogrodowej leżanki, gdzie istotnie w okularach słonecznych na nosie spala Carmen Wylander. Porozumieli się wzrokiem, a potem stanęli po obu stronach śpiącej, a Eryk zdjął matce okulary, by je wymienić na złotą wenecką maskę karnawałową.

To obudziło Carmen. Otworzyła oczy i od razu Sara z Erykiem chwycili ją za ręce. Swoje prawe dłonie trzymali ostentacyjnie w taki sposób, by musiała zauważyć błyszczące nowością obrączki.

Spojrzała na nie, a potem przeniosła wzrok na rozradowane miny obojga.

— Pobraliście się! — zawołała, przyciągając syna i synową do siebie i całując oboje. — Bądźcie szczęśliwi, dzieci!

Cała jej troska o Eryka rozviała się jak mgła. Chciała podać szampana, lecz Sara zaproponowała, by toasty przesunąć na wieczór. Czekają ich jeszcze najcięższe zadanie — spotkanie z Ingą i Konradem, toteż chcieli jak najprędzej je mieć za sobą.

Carmen odprowadziła ich wzrokiem, gdy szli przez park. Oczywiście trzymali się za ręce i dwa razy po drodze przystawali, by się pocałować. Westchnęła. Miała nadzieję, że u rodziców Sary wszystko pójdzie dobrze.

Inga siedziała na krześle w sypialni i apatycznie patrzyła na swe odbicie w lustrze. Okropnie wyglądam, pomyślała. W gruncie rzeczy było jej to obojętne. Czuła się pusta, wypalona, jak lalka, która oddycha, mówi i się porusza, bo kiedyś nakręcono napędzający ją mechanizm.

Na dworze świeciło słońce, ale światło jej przeszkadzało. Już nie lubiła słońca. Wołała siedzieć w półmroku, zatopiona w myślach. Dziwnych, ulotnych myślach, które nie dawały się pochwycić, tylko ciągle odfruwały jak pierzaste nasionka przekwitłych mleczy na wietrze.

Opuściła do połowy żaluzje na drzwiach balkonowych i oknie, ich listewki rzucały cienie na jasną wykładzinę podłogi.

Na dole w ogrodzie zaszczekał Kapitan. Inga zarejestrowała radosne ujadanie psa, a potem głośno.

Sara, pomyślała, ale nie sama, jest z nią ktoś jeszcze.

Podeszła do okna i wyjrzała ukradkiem. I wtedy go zobaczyła. Eryk otoczył ramieniem plecy Sary i mocno ją do siebie przytulił. Wokół obojga poszczekując i skomląc podskakiwał Kapitan. Skręcili na ścieżkę nad jezioro, gdzie w wysokich kaloszach stał w wodzie Konrad.

— Tato! — zawołała Sara i popędziła w dół.

Obrócił się i złapał ją w rozpostarte ramiona.

— Saro! Dziecinko... — szepnął, patrząc jej badawczo w oczy.

Widział, że wprost promienieje szczęściem, ale jednocześnie gdzieś w ciemnych źrenicach krył się niepokój, błaganie...

Nie, nie będzie jej czynił wyrzutów. Zrobiła dokładnie to, co musiała. Jego córeczka. Na szczęście znalazła w sobie dość odwagi. Więcej niż ojciec.

Eryk Wylander zatrzymał się w pewnej odległości. Sara wyciągnęła do niego rękę, nie puszczając dłoni ojca.

— Jesteśmy tu oboje, Eryk i ja — powiedziała z naciskiem.

Konrad przypatrywał mu się w milczeniu, Eryk zaś odwzajemnił to spojrzenie z poczuciem winy, lecz jednocześnie bardzo szczerze.

W pamięci Konrada stanęły nieprzespane noce, gdy miał pewność, że Inga go zdradza z tym mężczyzną. Przypomniał sobie uczucie goryczy i bezsilności, sądził bowiem, że nie może się równać z młodszym, tak przystojnym rywalem. Nie zapomniał jeszcze ogarniającego go niesmaku, gdy się spotykali — oszust z oszukanym — podobnie jak wykrętów i kłamstw Ingi, by mogła się do niego wymknąć.

Ale nigdy nie dał nic po sobie poznać aż do chwili, gdy wysłał żonę do Sztokholmu.

Czy w ten sposób stał się współwinnym?

Ten mężczyzna rozbił moje małżeństwo, przemknęło mu przez myśl.

Lecz już w następnej chwili uświadomił sobie, że to nie całkiem prawda. Tylko siedem lat z dwudziestu. A co z latami je poprzedzającymi, kiedy Inga się od niego coraz bardziej oddalała, niezadowolona z życia, jakie jej oferował? Jej ciągłe poszukiwanie tego, co określała jako szczęście, jej jednostronne analizy wszystkich nieporozumień między nimi — w rzeczywistości to właśnie zburzyło ich związek. Więc jeśli nie Eryk, byłiby inni mężczyźni.

Czy to wina Ingi, że tak wyszło? A może młodego Wylandera, że się wpakował na trzeciego w małżeństwo, które tak naprawdę od dawna nie istniało?

Pozostała jednak świadomość, że się było oszukiwanym, świadomość poniżenia — a to miało gorzki smak...

— Tato, proszę — odezwała się Sara. — Ja go kocham...

Spojrzał na swoje szczęśliwe dziecko i przewyciężył gorycz. Niech przynajmniej Sara nie cierpi, o ile on może temu zapobiec.

Eryk wyciągnął rękę, a Maienstedt postąpił te kilka dzielących ich kroków i uścisnął ją.

Tuż obok Sara z cichym sykiem wypuściła długo wstrzymywany oddech. I już wiedział, że postąpił właściwie. Na jego twarzy pojawił się nikły uśmiech, grymas ni to wzruszenia, ni to skrywanej złości.

— Ostrzegam! Jeśli dożyję dnia, w którym unieszczęśliwi pan moją córkę, zabiję pana!

Mimo uśmiechu i Sara, i Eryk wiedzieli, że Konrad Ma-
ienstedt absolutnie nie żartuje.

Na moment zapadło milczenie. Eryk był świadom, że profesor powierzył mu najdroższą dla niego istotę na ziemi i że w tej sytuacji każde zapewnienie i każda obietnica z jego strony zabrzmi sztucznie i pusto.

Sara przerwała ciszę.

— Jeśli on mnie unieszczęśliwi, tato, sama go zabiję — oświadczyła.

Śmiech, którym na to *dictum* wybuchnęła cała trójka, rozładował napięcie.

Inga obserwowała tę scenę przez szparę w żaluzjach. Nie słyszała, o czym tych troje rozmawia nad jeziorem, lecz uścisk dtoni pomiędzy Erykiem i Konradem oraz ulga na twarzy Sary wyjaśniły wszystko.

Przymknęła oczy. Nie wytrzymam, pomyślała. Boże, jak człowiek może coś takiego wytrzymać!

Kiedy kilka minut potem Sara, Eryk i Konrad wspięli się na stromy stok, wiodący znad brzegu jeziora do domu, wyszła przez laboratorium na taras. Wciąż była blada, nie umalowała się i nie uczesała, a jednak wyglądała jakby cudem odmieniona. Oczy jej błyszczały, na ustach błąkał się łagodny, miękki uśmiech.

Wyciągnęła do córki obie ręce.

— Saro, dziecinko! — zawołała czystym, jasnym głosem.
— Witaj w domu, kochanie!

Dziewczyna na moment zastygła w miejscu. Spojrzała na matkę, nie odkryła jednak ani złości, ani fałszu. Ociągając się podeszła bliżej, przygotowana, że w następnej chwili zachowanie Ingi może się raptownie zmienić. Nic takiego się nie stało. Matka przyciągnęła Sarę do piersi i ucałowała w oba policzki.

— Muszę z tobą porozmawiać, mamó — powiedziała miękko dziewczyna, ujmując jej dłonie.

Inga skinęła skwapliwie głową i weszły do domu.

Eryk i Konrad zostali sami.

— Panie profesorze — zaczął młodszy mężczyzna.

Maienstedt położył mu rękę na ramieniu.

— Eryku, myślę, że mamy do omówienia parę spraw.

Powoli ruszyli z powrotem nad jezioro.

Carmen Wylander uważała, że teraz, kiedy Sara i Eryk są małżeństwem, przyda się jakiś pojedynczy gest wobec Ingi. Dlatego zaprosiła Maienstedtów do siebie na kolację.

Inga wyglądała bardzo pięknie. Koktajlowa sukienka z lśniącą złotem górą bez ramiączek podkreślała smukłą szyję, podobnie jak wysoko upięte włosy i długie klipsy.

Była wyjątkowo milcząca i poświęcała obecnym niewiele uwagi, koncentrując się na rozmyślaniach.

Carmen w końcu przestała ją wciągać w rozmowę. Siedziały na tarasie, w pobliżu drzwi. W salonie Konrad wygrywał na fortepianie jakiegoś walca, a Sara z Erykiem, wsparci o instrument, nie spuszczały z siebie wzroku.

Inga obracała w szczupłych palcach nóżkę kieliszka z szampanem.

— Jak to powiada Biblia? — odezwała się nagle zmęczonym głosem. — Więcej jest w królestwie niebieskim radości z powrotu syna marnotrawnego...

Zamilkła, wpatrzyła się w kieliszek, wypiła szampana i odstawiła puste szkło na stolik. Potem odwróciła się w kierunku salonu.

— Saro, już późno. Idziemy do domu.

Dziewczyna wyszła na taras. Przyjrzała się matce i przykucnęła u jej stóp.

— Mój dom jest teraz tutaj, mamó — powiedziała bardzo miękko. — U boku Eryka. Nie dotarło to do ciebie? Pobraliśmy się.

Twarz Ingi w jednej chwili zmieniła się w maskę jak z antycznej tragedii. Nieme, otwarte do krzyku usta. Puste, świecące czernią oczodoły. Podniosła się jak w transie, zniechęciła na dwie, trzy sekundy, a potem odwróciła się i przez taras zeszła między drzewa.

Konrad podążył za nią.

Nie dogonił żony. Weszła do domu przed nim. Już w holu usłyszał trzask zamykanych na piętrze drzwi do jej sypialni.

Zastanawiał się przez moment, czy iść za nią, potem jednak porzucił tę myśl. Lepiej ją teraz zostawić w spokoju. Może później do niej zajrzy.

Wyłączył zewnętrzne oświetlenie, pogasił światła w całym domu, pozamykał drzwi i okna. Świeciło się jeszcze tylko w sieni i na schodach.

Miał już wejść na górę, gdy Inga pojawiła się na schodach w bikini i luźno narzuconym frotowym płaszczu.

— Idziesz jeszcze pływać? — spytał zaniepokojony.

— Masz coś przeciwno temu? — warknęła.

— Jest późno.

Zatrzymała się przy nim.

— Muszę wyjść. Duszę się tutaj.

Poprosiłby, żeby nie wychodziła, lecz wiedział, że to nie ma sensu.

— Wiesz, że jutro rano lecę do Hamburga? — upewnił się tylko.

Skinęła głową i otworzyła drzwi. Stanąwszy w nich, zwlekała chwilę, wreszcie odwróciła się jeszcze raz do męża i przelotnie musnęła ustami jego wargi. Potem ruszyła przed siebie i zniknęła w ciemnych zaroślach porastających brzeg jeziora. Jej kroki przyspieszyły najpierw, a potem umilkły.

Konrad zastosował się do rady Speidla i zadzwonił do profesora Ruhlanda. Sławny kardiolog nie szczędził mu wprawdzie wymówek, że tak lekkomyślnie i samowolnie opuścił klinikę, potem jednak chętnie przystał na prośbę Maienstedta, by ten w najbliższych dniach ponownie wprowadził się do szpitalnej separátky.

Tym razem zostanie tam, dopóki Ruhland sam go nie wypisze.

U siebie w pokoju usiadł jeszcze przy biurku i próbował czytać. Nie miał ochoty kłaść się do łóżka, zbyt podekscytowany wydarzeniami minionego dnia.

W pewnym momencie przyszło mu do głowy, że nie sły-
szał powrotu Ingi. Rzut oka na zegarek uświadomił mu, że
nie ma jej już ponad godzinę. A może po prostu śpi?

Poszedł do jej sypialni.

— Ingo? — zawołał cicho, otwierając po krótkim puka-
niu drzwi.

Pokój był pusty, łóżko nie naruszone.

Z holu dobiegło go szczekanie Kapitana, dziwnie nerwo-
we i podszyte strachem.

Zaniepokojony zszedł na parter. Wszystkie pokoje pogrą-
żone były w ciemnościach. A więc Inga musiała jeszcze być
na dworze.

Pies niespokojnie kręcił się mu pod nogami. Popiskiwał,
a potem ze szczeknięciem podbiegał do drzwi. Ledwo Kon-
rad je otworzył, wystrzelił jak rakietą do ogrodu, kierując się
w stronę jeziora. W połowie drogi stanął, zaszczekał i obej-
rzał się na pana. Kiedy sprawdził, że ten za nim idzie, pognął
dalej.

Konrad poczuł strach. Kilkakrotnie zawołał Inge, lecz nic
usłyszał odpowiedzi.

Kapitan wyprzedzał go cały czas tylko o kawałek, szcze-
kał ponaglająco i w ten sposób zwiabił do szopy na lodzie.

— Inga! — zawołał Konrad ponownie.

Odpowiedziała mu cisza.

I wtedy ją zobaczył. Leżała na drewnianym pomoście, twa-
rzą do ziemi, z rękami zanurzonymi w wodzie.

Podbiegł, wykrzyknął z przerażeniem jej imię, próbował
odwrócić na plecy; była bezwładna i nie ruszała się.

Pochwycił ją za ramiona. Ciężko dysząc upadł razem z nią
na deski i wtedy zobaczył zakrwawioną brzytwę, którą pod-
cięta sobie żyły. Z rękami w wodzie szybko się wykrwawiła...

— Ingo... Ingo... — zaszlochał. — Dlaczego to zrobiłaś?

A potem krzyknął chrapliwie, z rozpaczą i tak głośno, że
poniosło po całym jeziorze:

— Saraa!

Usłyszała, bo siedzieli jeszcze z Erykiem na tarasie. Carmen poszła spać, ale zakochani nie czuli zmęczenia. Całowali się, ciągle sobą nienasyчени. Eryk zsunął sukienkę z ramion Sary i pieścił wargami jej jędrne piersi.

Przed chwilą właśnie spytała:

— Powiedz, dlaczego my, ludzie, przesypiamy noc?

— My nie — sprostował. — Zróbmy sobie spacer wśród gwiazd.

Podciągnął sukienkę wyżej i wtedy usłyszeli krzyk.

Zaraz potem ze skomleniem przybiegł im na spotkanie Kapitan. Kompletnie nieprzytomny polizał Sarę po ręce. Dziewczyna spojrzała w kierunku domu rodziców.

— U nich też się jeszcze świeci. Dziwne, nie wyłączyli świateł w ogrodzie?

Kapitan zawył żałośnie.

— Co z tobą, piesku? — Nachyliła się do niego. — Coś ty znowu zmalował?

Pies pobiegł do szopy na łodzie, a kiedy go dogonili, znaleźli Konrada z martwą żoną w ramionach.

Dzień pogrzebu Ingi Maienstedt był parny i gorący. Mimo to kiedy spuszczano trumnę do grobu, Sara drżała z zimna w czarnej żałobnej sukience. Stała obok ojca, z Peregriną u drugiego boku.

Ksiądz odprawiający egzekwie nakreślił nad dołem znak krzyża i odmówił modlitwę. Potem jeszcze pokropił go święconą wodą i rzucił na ukwieconą trumnę tradycyjne trzy garstki ziemi. Na koniec uściśnął w milczeniu dłonie Konrada, Sary i Peregriny.

Za nimi stali Eryk z Carmen, trochę dalej doktor Speidl i Ellen Vondrowski. Przyszło też kilku sąsiadów.

Z rodziny Loewów nie było nikogo, jak zauważyła mimochodem Sara. Oczywiście ich nieobecność była zrozumiała. Wyrządziła Markowi ogromną krzywdę i miała na to tylko jedno usprawiedliwienie: gdyby za niego wówczas wyszła, byłby z nią dużo bardziej nieszczęśliwy, niż jest dzisiaj. Unie-

szczęśliwiliby się nawzajem. Może kiedyś zdoła mu to wytłumaczyć, gdy zabliźni się rana, którą mu zadała.

Samobójstwo Ingi wstrząsnęło dziewczyną, podobnie jak Konradem. Nie umieli znaleźć dla siebie pociechy. Wraz z Peregriną w milczeniu przyjmowali kondolencje.

Doktor Speidl dogonił Ellen, gdy skręcała do bramy wiejskiego cmentarza.

— Chciałbym porozmawiać z panią o Konradzie — zagadnął.

Poznali się przedtem w willi Maienstedtów, nim wyruszyli na pogrzeb. Ellen robiła wrażenie smutnej i bezradnej.

— Obawiam się, że nie mogę dla niego nic zrobić. Męczą go wyrzuty sumienia.

— On musi się przeprowadzić do Hamburga, tak jak planował — Speidl popatrzył jej błagalnie w oczy.

A gdy nie odpowiadała, dodał z naleganiem:

— Pani wie, że Konrad musi się poddać operacji?

Ellen zatroskana skinęła głową.

— Profesor Ruhland uważa, że jak najszybciej.

Spojrzała w jego szczerą twarz i zwilżyła językiem wyschnięte wargi.

— Ja... ja się o niego boję.

Nie znała się specjalnie na chorobach serca, ale zasięgnęła informacji. Stąd wiedziała, że naczynia krwionośne Konrada z powodu złągów nie przepuszczają już wystarczająco szerokiego strumienia krwi. W którymś momencie takie naczynie mogłoby się całkowicie zablokować, a pod ciśnieniem krwi pęknąć...

Dzisiejsza medycyna poszła jednak tak daleko, że lekarze potrafią takie zwężone naczynie rozszerzyć i udroźnić za pomocą cewnika balonowego. Można też wszczepić bypassy, które zastępują niedrożne żyły i transportują krew do serca bez przeszkód.

Speidl uśmiechnął się do Ellen uspokajająco.

— Hamburg stanie się dla niego ratunkiem, zarówno dla uczonego, jak i dla mężczyzny.

Zrozumiała aluzję i na moment w jej oczach zabłysnął uśmiech, lecz zaraz zniknął.

— A co z Sarą?

— Z Sarą? — powtórzył lekarz. — Wie pani, jakie odnoszę wrażenie? Z początku myślałem, że dziewczyna nie da sobie rady w życiu, że się rozpadnie na kawałki. Pomyliłem się. Sara nie jest słaba. A raczej: jej słabość jest jej siłą.

Czekał na reakcję Ellen, a gdy nie odpowiedziała, dodał:

— Sara jest dzieckiem przeznaczenia. Wprawia w ruch ludzkie losy. A gdy ludzkie losy są w ruchu, dochodzi do katastrof.

I tu ma bez wątpienia rację, pomyślała zdeprimowana Ellen. Samobójstwo Ingi było właśnie taką katastrofą.

Przyjechała na pogrzeb po to, by dać wyraz przywiązaniu do Konrada. Nic więcej nie mogła zrobić. Reszta zależała już od niego — kiedyś w przyszłości, gdy odzyska nieco grunt pod nogami.

Być może jednak zawsze będzie czuł się winien śmierci Ingi i w końcu zmarła będzie miała nad nim więcej władzy, niż jej przyznawał za życia...

Speidl obserwował uważnie Ellen. Znał się na ludziach. Domyślał się, co ją gnębi, dlatego postarał się jaśniej przedstawić swoją myśl.

— Ja to rozumiem w ten sposób, że katastrofy czasami bywają naszym ratunkiem. Jak wiosenne burze. Szaleją i łamią zmruszałe drzewa. Ale także przynoszą nowe życie.

Bardzo by sobie życzyła, żeby tak się stało. Odnosiła jednak wrażenie, że w tym przypadku ma związane ręce. Mogła tylko być do dyspozycji, gdyby Konrad jej potrzebował.

Sara nie potrafiła płakać nad grobem matki. Nie od serca. Gwałtowny, niepohamowany wybuch płaczu byłby może wiele ułatwił. Zablockował ją jednak szok po tym, co się wydarzyło.

Zastanawiała się, co matka czuła, o czym myślała w swej ostatniej drodze do przystani. Czy to była nienawiść? Czy postąpiła tak, by im wszystkim unaocznic, że ponoszą winę za jej śmierć? Czy chciała się zemścić?

A może po prostu byia zmęczona, miała dość pustej egzystencji, po której się już niczego nie spodziewała? W każdym razie niczego istotnego według swoich kryteriów?

Po pogrzebie Sara usiadła z Peregriną w altance. Miała wrażenie, że matka za moment wyjdzie z domu, jak zawsze piękna i elegancka, z papierosem albo drinkiem w dłoni i zadowolona z żartu oznajmi:

„Przecież żyję. To było tylko takie małe oszustwo, żeby wam napędzić strachu.”

Głaskała machinalnie grzbiet Kapitana.

— Dlaczego? — spytała zduszonym głosem. — Dlaczego to zrobiła? Nie mieści mi się to w głowie.

— Nie potrafię ci na to odpowiedzieć — westchnęła ciotka.

— Chcesz mnie oszczędzić. — Sara spojrzała na nią. — Nikt nie znał jej tak dobrze jak ty.

— Nie jestem tego pewna.

Wstała i spojrzała na skąpane w promieniach słońca jezioro.

— Miałam siedem lat, kiedy się urodziła. Kochałam ją od pierwszej chwili, kiedy matka dała mi ją do potrzymania. Rodzice uprzedzali jej życzenia. Już w dzieciństwie kolekcjonowała ludzkie serca — moje, swoich przyjaciółek, a potem twojego ojca.

Odwróciła się do dziewczyny.

— Urodziła się, by być kochaną. To przeznaczył jej los. W gruncie rzeczy powinna czuć się najszczęśliwszą kobietą na ziemi. A jednak nie byia szczęśliwa, ba, nawet zadowolona...

— Czy ojciec nie był tym właściwym mężczyzną?

— Nikt nie byłby właściwy, choćby jej okazywał jeszcze więcej miłości, choćby jej rzucił do stóp wszystkie bogactwa tego świata.

— Ale dlaczego?

Peregrina spojrzała skonsternowanej Sarze w oczy.

— Inga nigdy nie musiała o nic prosić. Tym samym nie nauczyła się dziękować. Radość życia bierze się z wdzięczności za to, że się żyje. Pojęcie wdzięczności było jej obce.

Sara wsparła się łokciami o stół i złożyła głowę na rękach.

— Może potrafiłabym jej pomóc...

Ciotka pogłaskała ją po ciemnych włosach.

— Kiedy przyjechała do mnie do klasztoru, pomyślałam sobie, że się zmieniła, że szuka u mnie pomocy. Potraktowała mnie jednak jak wroga. Widziała wrogów w nas wszystkich: we mnie, twoim ojcu, tobie i Eryku. Ale największym jej wrogiem była ona sama.

Przez chwilę obie milczały.

— Ja także ponoszę winę — odezwała się wreszcie Sara.

— Nikt nie ponosi żadnej winy — zaoponowała zdecydowanie Peregrina.

Wyczuła jednak, że dziewczyna jej nie wierzy.

Na chodniku biegnącym wokół domu dały się słyszeć kroki. Zbliżał się Eryk. Zakonnica zobaczyła go pierwsza i lekko dotknęła ramienia Sary. Gdy dziewczyna dostrzegła ukochanego, zerwała się z krzesła i padła w jego rozwarte ramiona. Nareszcie mogła wypłakać cały swój żal i rozpacz.

Eryk uspokajająco gładził jej wstrząsane szlochem plecy. Podniosła ku niemu zalaną łzami twarz.

— Nie wiem, co z nami dalej będzie — wyrzuciła ze ściśniętym gardłem. — Wiem tylko, że cię kocham. Ale nie mogę z tobą żyć.

Objęła dłońmi jego twarz, ucałowała i wyrwała się z objęć. Ciagle szlochając, pobiegła do domu.

Erykowi także zwilgotniały oczy. Kiedy się odwrócił do Peregriny, jego mina wyrażała kompletną bezradność.

— Sara potrzebuje czasu — rzekła zakonnica ze spokojem.

Pokręcił głową.

— Musi stąd wyjechać — odparł. — I to jak najszybciej. Póki tu jest, nie będzie potrafiła zapomnieć. Nie zostawię jej tutaj.

Rozumiała go, ale też wiedziała, że się myli. Znała Sarę wystarczająco dobrze, by przeczuwać, co się teraz dzieje w jej duszy.

— Zbyt wiele się wydarzyło. Zaledwie trzy miesiące temu siedziała w szkolnej ławce. A potem klatkę otwarto i z zapa-

łem wyfrunęła na spotkanie życia... Przeżyła bolesny upadek i musi chwilę poczekać, aż się pogodzi z faktem, że my, ludzie, nie mamy skrzydeł. A kiedy o tym zapominamy i chcemy pofrunąć, spotyka nas kara.

Eryk musiał przyznać jej rację, lecz nie pomogło mu to pozbyć się głębokiego lęku.

— Kocham Sarę. Nie mogę jej teraz zostawić samej.

Peregrina położyła mu rękę na ramieniu.

— Niech pan jej da trochę czasu — nalegała.

— Boję się, że ją utracę — wyznał. — Co ja mam zrobić?

— Nic.

— Po prostu czekać? — Nie dopuszczał takiej możliwości.

Peregrina skinęła głową.

— Po prostu czekać...

Odwrócił się i spojrzał w okno pokoju Sary. Przez ułamek sekundy wydawało mu się, że za firanką mignęła jej twarz. Jakby dziewczyna przyglądała mu się z góry.

Peregrina udała się na poszukiwanie Konrada. Znalazła go, jak podejrzewała, w laboratorium. Zdjął czarny krawat i marynarkę, a teraz pochyła) się nad mikroskopem.

Praca to był jego sposób jeśli nie na uporanie się z tragedią, to przynajmniej na chwilowe o niej zapomnienie.

Podniósł głowę, kiedy zawołała go po imieniu.

— Słucham?

Weszła, pozostawiając otwarte drzwi.

— Wyjeżdżam — oznajmiła.

Konrad wstał i położył jej ręce na ramionach.

— Zostań! — powiedział z napięciem w głosie. — Potrzebuję cię.

Uwolniła się od niego i siadła na pobliskim krześle.

— Za późno, Konradzie. Tego, czego potrzebujesz, ja ci dać nie mogę. — Zamyśliła się. — Może nigdy nie mogłam.

Zwiesił ramiona i patrzył pustym wzrokiem w przestrzeń.

— Od początku popełniałem błąd za błędem. I wszystko straciłem. Z własnej winy.

— Nie chcę już słuchać o winie! — zaprzeczyła energicznie Peregrina. — Po prostu los nie dał się przekupić. Ani Indze, ani tobie, ani mnie...

Spojrzał na nią bezradnie.

— A mogłem temu zapobiec?

— Nie. Nikt nie potrafił przeszkodzić Indze w zniszczeniu samej siebie.

Wstata i poklepała go lekko po plecach.

— Może powinieneś był odejść wcześniej. Do Hamburga czy gdziekolwiek indziej... Ale dla Ingi i tak nie miałyby to znaczenia.

Pomyślał chwilę i skinął głową.

— Chyba tak.

Zrobiło mu się trochę lżej na sercu. Uściskał szwagierkę i ucałował w oba policzki.

— Dziękuję ci.

Peregrina także go objęta.

— Jedź do Hamburga, Konradzie — powiedziała z naciskiem.

— A Sara? Nie mogę jej zostawić samej.

Zakonnica lekko się uśmiechnęła.

— Sara pójdzie swoją drogą. Nas nie potrzebuje.

Po jej odjeździe rozmyślał jakiś czas nad tym, co mu powiedziała. Miała rację: musi wyjechać, i to najszybciej, jak się da.

Nie była to ucieczka od złych wspomnień. Wiedział, że będą mu zawsze i wszędzie towarzyszyć i że musi się nauczyć z nimi żyć. Niemniej w Hamburgu będzie mu łatwiej...

Pół godziny później poszedł do pokoju Sary.

Postawiła na łóżku otwartą walizkę, ale jeszcze nic do niej nie włożyła. Jej spojrzenie padło na figurkę krasnalowej na regale. Zdjęta ją, przycisnęła do piersi, a potem odstawiła na szafę.

Nie, nie weźmie tej figurki; jej miejsce jest w dziewczęcym pokoju niczego nieświadomej Sary Maienstedt, która ją kupiła pewnego szczęśliwego, pełnego wrażeń dnia. Nie pasuje do życia, które się otwiera przed nową Sarą.

Stała chwilę na środku pokoju niezdecydowana, co zabrać. W tym momencie rozległo się krótkie pukanie i wszedł ojciec.

— Szukałem cię — rzekł i westchnął z ulgą na widok walizki. — Dzięki Bogu, jednak jedziesz z Erykiem.

— Nie. — Spojrzała poważnie na ojca. — Nie z Erykiem.
— A z kim?

Podeszła i przytuliła się do niego.

— Z tobą. Jedziemy oboje do Hamburga.

Zmęczona twarz Konrada rozjaśniła się nieco. Nie próbował nawet namawiać córki, by zmieniła zdanie. Za bardzo się ucieszył, że jeszcze choć przez chwilę będą razem.

W drzwi zaskrobał Kapitan i Sara go wpuściła. Patrzył czujnie, gdy jego pani zaczęła się pakować. Nic spuszczał z niej pięknych, mądrych i smutnych psich oczu. Pakowanie walizek. Jak dobrze to znał. Państwo znikali potem na jakiś czas, a psu nie pozostawało nic innego, jak cierpliwie czekać na ich powrót.

I bez tego życie psa składa się w głównej mierze z czekania...

Kapitan położył łeb na łapach i skomlał cichutko.

Sara pochyliła się nad nim i podrapała go za uchem.

— Zwierzaki to mają dobrze — zwróciła się do ojca, który siedząc na łóżku przyglądał się pakowaniu. — A co z nami, ludźmi?

— Zawsze i nieodmiennie ta sama stara historia... — Głos Konrada zabrzmiał chropawo. — Codziennie otrzymujemy w darze raj. I każdego dnia na nowo go tracimy.

Spojrzał badawczo na córkę.

— Jesteś pewna, że nie chcesz jechać z Erykiem do Sztokholmu?

Wyprostowała się.

— Tak.

— Wiesz przecież, że on nie ponosi żadnej winy....

— Może nie chodzi o winę... Jednak...

Nie, nie mogła z nim żyć. Stała między nimi śmierć Ingi. Zdjęła z biurka fotografię matki, żeby ją schować do walizki. Konrad wyjął jej z rąk zdjęcie i wpatrzył się w rysy żony.

— Czyż można winić lato, że nadchodzi jesień? Twoja matka chciała, żeby w jej życiu zawsze trwało lato. A ja zbudowałem jej dla owego wiecznego lata szklany dom... Kiedy się zaczęła ta historia z Erykiem, pomyślałem: pozwól jej na

ten letni kaprys... — zniżył głos. — Więc jeśli może być mowa o jakiegokolwiek winie, to ponoszę ją ja.

Nagle chwycił się za serce i zaczął ciężko dyszeć. Jednym skokiem znalazła się przy nim i kucnęła na podłodze.

— Wyjedźmy stąd! — zawołała z lękiem, obejmując go delikatnie. — Szybko, powiedz pani Vondrowski, że pojedziemy już dzisiaj, razem z nią. A jutro zgłosisz się do kliniki. Myślę, że to najwyższy czas.

Konrad oddychał z trudem.

— Do kliniki? Skąd wiesz...

Włożyła w to spojrzenie całą miłość do ojca i nawet potrafiła się lekko uśmiechnąć, mówiąc niby z wyrzutem:

— Przecież jestem twoją córką. Nic się przede mną nie ukryje.

Dotarli do Hamburga sporo po północy. Ellen Vondrowski zawiozła ich prosto do apartamentu nad Alsterą. Przed odlotem z Monachium zawiadomiła jeszcze telefonicznie sekretariat, żeby przygotowano mieszkanie na przyjazd profesora Maienstedta z córką i uzupełniono zapasy w lodówce.

Toteż teraz w przedpokoju witała ich waza pełna świeżych kwiatów, a przez otwarte drzwi do salonu można było dostrzec na stole misę z owocami.

Ellen weszła z nimi do mieszkania. Skinęła tylko z uśmiechem głową, gdy Konrad spojrzał na nią z wdzięcznością.

— Zostawię was teraz samych — rzekła, podając Sarze klucze.

Dziewczyna przytrzymała jej dłoń i postąpiła pełne sympatii spojrzenie. Potem skierowała wzrok na ojca.

— Potrzebujemy pani — powiedziała cicho.

Twarz Ellen rozjaśniła się nagłą nadzieją, że jeszcze się wszystko ułoży.

Tydzień później Sara znajdowała się sama w obszernym mieszkaniu nad Alsterą. Nosiła jeszcze żałobę, ale wyglądała dużo lepiej niż w dniu przyjazdu.

Zapisywała coś w pamiętniku. Zaczęła prowadzić zapiski, odkąd tu zamieszkała. W jakiś sposób pomagało jej to uporać się z samotnością.

Kiedy rozległ się dzwonek do drzwi, zamknęła zeszyt i zdziwiona wyszła do przedpokoju.

Krzyknęła cicho z radości na widok starszego siwego mężczyzny, który uśmiechał się do niej czule w progu.

— Jules! Wejź!

Uściskała go ze łzami w oczach i ucałowała w oba policzki.

W mieszkaniu Jules Dussere rozejrzał się, jakby kogoś szukał.

— A gdzie twój ojciec?

— W szpitalu. Trzy dni temu przeszedł operację serca.

— I?

Sara uśmiechnęła się przez płynące ciągle jeszcze łzy.

— Dobrze. Czuje się nieźle.

Przyjrzał się jej uważnie.

— A ty?

— Ja też — odparła, a łzy popłynęły obficie.

— Masz ochotę na małą podróż? — spytał z tajemniczym uśmiechem, ujmując jej dłoń.

— Dokąd?

Jules uśmiechnął się szerzej.

— Do Wenecji. Gdzież by indziej?

— Do Wenecji! — Otworzyła szeroko oczy, a w głosie zabrzmiała tęsknota i zarazem głęboki smutek.

— Do twojego domu — dodał Jules znacząco i objął Sarę. Czekał cierpliwie, aż łzy przestaną płynąć.

Godzinę później Sara znalazła się w klinice profesora Ruhlanda. Jej ojca przeniesiono już z OIOM-u do jasnej, przestronnej separatki.

Tuż przed nią przyszła z wizytą Ellen Vondrowski. Przywitała Konrada całusem, on natomiast utyskiwał, że czuje się teraz bardziej chory niż przed operacją, co jego zdaniem było do przewidzenia.

Niewzruszona przyciągnęła do łóżka krzesło i pogłaskała go po rękę.

— Już niedługo, Konradzie. Profesor Ruhland powiedział, że za kilka dni będziesz mógł wrywać drzewa z korzeniami. Twarz mu się rozjaśniła uśmiechem.

— Raczej je zasadzę. Dla nas obojga. A pewnego dnia usiądziemy w ich cieniu.

Ellen wzruszyła niemal do teź ta najpiękniejsza chyba deklaracja miłości, jaką kiedykolwiek usłyszała.

W tym momencie rozległo się pukanie i do pokoju wpadła jak burza Sara. Wręczyła ojcu olbrzymi bukiet kwiatów i ucałowała go w policzek. Wydawała się zupełnie odmieniona, pełna zapału i optymizmu.

Skinęła uśmiechniętą głową na powitanie Ellen, a potem zwróciła się do Konrada:

— Cześć! Jesteś już w stanie znieść niespodziankę?

— Jeśli tylko nie należy do nieprzyjemnych...

— Jest wspaniała! — oznajmiła z błyskiem w oku. — Wyobraź sobie, dostałam spadek!

Rozkoszowała się zdumieniem ojca i Ellen.

— Przyjechał Jules Dussere — wyjaśniła. — *Madame* Tirtowa zapisała mi swój dom w Wenecji! Powinnam się tam pokazać.

Konrad wziął ją za rękę i ostrożnie przyciągnął do siebie.

— Więc jedź! Mam tu dobrą opiekę, a ty musisz robić to, co dla ciebie istotne. Jedź, dziecinko! I niech ci się szczęści!

Sara przyjrzała mu się z wahaniem. Czy rzeczywiście może go już zostawić samego? Konrad kiwnął z przekonaniem głową, a dziewczyna odwróciła się do Ellen Vondrowski. Obie kobiety wymieniły długie, porozumiewawcze spojrzenia.

Przypilnujesz mi ojca, prawda, mówił wzrok Sary. Oczywiście, nie masz się o co martwić, przekonywały oczy Ellen.

Roześmiawszy się z ulgą, wcisnęła przeznaczone dla niego kwiaty w ręce Ellen, ucałowała ojca raz jeszcze i wybiegła z pokoju.

Następnego ranka poleciała do Wenecji. Wchodząc do *palazzo* Tirtowcj, czuła się, jakby wróciła w stare, ukochane kąty.

Nic się tu dotąd nie zmieniło, jakby Tirtowa tylko na jakiś czas wyjechała i lada dzień miała powrócić.

Jules powiedział dziewczynie, że na dzień przed śmiercią, w jego obecności jako notariusza, starsza pani podpisała ułożony zresztą także przez niego testament, w którym przekazywała jej *palazzo* na własność.

— Chciała, żebyś tu została — wyjaśnił. — Albo żebyś miała jakieś schronienie, miejsce, do którego zawsze będziesz chętnie wracać.

Sara przytuliła się do notariusza ze łzami w oczach.

— Wiedziała, że potrzebuję takiego schronienia. Tyle o mnie wiedziała, choć nic jej nie mówiłam.

Jak cudownie być znowu w Wenecji, a jednocześnie jakże nieskończenie trudno. Dni spędzone tutaj z Erykiem były wspaniałe. Wtedy myślała, że jej życie tak się właśnie ułoży — wspólne dni i noce, wypełnione po brzegi szczęściem.

Bolesne wspomnienia.

Żeby je choć w części odegnać, zabrała się wraz z Julesem za porządkowanie spuścizny Tirtowej. W jednej zszuflad biurka odkryła obok rozmaitych osobistych dokumentów karton papieru listowego. W nagłówku nie umieszczono nazwiska ani adresu, znajdowało się tam tylko jedno zdanie.

— "Ptaki lecą zawsze przed siebie." — Przeczytała Sara.

— To było jej motto. — Uśmiechnął się Jules. — Zawsze się nim kierowała.

Dziewczyna opuściła arkusz.

— Miała tyle odwagi.

— Nie więcej niż ty — odparł, patrząc na nią czule.

— Nie jestem odważna — zaprzeczyła. — Jestem tchórzem.

Nie odpowiedział, sortował dalej pocztę, która nadeszła po śmierci Tirtowej. Była tego cała sterta. Między innymi koperta z biura podróży. Jules rozerwał ją i wyjął trzy bilety lotnicze.

— Saro, popatrz! Trzy bilety do Sztokholmu na ostatnie przedstawienie „Ognistego ptaka”. Tirtowa miała zawsze zwyczaj uczestniczyć w ostatnich spektaklach swoich sztuk. Będziemy ją reprezentować.

W oczach Sary natychmiast pojawiła się panika. W Sztokholmie na pewno jest Eryk. Albo Sven Rasmussen przekaze

mu wiadomość, że przyjechała, i przyleci najbliższym samolotem.

— Nie, Jules — odmówiła ze smutkiem. — Nie mogę pojechać do Sztokholmu.

Podszedł do niej i położył obie ręce na ramionach dziewczyny. Jego wzrok wyrażał dobroć i zrozumienie.

— Dziecko, jesteś młoda. Życie na ciebie czeka.

— Życie wszystko niszczy — zaprzeczyła gorzko. — Wszystko, co kochamy. — Przetarła ręką oczy. — Nie chcę, żeby mnie rozszarpało tak samo jak moją matkę.

Stary przyjaciel Tirtowej chwycił Sarę mocno za ręce.

— Życie daje nam radość. Niedobre wydaje się tylko tym, którzy nie chcą niczego przeżyć, którym brakuje odwagi. Samo w sobie nie jest złe...

Gdy nie odpowiadała, wpatrując się z uporem przed siebie, pochylił się i zająrzył jej w oczy.

— Saro, życie o tobie nie zapomniało...

— Boję się... — Wtuliła głowę w ramiona.

— Teraz, dziś... — Uśmiechnął się. — Jutro znów odnajdziesz w sobie odwagę.

Nie porzucił myśli o wspólnym locie do Sztokholmu. Jeśli Eryk Wylander naprawdę tam jest, to może jeszcze wszystko będzie dobrze...

Ale Eryk był jeszcze nad Ammersee. Odkąd Sara go opuściła, czuł się jak sparaliżowany. Zaglądał codziennie do willi Maienstedtów w nadziei, że wróciła. Tam jednak rezydowała tylko Vincenta z Kapitanem.

Tego popołudnia się upił. Nie bez umiaru, ale wystarczająco, by postradać jasność myślenia i by jego zgrzyzota straciła zbyt ostre, raniące kontury.

Carmen zauważyła, że Eryk wychodzi z domu i znowu podąża w kierunku willi sąsiadów. Kiedy po chwili się nie pokazał, poszła go szukać. Spotkali się w połowie drogi.

— Nie ma jej... — wymruczał niewyraźnie, trzymając się kurczowo pnia.

— A nie chciałeś mi wierzyć — powiedziała z wyrzutem, ujmując go pod ramię.

Wrócili pod rękę do domu. Kiedy dotarli do wąskich schodków wiodących na taras, Eryk ciężko opadł na jeden ze stopni i wsparł łokcie na kolanach.

Po prostu czekać, powiedziała Peregrina. Co za głupota, pomyślał. Spojrzał na matkę.

— Popełniłem błąd. Powinienem być przy niej zostać. A tak Inga zwyciężyła na całej linii.

— Nie zwycięży, jeśli teraz pojedziesz za Sarą — zaprzeczyła Carmen rezolutnie. — Vincenta ci chyba powiedziała, gdzie ona jest, prawda?

— W Wenecji.

Na poły ze złością, na poły z rozpaczą uderzył pięścią w dłoń.

— Teraz musi sama do mnie wrócić, mamó! Z własnej woli! Nie mogę jej zmusić, żeby ze mną żyła... — Na jego twarzy odmalowało się strapienie. — Żebym tylko wiedział, co jej chodzi po głowie... Mam wrażenie, że cokolwiek zrobię, wychodzi źle.

Carmen było go żal. Ale równocześnie narastała w niej złość, nie tylko na syna, ale i na Sarę. Do diabła! Tych dwoje wzięło przecież ślub! Co to da, jeśli każde z osobna będzie w milczeniu cierpiało — możliwie najdalej od drugiego!

— Złe jest tylko jedno — warknęła, podnosząc go energicznie z ziemi — mianowicie że wysiadujesz tutaj i nic nie robisz.

Następnego ranka Eryk znalazł się w samolocie do Wenecji. Po pierwsze dlatego, że matka naciskała, po drugie, bo był już chory z tęsknoty za Sarą. Może ponowny przyjazd do miasta, gdzie się pobrali, sprawił, że dziewczyna przezwyciężyła poczucie winy za śmierć matki i wreszcie odnalazła swoje miejsce w życiu.

Miał przynajmniej taką nadzieję.

Najpierw wodną taksówką popłynął do *palazzo* Tirtowej, ale tam nikt nie reagował na jego stukanie. Poczekał więc chwilę, lecz gdy czas upływał, a Sara nie wracała, zaczął się rozpytywać w sąsiedztwie.

Oczywiście wszyscy znali *la bella signora tedesca*, wiedzianno także, że *palazzo* Tirtowej należy teraz do niej. Takie wie-

ści szybko się rozchodzą. Wreszcie jakaś starsza kobieta wyglądająca przez okno, pod którym wisiał obrazek Madonny, udzieliła Erykowi decydującej wskazówki.

Rosyjska *signora* miała w Palazzo Pisani wystawę, którą wczoraj zamknięto. Może młoda *signora* jest tam razem z cym starszym panem, przyjacielem wiekowej rosyjskiej *signory*? W końcu muszą przypilnować, żeby wszystkie eksponaty wróciły na miejsce...

— *Tante grazie, signora* — zawołał Eryk, zdecydowany przynajmniej zajrzeć do Palazzo Pisani.

Jeśli tam także nie znajdzie Sary, wróci tutaj i będzie na nią czekał.

Sara jednak była w Palazzo Pisani.

Założyła znowu czarną sukienkę w kolorowe letnie kwiaty, z szerokim koronkowym kołnierzykiem, którą miała na sobie podczas wernisażu. Razem z Julesem nadzorowała pakowanie eksponatów.

W miarę jak robotnicy zdejmowali kostiumy z manekiniów, narastał w niej smutek. Znikało piękno i baśniowy czar, w zimnym świetle dnia pozostawały nagie rozkręcane lalki o twarzach bez wyrazu.

Przechadzała się pomiędzy nimi, zatrzymywała przy tych, z których jeszcze nie zdjęto kostiumów, gładziła czubkami palców koronki i pióra, aksamit i jedwab, wspominając przy tym wiekową przyjaciółkę, a najchętniej by się znowu rozpłakała.

Ostrożnie zdjęła z głowy jednej z lalek złotą koronę i podała ją Julesowi, który pilnował opakowywania. Ten przyjął ozdobę z uśmiechem i nałożył na włosy Sarze. Obejrzała się w lustrze, a potem odprowadziła go wzrokiem, gdy odnosił cacko.

Kochany, dobry Jules...

W pewnym momencie znalazła się znowu przed bogato złożonym stolikiem z weneckiego szkła, na którym stały miniaturowe laleczki w kostiumach projektu Tirtowcj, zamontowane na zegarach z pozytywką.

Nakręciła jeden z nich i rozległa się delikatna, wesoła melodia. Zamknęła oczy, wsłuchiwała się w nią i gwałtownie zamrugała powiekami, by odpędzić zbierające się tam łyzy.

Nie chciała płakać. Zbyt wiele już łez wylała.

W tej chwili ktoś wymówił jej imię. Odwróciła się i ujrzała Eryka.

Jej pierwszą myślą była obrona. Dlaczego przyjechał? Czy nie pojmuje, czemu przed nim uciekła? Boże, niechby już przestał ją męczyć!

Gdy chciał do niej podejść, cofnęła się i odstawiła pozytywkę.

— Wystawa zamknięta — odezwała się chłodno. — Spóźniłeś się.

— Nie jestem tu z powodu wystawy — odparł. — Powiedz mi tylko jedną rzecz, Saro. Jak długo właściwie byliśmy mężem i żoną?

Wpatrywała się w niego bez słowa i nagle uświadomiła sobie, że w rzeczywistości byli małżeństwem tylko trzy dni. Najpierw dwa w Wenecji, a potem ten jeden, kiedy matka odebrała sobie życie.

Trzy dni... A wszystko się skończyło. Powiedziała Erykowi: „Kocham cię, ale nie potrafię z tobą żyć.”

Bez niego jednak także nie potrafiła. Byli mężem i żoną. W kapiącym od złota kościele Santa Maria dei Miracoli przysięgła go kochać i szanować, w zdrowiu i chorobie, w dostatku i biedzie, na dobre i na złe dni.

Jak więc mogła uważać, że po pierwszym złym dniu, który ją spotkał, ma prawo go opuścić?

Własnego męża...

Jedynego mężczyznę, którego kocha.

I który także kocha ją...

„Życie na ciebie czeka”, powiedział Jules Dussere. Miał rację.

Sarą wstrząsnął krótki ni to śmiech, ni szloch; zobaczyła, że Eryk wyciąga ku niej ramiona — i padła w nie, czując, że z jej serca uwalnia się ptak i zaczyna śpiewać.